NOWY METROPOLITA KRAKOWA

Co awans kardynała Grzegorza Rysia oznacza dla Kościoła w Polsce?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 50/659 8–14 GRUDNIA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Warzecha o kłopotach Morawieckiego w PiS

Piotr Semka żegna Piotra Wierzbickiego

NOWA SZKOŁA HISTORII HOLOKAUSTU

Inżynierowie antypolskiej narracji

JAN GRABOWSKI, BARBARA ENGELKING, JAN TOMASZ GROSS

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
50 >
9 772299 850000

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KS. PIOTR PAWLUKIEWICZ: „MIEJ SZCZĘŚLIWE DNI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~591~~ ZŁ

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 300 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl a82608b277

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zręczność premiera Tuska

Po przegranych przez Rafała Trzaskowskiego wyborach prezydenckich można było sądzić, że Polskę czekają przyspieszone wybory, rozkład koalicji rządzącej i szybki upadek Donalda Tuska. Do jego ustąpienia wzywał chociażby Jacek Żakowski, publicysta, którego o sympatie prawicowe posądzić nie sposób. Słusznie dowodził, że skoro wybory prezydenckie były de facto plebiscytem za rządami Tuska czy przeciw nim, to przegrana Rafała Trzaskowskiego powinna pociągać natychmiastową rezygnację premiera.

Premier doskonale rozumiał skalę katastrofy. Nic dziwnego, że przez ponad miesiąc on sam i jego zaplecze łudzili się opowieściami o niedopuszczeniu do zaprzysiężenia Karola Nawrockiego. Ba, najbardziej krzykliwi i podnieceni propagandyści rządowi (przykro to powiedzieć, ale w tej roli wystąpili szacowni niegdyś profesorowie prawa) snuli wizje przewrotu, opowiadając o przejęciu władzy przez marszałka Sejmu. Swoją drogą zastanawiam się, czy gdyby wówczas, w lipcu i sierpniu, marszałkiem był nie Szymon Hołownia, a Włodzimierz Czarzasty, to czy faktycznie do zamachu stanu by nie doszło. Wyraźnie widać, że lider lewicy ma w sobie więcej wigoru i pragnienia zemsty niż jego poprzednik.

Tak czy inaczej, nic nie wskazywało na możliwe odrodzenie Donalda Tuska. Wydawało się, szczególnie po dobrym przemówieniu i jasnych deklaracjach Karola Nawrockiego, że sprawa jest w dużym stopniu przesądzona i czeka nas co najmniej wymiana na stanowisku premiera. Jednak dzisiaj, na początku grudnia 2025 r., widać, że Tusk odzyskał siłę i na żadną emeryturę się nie wybiera. Dlaczego tak się stało?

Po pierwsze, tuż po wygranej Karola Nawrockiego główna siła opozycyjna, to jest Prawo i Sprawiedliwość, zamiast pójść za ciosem i uczynić z odwołania Tuska główny punkt swojego przekazu, co do którego zgadzały się zresztą dwie inne formacje prawicowe, Konfederacja i Korona, wdała się w wojnę z tą pierwszą. Nieustanne awantury Jarosława Kaczyńskiego i Sławomira Mentzena, często przypominające bardziej burdy niż merytoryczną wymianę argumentów, osłabiły, a nie wzmocniły PiS. Tak to jest, kiedy dzieli się skórę na niedźwiedziu, to jest na Koalicji Obywatelskiej. PiS najwyraźniej uznał, że powrót do władzy jest rzeczą pewną, dlatego zamiast skupiać się na atakowaniu rządzących, zajął się walką z potencjalnym koalicjantem. Po co dzielić się władzą, skoro można ją mieć samemu? To skądinąd racjonalne podejście oparte było jednak na błędnym założeniu, a mianowicie na przekonaniu, że wyborcy Karola Nawrockiego z drugiej tury mogą wrócić do PiS. Nic bardziej błędnego.

Po drugie, dużym sprytem wykazał się sam Donald Tusk. Doskonale zrozumiał, że jego władza opiera się na dwóch filarach, a więc na straszeniu wojną z Rosją i na dokonaniu (przynajmniej symbolicznej) zemsty na PiS. To drugie, systematycznie łamiąc prawo, realizuje minister Waldemar Żurek. Wprawdzie nie osiągnął żadnego realnego sukcesu, ale może się przynajmniej chwalić tym, że zmusił do faktycznej ucieczki z Polski najbardziej znienawidzonego przez liberalną lewicę byłego ministra sprawiedliwości, Zbigniewa Ziobrę. I to jeszcze dokąd! Na Węgry, które to w oczach propagandystów rządowych uchodzą za państwo zhołdowane Rosji, wice-Rosję, terytorium zależne od Putina.

O ile na działania Żurka opozycja wpływu nie miała, to – uważam – byłoby dla niej lepiej, gdyby były minister stanął oko w oko z prześladowcami. Oczywiście, takie rzeczy łatwo się pisze. Żurek i Tusk, nie mam wątpliwości, perfidnie wykorzystali zły stan zdrowia Zbigniewa Ziobro. Jednak fakt pozostaje faktem: nieobecność ministra łatwiej wykorzystać w przekazie medialnym jako dowód na jego winę.

Donald Tusk doskonale opanował też sztukę straszenia Rosją. Pod tym względem okazał się pojętnym uczniem PiS, tyle że jeszcze sprawniejszym. Zrozumiał, że ze względu na gigantyczną przewagę medialną to on jest dysponentem opowieści o rosyjskim zagrożeniu i że to on będzie na niej najbardziej korzystał. Im większy strach, tym większe poparcie. Dlatego to właśnie noc z 9 na 10 września, a więc chwila, kiedy to rzekomo doszło do celowego aktu agresji na Polskę (czego nie potwierdził ani prezydent Donald Trump, ani sekretarz generalny NATO, Mark Rutte), stała się kluczowym momentem wielkiej propagandowej operacji. Od tej pory nie ma dnia bez opowieści o dywersantach, zamachach, rosyjskich służbach, szpiegach i agentach Putina. Tusk okazał się na tyle sprawny, że zaszachował nawet Karola Nawrockiego, który to, jak można sądzić, właśnie ze strachu przed zdjęciami z Viktorem Orbánem (przedstawianym w rządowej propagandzie jako poputczik Putina) zrezygnował ze spotkania z węgierskim premierem.

Co to ma wspólnego z rządzeniem, z troską o dobro wspólne, o interes państwa? – ktoś zapyta. Ano nic. Za to wszystko z utrzymaniem władzy. ©℗

eprasa.pl a82608b277

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POWRÓT FAŁSZERZY HISTORII
Antypolonizm zewnętrzny i wewnętrzny

16 PIOTR GONTARCZYK
INŻYNIEROWIE ANTYPOLSKIEJ NARRACJI

KRAJ

20 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KARDYNAŁ GRZEGORZ RYŚ NA ROZDROŻU
Nowy metropolita krakowski

24 ROZMOWA Z BARTŁOMIEJEM BISKUPEM
NIEZALEŻNIE OD POGLĄDÓW DZIEDZICZYMY UŁAŃSKĄ FANTAZJĘ

26 PIOTR SEMKA
POŻEGNANIE PIOTRA WIERZBICKIEGO

29 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
PAŃSTWO AMBASADORSTWO. ZWIERZENIA MARKA BRZEZINSKIEGO

KULTURA

32 ROZMOWA Z MARIĄ POMIANOWSKĄ
NUTY ADWENTU
Kolęda jest kodem. Od średniowiecza do Tokio

35 GRZEGORZ KONDRASIUK
NARKOTYK KLATY JAK TRAWKA CLINTONA

36 PIOTR GOCIEK
BYĆ JAK PAN JEZUS

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

42 MARIUSZ MUSZYŃSKI
„MAŁŻEŃSTWA" JEDNOPŁCIOWE. PRAWO, KTÓREGO NIE MA
Wyrok TSUE i jego konsekwencje

44 ŁUKASZ WARZECHA
KŁOPOTY MORAWIECKIEGO W PIS

47 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
BOSKOŚĆ CHRYSTUSA. KRÓTKA HISTORIA NICEJSKIEGO CREDO Z 325 R.

50 EWA POLAK-PAŁKIEWICZ
WALKA ARCYBISKUPA LEFEBVRE'A O KOŚCIÓŁ

52 FILIP MEMCHES
NIE TYLKO MILLER. NARODOWY POSTKOMUNIZM

HISTORIA

54 GRZEGORZ MAJCHRZAK
KULISY WPROWADZENIA DEKRETU O STANIE WOJENNYM
Jak reżim Wojciecha Jaruzelskiego forsował zmiany prawne

58 ROZMOWA Z PIOTREM LEGUTKĄ
MILIONER PRASOWY

ŚWIAT

60 JACEK PRZYBYLSKI
TRUMP KONTRA MADURO
CIA, lotniskowce i Truth Social

63 MACIEJ PIECZYŃSKI
KRAJOBRAZ PO JERMAKU

66 ROBERT BOGDAŃSKI
ROSYJSKA OFERTA DLA AMERYKAŃSKIEJ PRAWICY

68 TERESA STYLIŃSKA
OD BURKI DO SZARIATU? JAK RATOWAĆ EUROPEJSKĄ EUROPĘ

EKONOMIA

72 JAKUB WOZINSKI
NIEBEZPIECZNY SAFE
Wspólny dług, czyli droga w kierunku superpaństwa

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (71), GABRYEL, WARZECHA (74), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl a82608b277

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zborlalski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Jacek Domiński, Andrzej Iwańczuk/REPORTER**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratapraszy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Wigilijna opowieść polskiego wielbłąda!

Pogoda paskudna. Stary, rozmokły śnieg, a z nieba leje się biała maź. „Nie wjeżdżaj w tunel" – mówi żona. Taki nam wybudowano tunel, że wszyscy się go boją. Ale wjeżdżam. Stoimy i czekamy. Widzę pustą drogę za sobą, więc ruszam. Wtedy biały samochód wjeżdża mi pod koła. Odbijam w lewo. Ciach i ocieram się o czarny karawan. Nic wielkiego, ale karawan służbowy, więc musimy wezwać policję.

Stanęliśmy na poboczu, żeby nikomu nie przeszkadzać, ale przyjechała policja i powiedziała, że źle stoimy. Jest pierwszy mandat. Ale to nic, bo dopiero po chwili nadchodzi bomba: Gdzie mam aparat słuchowy?

Jaki znowu aparat słuchowy? W prawie jazdy wpisano, że mam mieć aparat i okulary. Więc gdzie mam okulary? Mam szkła kontaktowe. Ale w prawie jazdy nie wpisano, że mogę mieć soczewki.

To jakieś szaleństwo. Nie mam aparatu, gdyż nigdy nie miałem problemów ze słuchem. „Tak jakby pani wpisano – mówię do policjantki – że musi pani prowadzić samochód protezą lewej ręki". „Nic na to nie poradzę. Jest wpisane, że aparat ma być, a szkieł ma nie być. Kierujemy sprawę do kolegium wykroczeń".

Ale jak? Normalnie. To absurd. Takie są przepisy. Czy ktoś może odebrać samochód, bo pan nie może? Może.

Więc wracam do domu jak zbity pies. Samą kolizją nikt się właściwie nie zajmował, bo byłem winny brakiem aparatu słuchowego. Czuję więc lęk. To nic, że słyszę. W tej logice lepiej, abym miał aparat i nie słyszał, niż miałbym jeździć bez aparatu i słyszeć.

I co teraz będzie? Mam sobie kupić aparat? W domu sprawdzam kody ograniczeń. Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Nie tylko ja. Wszyscy znajomi nerwowo zaczęli oglądać swoje kody. A teraz czytam: 01.02 – szkła kontaktowe, 02.01 – jednouszny aparat słuchowy. O Jezus Maria, czeski błąd. Odwrócone cyfry.

Jedna biurokratyczna pomyłka i dwa problemy, bo nie mam okularów i aparatu słuchowego. A teraz – jak to w Polsce – niby wszystko jest proste, ale u nas nic nie jest proste. Wszystko zależy od uznania ludzi, których się spotka na drodze. A ja muszę udowodnić, że nie jestem wielbłądem.

Więc się modlę. Może to mi pomoże. Zresztą już są prawie święta.

I od razu stał się cud. W czwartek odzyskałem słuch, gdyż dostałem nowe orzeczenie. Gdybym miał aparat słuchowy, mógłbym go odwiesić przed obrazem Matki Boskiej w Częstochowie. Nie wiem, czy to pomoże przed kolegium do spraw wykroczeń. Bo z faktu, że teraz słyszę, wcale nie wynika, że w poniedziałek słyszałem.

Tomasz Derecki

Polish Lives Matter

Szanowni Państwo,
po niedawnej wypowiedzi podrzędnego członka AfD cała Polska uniosła się świętym oburzeniem. Pan Keubel stwierdził mianowicie, że Polacy ze swoim wiecznym poczuciem krzywdy są Afroamerykanami Europy. Ale zamiast lamentować i toczyć czcze polemiki, warto pomyśleć, że oto nadarzyła się niepowtarzalna okazja do przekucia słabości w siłę. Instrukcja, jak to zrobić, jest prosta: spotęgować poczucie winy w prześladowcach, uruchomić media, aktywistów i celebrytów i żądać sowitych gratyfikacji. Im wyższych, tym lepiej, bo to oznacza, że sprawa jest poważna. Przykłady można czerpać garściami: Black Lives Matter, ruch LGBT+, MeToo itp. Nie wspominając już o tzw. przedsiębiorstwie Holokaust.

Zgoda – jesteśmy skrzywdzeni i poniżeni – najwyższy czas stworzyć autorski ruch PLM.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Psi los

[...] mam nadzieję, że w nowym projekcie tzw. ustawy łańcuchowej znajdzie się zapis o zakazie trrzymania psów w mikrokawalerkach? Na każdego pieska przynajmniej 20 mkw. mieszkania. No i absolutny zakas wiązania na smyczkach pod marketami... [...].

Rolnik z domu z ogrodem

eprasa.pl a82608b277

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pozew wdowy

Wdowa po Ludwiku Dornie wystąpiła do Sądu Okręgowego w Warszawie o milionowe odszkodowanie za represje, których jej zmarły mąż doznał w czasie, gdy występował przeciwko władzom PRL. Ludwik Dorn (1954–2022) bardzo wcześnie zaczął walkę z systemem. Jeszcze jako harcerz „Czarnej Jedynki", nie mając ukończonych 18 lat, w 1971 r. wymalował na murze Powązek hasło ku czci ofiar Grudnia 1970 r. Potem, w latach 70., był aktywnym działaczem Komitetu Obrony Robotników. Uczestniczył w akcji wyjazdów do Radomia i Ursusa, w trakcie których przewoził dla rodzin skazanych pomoc finansową. Był bardzo odważny i nie zginał karku przed tajniakami pilnującymi mieszkań rodzin aresztowanych robotników. Bardzo często płacił za to atakami ze strony cywilnych esbeków. Weterani akcji pomocowej KOR wspominają, że po zatrzymaniu w trakcie jednej z takich wypraw tajniacy zabrali go na komisariat, gdzie bito go pałkami po gołych piętach. W końcu KOR, bojąc się, by któryś z nich nie zakończył się tragedią, wręcz zakazał Dornowi wyjazdów do Radomia i Ursusa.

Gdy w sierpniu 1980 r. robotnicy Stoczni Gdańskiej prowadzili strajk, Dorn siedział w areszcie i wyszedł dopiero, gdy w ramach gestu dobrej woli władze zwolniły wszystkich zatrzymanych opozycjonistów. W stanie wojennym był ścigany i znów w latach rządów Jaruzelskiego wielokrotnie zatrzymywany i inwigilowany. W III RP doszedł w polityce od funkcji marszałka Sejmu.

To, czy Dorn zasługuje na odszkodowanie, jest poza dyskusją. „Ustawa lutowa" z 1991 r. przyznaje osobie, która była poddawana represjom z powodów politycznych, lub jej rodzinie prawo do ubiegania się o odszkodowanie. W jakiej ono ma być sumie – o tym decydują sądy. Zdecydowana większość tego typu wniosków jest uznawana, a sumy odszkodowań nierzadko idą w miliny złotych. Akurat wdowa po Ludwiku Dornie zgłasza roszczenie o milion złotych. Dlatego życzę jej sukcesu przed sądem.

Jednak co innego uderzyło mnie w całej tej sprawie. Ludwik Dorn zmarł w wieku 67 lat. Nie sposób ocenić, czy gdyby nie takie doświadczenia, jak np. bicie pałkami w gołe pięty, dożyłby znacznie bardziej sędziwego wieku. Nie wiem i chyba nikt tego nie wie. Ale oto właśnie drugie stanowisko w państwie objął 65-latek Włodzimierz Czarzasty, który dorosłe życie w Polsce po zamachu 13 grudnia 1981 r. zaczął od zapisania się do PZPR i kariery w komunistycznym „Zsypie". Do dziś Czarzasty sławi gen. Jaruzelskiego. Marek Siwiec, nowy szef Kancelarii Sejmu, inny weteran czerwonego ruchu studenckiego, w tym roku ukończył 70 lat. A Ryszard Kalisz, członek Państwowej Komisji Wyborczej od 2024 r., dożywa obecnie 68 lat.

Życzę całej tej trójce jak najdłuższego życia, ale właśnie takie życiorysy stanowią właściwy kontrapunkt dla oceniania moralnej stosowności wniosku wdowy po Ludwiku Dornie o odszkodowanie do Skarbu Państwa. Powtórzę raz jeszcze: życzę pani sukcesu. ©℗

ZARZUTY DLA MOGHERINI

Była szefowa unijnej dyplomacji została w ubiegłym tygodniu zatrzymana przez służby. Federica Mogherini usłyszała zarzuty korupcyjne, ale wyszła z aresztu po wpłaceniu kaucji. Zarzuty postawiono też dwóm innym osobom. We wtorek policja na wniosek Prokuratury Europejskiej przeszukała zaś m.in. siedzibę unijnej dyplomacji w Brukseli. Śledztwo dotyczy przyznania przez UE kontraktu na szkolenie przyszłych dyplomatów w Kolegium Europejskim, którym obecnie kieruje... Mogherini. ***(jap)*** ©℗

FOT. LEGARRA/EUC/ZUMA PRESS/FORUM

STOPY PROCENTOWE ZNOWU W DÓŁ

Rada Polityki Pieniężnej (RPP) obniżyła w ubiegłym tygodniu stopę referencyjną NBP o ćwierć punktu procentowego do poziomu 4 proc. To piąta z rzędu obniżka stóp NBP i już szósta w całym roku 2025. Od stycznia koszt pieniądza zmalał o 175 punktów bazowych. Decyzja RPP zapewne ucieszy kredytobiorców, gdyż stawka WIBOR powinna wkrótce zmaleć poniżej 4 proc. Zła wiadomość: zapewne jeszcze szybciej bankowcy obniżą oprocentowanie lokat i rachunków oszczędnościowych. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl a82608b277

dwaj panowie g

Jest kłopot. Na Pałacu prezydenta Karola Tadeusza pojawiły się pewne rysy. I nie chodzi o architekturę, tylko wnętrze. Gmach przestał być szczelny. Pół biedy, gdyby ciekło w naszą stroną, ale ciecze do naszych wrogów, czyli do portalu złonet. Do tej pory portal ów uprawiał tzw. dziennikarski zdooping, czyli informacje wymyślone na poczekaniu przez jakichś praktykantów. Niestety, w ostatnim czasie pojawiło się tam kilka informacji polegających na prawdzie. To zaś oznacza, że w Pałacu jest kret – i to nieźle ulokowany.

W ubiegłym tygodniu natomiast w innym wrażym medium czy w „Gazecie Aborczej" pojawiła się informacja, że Karol Tadeusz nie zawetuje ustawy kryptowalutowej. I wiecie co? Nie minęło czasu mało wiele, a osoba głowy państwa jednak zawetowała. Zatem przynajmniej Czerska pozostaje w tym miejscu, gdzie kiedyś złonet.

Apropos weta wobec ustawy zaostrzającej kontrolę nad rynkiem kryptowalut – do końca na podpisanie ustawy prezydenta Karola Tadeusza namawiał szef BBN, czyli Sławomir Cenckiewicz. Sławek nie od dziś uważa, że krypto to środek, którego używają ruscy agenci. Faktem jest, że to się zdarza.

Drugim aktem prawnym, którego los wisiał na włosku, była ustawa łańcuchowa. Tutaj nie ma różnicy między Nawrockim a Cenckiewiczem. Obaj są zdecydowanymi psiarzami. Sławek od lat jest wielbicielem rasy o wdzięcznej nazwie gończy polski. O wecie jednak zadecydowały inne czynniki. Pierwszy z nich to przekonanie, że jest ona wynikiem lobby hodowców psów rasowych, które to środowisko ewidentnie by na nowych regulacjach skorzystało. Drugie to wymóg 20-metrowego kojca dla większych ras. Wizja, że oszalali ekolodzy będą wpadać ludziom do kawalerek i zabierać pupili z mniejszych metraży, przemówiła do osoby głowy państwa.

Węgry. Viktor Orbán w szoku, gdyż zdradził go prezydent Karol Tadeusz, nie chcąc się z nim spotkać w Budapeszcie. Poszło o wizytę Orbána u Putina. A miało być tak pięknie. Mało kto wie, że na amerykańsko-węgierskim kongresie konserwatystów CPAC premier Orbán na trzy dni przed wyborami w Polsce wznosił publicznie okrzyk: „Wybory prezydenckie w Polsce w niedzielę! Niech żyje Nawrocki!". Nasze wiewiórki mówią też, że Orbán namawiał Trumpa, żeby przyjął Nawrockiego w Białym Domu, co zresztą się stało. Cóż, mamy dla Orbána ważny komunikat: nawet mistrzowie Realpolitik czasem padają ofiarą… cóż, Realpolitik.

Mamy bardzo złą wiadomość dla wszystkich chorych – obecnych i przyszłych. Premier Donald Tusk publicznie oświadczył, że Narodowy Fundusz Zdrowia nie jest bankrutem. Oznacza to, że Narodowy Fundusz Zdrowia jest bankrutem.

Mamy też złą wiadomość dla wszystkich broniących Polski – obecnie i w przyszłości. Dyrektor Wojskowego Instytutu Medycznego, generał broni prof. Grzegorz Gielerak, publicznie oświadczył, że w polskiej armii brakuje połowy lekarzy. Oznacza to, że w polskiej armii brakuje połowy lekarzy.

W Sejmie z pompą otwarto wystawę prac malarskich posła Marka Suskiego.
Odnotowujemy ten fakt jako najważniejsze wydarzenie artystyczne związane z PiS od czasów serii tomów wierszy Mariusza Oriona Jędryska. Wskazujemy też istotną różnicę, Suski maluje głównie konie. Wierszy o koniach u Oriona Jędryska nie znaleźliśmy.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z końmi wiąże się pewien zgrzyt, do którego doszło podczas uroczystego otwarcia wystawy Suskiego. Najpierw przemawiał Jarosław Kaczyński. Po nim Zbigniew Bogucki, szef Kancelarii Prezydenta. Bogucki w pewnym momencie rzekł: „Jak napisano w przedwojennej encyklopedii, koń jaki jest, każdy widzi…", co natychmiast zostało głośno poprawione przez Jarosława Kaczyńskiego słowami: „W osiemnastowiecznej!". Zaiste, „Nowe Ateny" Benedykta Chmielowskiego ukazały się w połowie XVIII stulecia. W erudycyjnym pojedynku Pałac – Nowogrodzka mamy 1:0 dla Nowogrodzkiej.

Przy okazji dementujemy doniesienia, jakoby na wernisażu wystawy Suskiego pojawili się jedynie posłowie PiS. Otóż nie, widziano przynajmniej dwóch konfederatów. Oraz posłankę Lewicy Dorotę Olko, choć nie wiemy, czy nie uczyniła tego służbowo, w końcu zasiada w sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu. A na wernisażu była i kultura, i środki przekazu.

Tymczasem w Brukseli. Doszły nas wieści, że dobroduszny i umiarkowany, acz przenikliwy prof. Ryszard Legutko wygłosił najbardziej antyunijne i ostre przemówienie w życiu. Działo się to w obecności 500 osób, na konferencji zorganizowanej przez węgierski think tank MCC. Przemówienie przerywane było owacjami. Wśród gości bijących brawo był m.in. Grzegorz Braun, który zresztą uciął sobie potem ciepłą pogawędkę z profesorem. Co omal nie przyprawiło o palpitację serca znanego centrystę Jacka Saryusza-Wolskiego.

Polityka historyczna. Po raz kolejny Żydzi byli szybsi i uprzedzili nas w zakupie dostępnych na tzw. wolnym rynku artefaktów z obozów koncentracyjnych. Ludzie Radka nie zdążyli się nawet rozejrzeć, kiedy kolekcja znalazła się Hajfie. Nas to w ogóle nie dziwi. Mosad był w stanie podiwanić wraz z tynkiem freski Brunona Schulza z Drohobycza czy nawet kompletne wyposażenie tajnej synagogi, w podziemnym bunkrze w getcie warszawskim. Zatem takie numery to betka. ©℗

eprasa.pl a82608b277

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Łyso wam?!

Radosław Sikorski, chwaląc się, że Polska przekaże 100 mln dol. na fundusz zakupu amerykańskiej broni dla Ukrainy, dodał: „Mam nadzieję, że Stany Zjednoczone to zauważą. Mam nadzieję, że Ukraina to zauważy". Wcześniej nieszczęsny minister wygłosił był filipikę, że USA płacą na Ukrainę za mało. Polski gest ma zatem Amerykanów zawstydzić. Takie z was kutwy, macie kasę i nie dacie? A my damy, choć nie mamy. Nam może brakować na szpitale, na szkoły, na wszystko – ale na taki cel damy! I co, łyso wam?

Jest w tym cały bezmiar politycznej niedojrzałości, trapiącej Polskę od lat. Pal diabli sam pomysł kupowania za polskie pieniądze broni dla Ukrainy w USA. Rząd z prawdziwego zdarzenia postarałby się raczej, żeby to bogatsze od nas kraje kupowały broń dla Ukrainy u nas… No, niech będzie, jest w naszym interesie, by Ukraina wykrwawiała Rosję jak najdłużej. Ale to przekonanie, że jak Ameryka „zauważy" nasz gest, to ten gest może jakkolwiek wpłynąć na jej politykę?! To przecież równie głupie, jak wierzyć, że Niemcy zawstydzą się i zmienią, gdy usłyszą, że skoro oni nie płacą odszkodowań ofiarom swych zbrodni, to my je wypłacimy. Doprawdy, kanclerz Bismarck w swej srebrnej trumnie ze wstydu zakrył twarz rękami, a Merz dotąd pono łka w kąciku Bundestagu. Tylko czekać, jak dołączy do niego równie zasromany Trump.

I jeszcze do tego – ta Ukraina. Od ponad dwóch lat przychylamy jej nieba i jakoś tego nie zauważyła, ale teraz, jak Sikorski zapowiedział, że Polska się dołoży, nic w zamian nie żądając ani nie oczekując – to oni nagle zauważą. I domyślą się, że z wdzięczności powinni coś dla nas zrobić. I sami wymyślą, co powinni dla nas zrobić. Od nas przecież tego nie usłyszą, stawianie Ukraińcom, w ich obecnej sytuacji, jakichkolwiek warunków byłoby przecież niegodne!

Najśmieszniejsze, że – pamiętam – swego czasu, dawno temu, jeszcze przed książkami Zychowicza i moją, Sikorski popisywał się w gazetach pochwałami politycznego realizmu i krytyką Becka. Ale wtedy był w opozycji… ©℗

#WARTO

Szczyt medyczny i mroczna izba

JAN POSPIESZALSKI

W powszechnym mniemaniu 24 lutego 2022 r. skończyła się pandemia. Nie dla wszystkich. Od pięciu lat trwają procesy 114 lekarzy, sygnatariuszy apeli do władz RP. Lekarze, wskazując na niską zjadliwość wirusa, nie chcieli zgadywać przez telefon chorób, krytykowali lockdown, ograniczenie dostępu do przychodni i szpitali, zamykanie zdrowych ludzi. Ostrzegali, że przyjęte obostrzenia i sianie medialnej psychozy przyniesie większe szkody niż sam wirus. Apelowali o ostrożność z masowymi szczepieniami eksperymentalnie dopuszczonym preparatem mRNA.

Zamiast debaty na argumenty Izby Lekarskie rozpoczęły postępowania dyscyplinarne. W ich toku kilkoro lekarzy (w tym profesorów) utraciło na rok uprawnienia zawodowe, innym nałożono nagany i upomnienia. Mimo tego, co już wiemy, mimo publikacji naukowych, ogromu zgonów nadmiarowych, ujawnionych powikłań poszczepiennych, nagłych zatorów, udarów, zawałów, zwiększonych statystyk poronień, represyjne procesy trwają nadal. W składach sądów lekarskich zasiadają medycy obciążeni konfliktem interesów, a w roli biegłych występowali m.in. główny inspektor sanitarny pediatra Paweł Grzesiowski albo Iwona Paradowska-Stankiewicz, która była w Radzie Medycznej przy KPRM. Firmowali oni restrykcje sanitarne i przymus szczepień na COVID-19. Sądy lekarskie odrzucają materiały dowodowe obrony, ignorują Kodeks postepowania karnego, a w listopadzie wyłączono jawność rozpraw. Lista skandalicznych naruszeń jest obszerna.

Tymczasem obecna katastrofa w systemie ochrony zdrowia skłoniła prezydenta Karola Nawrockiego do zwołania szczytu medycznego również z udziałem skompromitowanych (opisanym skandalem) władz Izb Lekarskich. Nie wiem, co uradzono, wiem natomiast, że bez odebrania izbom uprawnień sądowych, bez uchylenia obowiązku przynależności lekarzy do izb i bez rehabilitacji prześladowanych nic się nie zmieni. ©℗

eprasa.pl a82608b277

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Mnie przeraża

Polska żąda od NIEMCÓW (!) pieniędzy za zbrodnie i zniszczenie kraju w czasie drugiej wojny światowej. Stop. Tusk poleciał do Berlina i powiedział, że to ON (!) zapłaci ofiarom. Stop. Nie wyciągnę tu logicznego wniosku, kto jest kto, bo mnie przeraża. Stop.

Dość jeszcze nowa minister zdrowia, której nazwiska nikt nie zna (ujawnię, nazywa się Jolanta Sobierańska-Grenda), ma genialny plan na uzdrowienie służby zdrowia. Stop. Po pierwsze, chce zamknąć co trzeci szpital, a po drugie, chce obciąć leki seniorom, bo za dużo biorą tych leków. Stop. Geniusz tkwi w prostocie: jak ktoś umrze, to nie choruje… Stop.

Wielce stuknięta decyzja wojującej lewicy, czyli Barbary Nowackiej (ta pani jest nadal ministrem edukacji), żeby dzieciaki nie odrabiały prac domowych, przynosi efekty. Stop. Otóż rodzice wysyłają dzieciaki masowo na korepetycje, bo w odróżnieniu od naszych rządzących chcą, żeby były mądre. Intelektualne szpagaty, które robią przedstawicielki rządu, żeby uzasadnić szkodliwą bzdurę Nowackiej, budzą zachwyt zmieszany z podziwem, że tak w ogóle można. Stop. Pozwolą państwo, że się podzielę radością. Stop. W 2024 r. Joanna Mucha (była wtedy wiceministrem edukacji) mówiła tak: „Zadawanie prac domowych różnicuje dzieci z domów, w których rodzic usiądzie z dzieckiem i te lekcje z nim odrobi, i te dzieci, które nie mają takiego wsparcia". Stop. Naprawdę to powiedziała, mam dowody. Innymi słowy: równamy w dół, chodzi nam o to, żeby dzieci były głupsze. Stop. Za to teraz Katarzyna Lubnauer (jest wiceministrem edukacji) na uwagę, że co trzecie dziecko chodzi na korepetycje, bo szkoła nie przygotowuje choćby do egzaminów na studia, odparła: „Raczej (rodzice) chcą mieć przewagę konkurencyjną, żeby ich dzieci były lepiej przygotowane". Stop. Pani Kasia nie widzi związku między mniejszymi wymaganiami ze strony obecnej szkoły a parciem na korepetycje zatroskanych rodziców. Stop. W sumie czy do zbierania niemieckich szparagów potrzebne są studia?

Jest taki mniej znany poseł Rafał Komarewicz. Stop. Przyznam, że dość słusznie płacze w mediach społecznościowych, iż ludzie zarabiający brutto ok. 10 tys. zł na etacie pod koniec roku płacą najwyższy podatek, teoretycznie zarezerwowany dla bogaczy. Stop. Z tego powodu likwidują się miejsca pracy i odpływają firmy. Stop. Teraz hit, ten pan nie jest z opozycji, tylko z rządzącej partii Polska 2050… ©℗

eprasa.pl a82608b277

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

ZROBIONA „W HOPKINSA"

Kto może paść ofiarą oszustów? Każdy. Nie tylko emeryci i seniorzy. Trzydziestodziewięcioletnia aktorka Natalia Sikora podzieliła się swoją historią. W 2021 r. otrzymała wiadomość od rzekomej sekretarki Anthony'ego Hopkinsa. Następnie doszło do rozmowy z „Hopkinsem", który obiecał Polce, że pomoże jej spełnić największe marzenie – nagrać płytę w USA. Oszustwo nabierało rozpędu, ponieważ Sikora miała nawet rozmawiać z „producentem muzycznym" i szykowała się do lotu za ocean na nagrania. Gdzie haczyk? Aktorka miała wpłacić wkład pieniężny. – Ja się zwierzyłam, że moim marzeniem jest nagranie płyty w Stanach. Moje marzenie zostało zamienione w traumę. Miał być prywatny samolot Anthony'ego, żeby nie robić szumu. Po 20 latach w mieszkaniu w Warszawie siedziałam na spakowanych kartonach – wspominała w „Dzień dobry TVN". Wylot do USA się opóźniał. Przy trzecim przesunięciu Natalia Sikora dostała dziwny fotomontaż dowodu Hopkinsa. Wtedy zrozumiała, że dała się nabrać. – Wyłudził ode mnie pieniądze. Poszło to schematem ekonomicznym: skoro my inwestujemy w twój pomysł na Amerykę, to ty musisz też. Wierzyłam, że tam się odkładają bezpiecznie, które są potrzebne na nagrania. Powstrzymało mnie to, że wylot zaczął się opóźniać. Byłam w coraz gorszej sytuacji, zawiesiłam rolę w Och-Teatrze, zrezygnowałam ze „Skazanej" w TVN. Zaczęłam się niepokoić. W końcu przysłał mi takie zdjęcie, zobaczyłam, że to jest fotomontaż, i wyraziłam to. Wtedy dostałam komunikat, że albo wpłacę pewną sumę, albo opublikuje wideo, które nagrywał podczas rozmów – wspomina. – Byłam na takim etapie samorozwoju, że pierwsze trzy tygodnie wiedziałam, że muszę sobie pozwolić na nagłe przytycie 8 kg, bo mój organizm i tak zwariuje. Po tym czasie poszłam w logikę, nazwałam plusy tej sytuacji. Podszkoliłam język angielski. Co więcej, urodziłam się z naiwnością, teraz już ona taka nie jest. Plusem jest to, że się nie poddałam. Cieszę się, że przez pierwsze dwa miesiące podważałam zaufanie do tej relacji. Ale kiedy odzywa się do osoby wysoko wrażliwej Anthony Hopkins i zadaje najgorsze pytanie, o czym marzę, ja się posypałam. To był taki moment w moim życiorysie, że ucieszyłam się tym i dałam wiarę, że być może będę z nim rozmawiać. To było bardzo profesjonalnie serwowane. Tu sekretarka, prywatna platforma. Dwa razy rozmawialiśmy przez telefon. To był podrobiony głos – podsumowała.

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/JOOTW/EAST NEWS

W SZALE TAŃCA

„Idź do pracy, zajmij się czymkolwiek, cokolwiek rób, idź na bezrobotne, zajmij się jakąkolwiek pracą, jakąkolwiek robotą, przestań mnie nachodzić, a najlepiej odejdź". To jedno z ulubionych zdań autorki „Gwiazdobzduru" z historii polskiej pop-polityki. Kazimierz Marcinkiewicz świetnie wyraził to, co można pomyśleć, wysłuchując kolejnych żalów celebrytów na tematy wszelakie. Tancerka Agnieszka Kaczorowska wciąż przeżywa porażkę w „Tańcu z gwiazdami". – My byliśmy bardzo zaskoczeni, było nam bardzo przykro. Czuliśmy się, jakby ktoś nas wykopał z pędzącego pociągu, nie zatrzymując się nawet na żadnej stacji. Bo w momencie, kiedy coś idzie gorzej, bierzesz pod uwagę, że możesz odpaść. Ale kiedy z odcinka na odcinek jest lepiej, a twój partner tak pięknie się rozwija, to nagłe zakończenie jest trudne do zaakceptowania – opowiadała w Radiu Złote Przeboje. – Marcin, który na początku był spięty, zamknięty, przekonany, że nie potrafi tańczyć, z odcinka na odcinek otwierał się coraz bardziej. Patrzyłam na to z boku i byłam pod ogromnym wrażeniem. Kiedy zatańczył rumbę, cha-chę, a potem taniec współczesny, w którym całkowicie się otworzył, miałam wrażenie, że osiągnęliśmy coś wyjątkowego. I nagle ktoś mówi „stop" – zachwalała swojego życiowego i tanecznego partnera. Aga opowiada, że następne dni to był czas rozterek, co dalej. – Od wiosny mieliśmy w głowie pomysł na wspólny spektakl, który początkowo miał być głównie o relacji dwojga ludzi, z odrobiną tańca. Jednak kiedy Marcin zakochał się w tańcu i poczuł go całym sobą, zrozumieliśmy, że to musi być spektakl taneczno-aktorski. To będzie coś naprawdę wyjątkowego – zapowiedziała tancerka. „Przestań mnie nachodzić...".

POSTAW NA MARIANNĘ

Maksymę Marcinkiewicza mogłaby sobie wziąć do serca także Marianna Schreiber, ale chyba nie ma co na to liczyć. Niedawno zakończył się trwający siedem miesięcy związek Marianki z Piotrem Korczarowskim, określanym jako „prawicowy działacz". „Myślę, że należy wam się kilka słów prawdy. Zanim media to rozdmuchają, chcę powiedzieć, że rozstaliśmy się z Piotrem ostatecznie" – wyznała. Piotr coraz częściej porusza temat rozstania publicznie. Pytany przez internautów, czy tęskni, odparł: „Oczywiście, że tak! Musiałbym kłamać, gdybym przyznał, że to rozstanie w ogóle mnie nie obeszło. Sam jednak o tym świadomie zdecydowałem i wiem, że nie bylibyśmy razem szczęśliwi". Życie miłosne pani Schreiber to istna telenowela, która budzi tak wiele kontrowersji, że do akcji wkroczyli... bukmacherzy. Według zakładów jest 35 proc. szans na to, że Marianna znajdzie nowego chłopaka do końca roku. Większość obstawia, że pozostanie singielką. ©℗

eprasa.pl a82608b277

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, X (dawniej Twitter) zapłonął pod wpływem weta Karola Nawrockiego wobec ustawy, która zapewniała osobopsom kojce wielkości inwestycyjnych kawalerek na Mokotowie. Tak, celowo używamy tego przerysowania, iżby zwrócić uwagę na problem systemowego dyskryminowania osobozwierząt w debacie publicznej. I nie chodzi tylko o tę jedną, aczkolwiek symboliczną ustawę, ale w ogóle o sposób mówienia, myślenia i traktowania osobozwierząt w tenkrajowej debacie publicznej.

Po pierwsze, co to w ogóle za argument, iż ustawa jest zła, bo psoosoby w małych ośrodkach będą musiały mieć zapewnione kojce o powierzchni – w zależności od wagi psa (sprawdzić, czy nie bodyshaming) – nawet 20 mkw., czyli mniej więcej tyle, ile przeznacza się na wynajem dla pięciu studentów antropologii, którzy przyjechali do Warszawy z Kobyłki, Ostrołęki czy innych Siedlec.

Czy to zatem oznacza, iż osobozwierzęta, a konkretnie psoosoby, są gorsze niż osoboludzcy studenci? Dlaczego w ogóle rozmawiamy w taki sposób, zamiast np. zwrócić uwagę na to, iż mamy do czynienia z próbą niwelowania różnic w standardzie życia między ludźmi a zwierzętami, co pozwala chociaż na chwilę zatrzymać się, oderwać od antropocentrycznej procedury ustawodawczej i chociaż na chwilę sprawić wrażenie, iż można stanowić prawo inaczej?

Po drugie, ta straszna kampania w komunikacji miejskiej w Warszawie, która bazując na negatywnych skojarzeniach, które większość niestety osób w tym kraju ma z osoboświnią, wykorzystała wizerunek jednej z nich do tego, iżby zachęcać do utrzymywania czystości w komunikacji miejskiej. Jesteśmy przekonani, iż Rafał Trzaskowski o takiej kampanii nie wiedział, bo jakby wiedział, to na pewno na nią by się nie zgodził.

Natomiast jak w soczewce skupiają się w tej kampanii wszystkie pogardliwe stereotypy, które osoboludzie mają wobec osobozwierząt. Że niby osoboświnia brudna, podczas gdy przeciętny janusz, jedząc kanapkę w Ryanairze, narobi wokół siebie większego syfu. Dlatego nie dziwi nas postawa aktywistów prozwierzęcych, którzy wobec tej kampanii zaprotestowali, i za to im dziękujemy xD.

Wogóle ten problem w podejściu Polaków do zwierząt jest widoczny nawet na poziomie przysłów, którym mniej świadomi przyczyny i skutków pewnych zjawisk mniej wykształceni mieszkańcy mniejszych ośrodków tłumaczą sobie, dlaczego owe zjawiska zachodzą.

I tak np., kiedy na zewnątrz jest brzydko, mówią, iż „pogoda jest pod psem". Albo kiedy się mówi, że coś jest nieosiągalne, to wypowiada się zdanie: „zobaczysz coś jak świnia niebo" (co swoją drogą jest okropnym eschatologicznym wykluczeniem). Już nie mówiąc o tym, iż kłótnię między osobami nazywa się „darciem kotów", co pochodzi od tradycyjnej podkarpackiej metody rozwiązywania sporów; pozwólcie, iż nie będziemy się wdawali w szczegóły, słowa mówią same za siebie. Czy też „krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje", a więc nie dość, iż animofobia, to jeszcze patriarchat.

W każdym razie mamy nadzieję, iż te wszystkie protesty na Twitterze, nawet jeśli nie zmienią procesu ustawodawczego, przynajmniej otworzą oczy na język, którym na co dzień posługuje się większa połowa tego kraju, mówiąc o osobozwierzętach, a więc jak ich słowa o osobozwierzętach oddają sposób myślenia na ich temat w wykonaniu przeciętnego janusza.

Zastanawiamy się też, czy takie sformułowania nie powinny podpadać pod przepisy o mowie nienawiści lub myśli nienawiści. Bo niestety tak to jest, że jak Polakowi nie pokażesz sankcji, to nie zrozumie, iż czegoś nie może albo nie powinien robić (a także myśleć). ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Bydlę

Włodek, co ci się stało? Kulejesz?
A, daj spokój, Donald. Jakiś kundel mnie ugryzł. Do kumpla na wieś pojechałem, a tu wyskakuje jakiś wszarz z obejścia i mnie cap za łydkę.

Przecież ochronę masz?
Podbiegł sopowiec, ale kundel mnie już zdążył ugryźć, zanim go zastrzelili. Ścierwo cholerne.

No patrz. I nieuwiązane bydlę było?
No właśnie nie. I jeszcze się gospodarz tłumaczył, że on popiera ustawę łańcuchową. Bezczelny.

Współczuję.
Weź no sięgnij do szafki po łyskacza, bo chodzić nie mogę. Napić się muszę. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Trzeba przerwać szaleństwa Cenckiewicza".

BARTOSZ T. WIELIŃSKI, *zastępca redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej", na X o szefie Biura Bezpieczeństwa Narodowego*

eprasa.pl a82608b277

PREZYDENT NAWROCKI NA SZCZYCIE V4

Współpraca energetyczna i gospodarcza, bezpieczeństwo regionu i sprzeciw wobec polityki Unii Europejskiej były głównymi tematami spotkania prezydentów Państw Grupy Wyszehradzkiej, które w środę odbyło się w Ostrzyhomiu, historycznej stolicy Węgier.

– Niepodległość energetyczna jest wyrazem suwerenności każdego z naszych państw – oznajmił prezydent Karol Nawrocki. I podkreślił, że Polska – jako państwo z dostępem do morza – może być hubem dla wszystkich krajów Grupy Wyszehradzkiej w zakresie dostarczania gazu ze Stanów Zjednoczonych. Prezydent Nawrocki dodał także, że Polska w ostatnich latach prowadziła zaawansowane rozmowy w sprawie możliwości dostarczania gazu ziemnego poprzez rozbudowaną sieć interkonektorów, i zaznaczył, że wstępnie rozmawiał już o tej sprawie z przywódcą Stanów Zjednoczonych Donaldem Trumpem.

W szczycie Grupy Wyszehradzkiej oprócz Karola Nawrockiego wzięli również udział prezydenci Węgier Tamás Sulyok, Czech Petr Pavel oraz Słowacji Peter Pellegrini. *(jap)* ©℗

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

eprasa.pl a82608b77

FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

Teren dawnego niemieckiego nazistowskiego obozu pracy Treblinka FOT. JAROSŁAW SENDER/EAST NEWS

Powrót fałszerzy historii

Rafał A. Ziemkiewicz

Po kilku latach propagandowego odprężenia ze strony środowisk żydowskich i życzliwych im zachodnich mediów nagle, bez żadnej konkretnej przyczyny, znowu narasta fala antypolskiej propagandy. Jej wątki są te same co zawsze: Polska jest współodpowiedzialna za Holokaust, Polaków cechuje odwieczny antysemityzm „wyssany z mlekiem matki", Polska odmawia rozliczenia się ze swoją zbrodniczą przeszłością i wypłacenia organizacjom żydowskim „odszkodowań za pozostawione w Polsce mienie bezspadkowe". Dlaczego właśnie teraz? Nie przypadkiem

Poseł Konfederacji Korony Polskiej Włodzimierz Skalik nagłośnił w mediach społecznościowych żądanie, z którym wystąpili działacze związani z organizacją i portalem jewish.pl, by z terenu sąsiadującego z byłym niemieckim obozem zagłady w Treblince usunięto krzyże, postawione w roku 1964 na zbiorowej mogile polskich robotników przymusowych. Jest to żądanie z wielu względów absurdalne i bezczelne, począwszy od sugestii, że znak krzyża obraża uczucia pielgrzymujących do miejsca zagłady swych przodków Żydów, poprzez niezgodne z historycznymi faktami twierdzenie, że w mogile leżą Żydzi, nie Polacy (zidentyfikowano ok. jednej piątej pochowanych – na 200 tylko czterech było narodowości żydowskiej, nawet jednak gdyby proporcje były odwrotne, nie może to podważać naszego prawa do uczczenia pamięci polskich ofiar), aż po „argument", że krzyże w okolicach Treblinki „zawłaszczają" pamięć męczeństwa dla Polaków, podczas gdy „pamięć Zagłady jest własnością międzynarodowej wspólnoty żydowskiej".

Co prawda, kuria w wydanym w czwartek oświadczeniu zaprzeczyła, jakoby apel portalu jewish.pl trafił do niej w jakikolwiek oficjalny sposób, niemniej „fakt prasowy" został stworzony i szybko się upowszechnił. Trudno nie podejrzewać w nim świadomej prowokacji, mającej ściągnąć pod Treblinkę jakieś szemrane towarzystwo, na które czekać będą kamery czołowych amerykańskich i światowych mediów. Bardzo prawdopodobne, że przybędzie tam z pikietą Grzegorz Braun, który niedawno urządził protest pod bramą Auschwitz. Niewykluczone, że zabierze ze sobą osławionych „Jaszczura" i „Ludwiczka" oraz różne podobne indywidua i że pikieta przerodzi się w kolejny przekraczający granice przyzwoitości happening.

POWTÓRKA Z OŚWIĘCIMSKIEGO „ŻWIROWISKA"

Wszystko to wpisuje się w całą serię niedawnych wydarzeń, zapoczątkowanych ogłoszonym, ni stąd, ni zowąd, projektem „Krajowej Strategii przeciwdziałania antysemityzmowi i wspierania życia żydowskiego na lata 2025–2030". Jak należało się spodziewać, dokument ten pełen jest zapisów, które można dowolnie interpretować i którymi można uzasadniać cenzurę oraz inne naruszenia konstytucyjnej wolności słowa i zgromadzeń. To właśnie przeciwko tym zapisom urządził pikietę Braun. Ta z kolei zainspirowała Jewish Telegraphic Agency, „Times of Israel" oraz inne żydowskie media do fali publikacji „przypominających", że to Polacy dokonali Shoah, uparcie odmawiają przyznania się do swych win i oddania „mienia bezspadkowego" organizacjom żydowskim, a teraz jeszcze „wybrali na prezydenta antysemitę i negacjonistę Holokaustu". Nawet stanowczy głos w obronie Polski ambasadora USA Thomasa Rose'a nie zatrzymał tej fali, został on usłyszany tylko u nas.

Bezczelne żądanie zaorania grobów polskich ofiar Treblinki wydaje się kolejnym etapem przeprowadzanej na zimno, cynicznie, operacji, stanowiącej powtórkę z prowokacji na oświęcimskim „żwirowisku". Wtedy twarzą akcji stawiania na przekór Żydom lasu krzyży stał się nieżyjący już Kazimierz Świtoń, w czasach PRL bardzo zasłużony opozycjonista, ale – jak się okazało – człowiek politycznie naiwny i łatwy do zmanipulowania. Faktycznym mózgiem operacji, a przynajmniej jej krajowej części, był zaś niejaki Mieczysław Janosz – postać

eprasa.pl a82608b277

ze wszech miar szemrana, kryminalista działający w tych samych czasach na zlecenie SB i wykonujący brudne zlecenia dla komunistycznego wywiadu. Kto dziś odegrać zamierza rolę Janosza, a kto typowany jest na „pożytecznego idiotę" dostarczającego antypolskiej propagandzie żeru?

Trudno nie powiązać całej tej sytuacji z rysującym się planem poddania Ukrainy, której, za zgodę na oddanie Rosji wszystkiego, czego żąda, obiecuje się w ramach rekompensaty wolny dostęp do unijnego rynku i inne korzyści – kosztem Polski. A dotąd tak w naszych dziejach było, że ilekroć Zachód chciał nam zrobić jakieś świństwo, tylekroć nagle przypadkiem zdarzał się u nas jakiś pogrom i światowa prasa zalewana była doniesieniami o tym, jak podli, ciemni oraz antysemiccy są ci Polacy. Gdy po pierwszej wojnie światowej toczyła się batalia o pozbawienie odradzającej się Polski ziem za linią Curzona i Śląska – opisana znakomicie przez prof. Andrzeja Nowaka w „Pierwszej zdradzie Zachodu" – światowe media nagle zaczęły się rozpisywać o „pogromie lwowskim". Nie ma do dziś pewności, co naprawdę się wtedy we Lwowie zdarzyło i czy można w ogóle o „pogromie" mówić, ale wspomniane media wątpliwości takich nie miały. W roku 1945 z kolei, gdy Polskę sprzedawano Józefowi Stalinowi, sumienie świata ukoiła informacja o „pogromie kieleckim" – dziś wiadomo, że zorganizowanym przez Sowietów i ich polskich kolaborantów.

Najtrudniejsze jest w tej sytuacji to, że wrogowie Polski zawsze mogą w instrumentalnym posługiwaniu się oszczerstwami o „polskiej odpowiedzialności za Holokaust" liczyć na współpracę naszej „klasy panującej", zawsze chętnej, by chłostać Polaków „pedagogiką wstydu", w której stereotyp Polaka antysemity zajmuje poczesne miejsce.

Ma to swoje głębokie uwarunkowania, wywodzące się jeszcze ze społecznej odmienności dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Rzecz w tym, że stosunki polsko-żydowskie kształtowały się i przez wieki trwały w trójkącie: polski pan – Żyd – polski chłop. Żyd, obcy w wierze, a zarazem obrotny i chętnie podejmujący się pośrednictwa, brał na siebie całą „brudną robotę" względem poddanych, która mogłaby obciążyć katolickie sumienie dziedzica. Obaj byli więc sobie wzajemnie potrzebni, dlatego szlachecka Rzeczpospolita wolna była od antysemickich prześladowań i ustawowych szykan, których nie szczędziły w tym czasie Żydom państwa zachodnie. Użycie Żyda jako pośrednika w wyzysku miało ze strony szlachcica jeszcze jeden plus: nienawiść wywołana pańszczyźnianą przemocą nie kierowała się przeciwko niemu, on sam chłopu imponował – cała złość pokrzywdzonych skupiała się na Żydzie. Na styku Żyd – chłop narastała więc klasowa nienawiść.

AKTYWNOŚĆ „POŻYTECZNYCH IDIOTÓW"

Współcześnie miejsce szlachcica zajął inteligent, ze swoim dwoistym, paternalistycznym stosunkiem do plebsu: człowiek „nieurodzony" może liczyć na życzliwość i opiekę, ale tylko gdy respektuje wyższość „ludzi wykształconych i na pewnym poziomie" (jak swego czasu skromnie zdefiniowała swój target „Gazeta Wyborcza"), głosuje na tych, których oni wskażą, agreguje wyrażone przez nich opinie i podąża za dyktowaną przez nich modą. W przeciwnym razie „cham" stawiany jest pod symbolicznym pręgierzem i chłostany propagandą. Jako się rzekło, chętnie sięgającą po wyrzucanie mu „odwiecznego" antysemityzmu.

Oczywiście nakłada się tu więcej czynników. Pomarcowe traumy „demokratycznej opozycji", mocno zakorzenionej rodzinnie w „żydokomunie", płynąca z nich obsesyjna podejrzliwość wobec polskiego patriotyzmu i strach przed „demonami nacjonalizmu"... Ten odruch objawił się już w pierwszych dniach „wojny na górze", gdy zdemaskowanie Lecha Wałęsy przez jego byłego rzecznika, Jarosława Kurskiego i „autorytety moralne" jako prymitywnego antysemity było pierwszym posunięciem rodzącej się wówczas michnikowszczyzny. Od razu też sięgnęła ona po metodę „donoszenia światu na polskich antysemitów", by tym oskarżeniem zniszczyć legendę Wałęsy na Zachodzie.

Decyzją rządu Donalda Tuska szefową rady muzeum Auschwitz została Barbara Engelking, jedna z ikon antypolskiej propagandy

Od samego zarania III RP dyskurs „demaskowania polskiego antysemityzmu" przez „światłe elity" połączony został zatem z instynktem szukania przez nie wsparcia na Zachodzie poprzez donoszenie na własny kraj i szkalowanie go. My, „światli Polacy", trzymamy lewicowo-liberalną, „europejską" straż nad polską ciemnotą, cywilizujemy ją powoli, wydobywamy z zacofania i prowadzimy do zjednoczenia z Europą, musicie nas w tym wspierać – mniej więcej tak się to we wspomnianym dyskursie jawi. Wsparcie oczywiście nadeszło. Zwłaszcza ze strony tych organizacji i środowisk, które obiecują sobie po wrobieniu Polski we współodpowiedzialność za Holokaust tłuste zyski. Aktywność „Wyborczej" i Aleksandra Kwaśniewskiego w redukowaniu historii Polski do Jedwabnego dostarcza bowiem moralnego uzasadnienia roszczeń tam, gdzie brak uzasadnienia prawnego. Nie ma w prawie pojęcia „mienia bezspadkowego" ani zasady, zgodnie z którą majątek pozostawiony bez spadkobierców przechodziłby na organizacje z innego kraju, założone tylko w tym celu przez ludzi tej samej narodowości co nieżyjący właściciele. Ale jest moralny odruch, który nie pozwala zgodzić się na to, by sprawca zbrodni przejął majątek swej ofiary i tym samym by zbrodnia mu się opłaciła. Dlatego aktywność michnikowszczyzny w wywyższaniu się przed zachodnimi salonami ponad „tę drugą, ciemną Polskę", jak ujął to polski oskarowy reżyser, została doceniona jako aktywność „pożytecznych idiotów" idealnie wręcz wpisujących się w potrzeby „Holocaust industry".

Powrót do władzy Donalda Tuska musiał więc oznaczać także powrót Jana Tomasza Grossa, Jana Grabowskiego, Dariusza Libionki i innych fałszerzy historii. Minister obecnego rządu zszokowała wszystkich, oznajmiając światu (i nie było to przejęzyczenie, bo czytała z kartki), że obóz ten postawili „polscy naziści". Potem ten rząd mianował szefową rady muzeum Auschwitz Barbarę Engelking, jedną z ikon antypolskiej propagandy. Czy w tej sytuacji można się dziwić, że i teraz konsekwentnie współpracuje w prowokowaniu w Polsce antyżydowskich emocji?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

Wątpliwe oskarżenia

Piotr Gontarczyk

Główny nurt publikacji i „czasopism holokaustowych” na świecie coraz częściej funkcjonuje na zasadzie omawiania, powtarzania i kompilowania publikacji innych „badaczy”, którzy też nigdy nie powąchali prochu w archiwum. Często przy tym powtarza się nieuzasadnione oskarżenia pod adresem Polaków. Jak przeciwstawiać się rozprzestrzenianiu fałszywych oskarżeń i zwalczać takie naukowe patologie?

Na Zachodzie powtarzają się incydenty z „obozami zagłady w Polsce”. Dotyczy to także niemieckich gazet i telewizji, których pracownicy powinni znać dzieła swoich przodków. Coraz częściej słychać też dziennikarzy i polityków oskarżających Polskę o masowe mordowanie Żydów. Publicznie w Izraelu w 2018 r. przywódca centrowej partii Jesz Atid (Jest Przyszłość) Ja'ir Lapid napisał, że „Polska była wspólnikiem w Holokauście”.

Lapid jest tylko głupcem i niedouczonym ekstremistą, ale sytuacja staje się niepokojąca. Od lat bowiem borykamy się ze skutkami publikacji ukazujących się głównie pod szyldem Centrum Badań nad Zagładą afiliowanego przy Instytucie Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. To środowisko uważające się za „nową polską szkołę badań Holokaustu” na dużą skalę przerabia fakty i treść źródeł historycznych, tak by maksymalnie obciążać Polaków zgodnie ze scenariuszem wspomnianym powyżej. Na dzieła autorów tej „szkoły” powołują się kolejni dziennikarze i naukowcy. Szwedzka historyk Holokaustu Ingrid Lomfors kilka lat temu stwierdziła, że „Holokaust byłby niemożliwy bez aktywnego uczestnictwa lub biernej zgody ludności lokalnej”. Powołała się przy tym na Jana Tomasza Grossa oraz dzieła dwóch najbardziej znanych (obok Barbary Engelking) autorów tej „szkoły”: Jana Grabowskiego i Dariusza Libionki. Wyraźnie widać, że Lomfors ma znikomą wiedzę o Zagładzie, ale do swoich tez miała „ściągę” właśnie w postaci wątpliwej wartości publikacji dwóch wspomnianych naukowców. To zjawisko typowe: główny nurt publikacji i „czasopism holokaustowych” na świecie coraz częściej funkcjonuje na zasadzie omawiania, powtarzania i kompilowania publikacji innych „badaczy”, którzy też nigdy nie powąchali prochu w archiwum. Jak przeciwstawiać się rozprzestrzenianiu fałszywych oskarżeń i zwalczać takie naukowe patologie?

Niektórzy politycy, publicyści kojarzeni z prawicą powrócili ostatnio do pomysłu składania pozwów na gruncie Kodeksu karnego albo powrotu do próby nowelizacji ustawy IPN. Jedno i drugie ma umożliwić ściganie osób pomawiających Polaków o współodpowiedzialność za niemiecką politykę eksterminacji Żydów. Pozornie to pomysły zrozumiałe, ale dobrymi chęciami to jest piekło wybrukowane. Angażowanie prokuratury i sądów do ścigania polityków i publicystów, tak samo jak próba ingerencji w treść dysput naukowych, to typowy przypadek, kiedy lekarstwo przyniesie bez porównania większe szkody od samej choroby.

PRYMAT NAUKI

W 2007 r. na Zachodzie ukazał się ciekawy artykuł prof. Dariusza Stoli z PAN pt. „The Polish debates on the Holocaust

eprasa.pl a82608b277

Barbara Engelking i Jan Grabowski na spotkaniu wokół książki „Dalej jest noc" w muzeum POLIN, Warszawa 2018 r.
FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

and the restitution of property" („Polskie debaty o Holokauście i restytucja [żydowskiej] własności"). W podsumowaniu o tytułowym zagadnieniu można przeczytać: „Już samo dopuszczenie myśli, że wśród tego [wojennego] pokolenia, wśród bohaterów i męczenników, byli również zbrodniarze, którzy prześladowali Żydów lub wykorzystywali ich nieszczęście, jest dla wielu Polaków bardzo trudne. W tym kontekście mówi się o polskiej »obsesyjnej niewinności« [...]. Powtarzające się debaty na temat stosunków polsko-żydowskich i Holokaustu poczyniły postępy w poszerzaniu społecznego zrozumienia tych problemów, co może również ułatwić znalezienie rozwiązania kwestii własności". A więc im więcej w nauce i debacie publicznej będzie o Polakach, którzy mają na sumieniu występki i zbrodnie na Żydach, tym łatwiej Polacy będą skłonni do jakiejś formy „restytucji żydowskiego mienia". Traktując rzecz konsekwentnie, można pójść dalej: im szybciej Polacy zostaną „przesunięci" z kategorii ofiar drugiej wojny światowej do grona współsprawców i beneficjentów Holokaustu, tym łatwiej będzie na nich wymusić (nienależne przecież, bo mówimy o mieniu bezspadkowym, które przeszło na własność Skarbu Państwa) jakieś środki finansowe za „żydowskie mienie zrabowane w Polsce".

Wydaje się, że operacja pozbawienia Polaków statusu ofiar to główny cel działania „nowej polskiej szkoły badań Holokaustu". Nie chodzi o rzetelną rekonstrukcję przeszłości, tylko preparowanie takiej jej wersji, która będzie dla nich jak najbardziej niekorzystna. Wszystkie chwyty wydają się tu dozwolone. Wielokrotnie pisałem, że czołowa przedstawicielka tej „szkoły", prof. Barbara Engelking, podobnie Jan Grabowski czy Dariusz Libionka, bezceremonialnie i na dużą skalę przerabiają fakty i treść wykorzystywanych dokumentów. Przykładów działań tej grupy podałem już publicznie wiele. Przykładowo: Barbara Engelking na dużą skalę przerabia „nożyczkami" wszystko: niemieckie dokumenty z czasów wojny, żydowskie relacje czy cytaty z wykorzystywanych akt sądowych. Jan Grabowski cytat o polskich strażakach gaszących getto w Węgrowie przerobił tak, żeby w jego publikacji wspomniani to getto podpalali. Inna autorka tej „szkoły", Dagmara Swałtek-Niewińska, przerobiła historię getta w Bochni. Tam setki Żydów, którzy ukryli się w różnych bunkrach i kryjówkach, wyciągnęła ze skrytek i wydała w ręce Niemców na rozstrzelanie (po wcześniejszym ich obrabowaniu) żydowska policja. W „nowej wersji" historii w tym zbrodniczym procederze funkcjonariuszy OD zastąpili już Niemcy i Polacy. Analogicznie „rekonstruowali" historię inni członkowie tej grupy, jak Karolina Panz czy Alina Skibińska. Rekord pobił jeden z artykułów Dariusza Libionki, który metodą specyficznego przywoływania źródeł setki (!) niemieckich ofiar dopisał Polakom. W książce „Dalej jest noc" takich żydowskich ofiar

eprasa.pl a82608b277

Niemców (a niekiedy także żydowskich policjantów) są już po prostu tysiące. Nic to w polskiej historii nowego. Przed laty „naukowcy" z Zakładu Historii Partii KC PZPR latami publikowali sfałszowane dokumenty. Nawet w III RP w latach 90. ukazała się przerobiona wersja wspomnień żydowskiego policjanta Calela Perechodnika. Dziś mamy do czynienia z podobnymi praktykami, tyle że na większą skalę i pod szyldem PAN. Ale czy to wystarcza, żeby do walki z tą patologią angażować organa ścigania?

AKT OSKARŻENIA?

Nieskrępowane prowadzenie badań naukowych jest fundamentem naszej cywilizacji. Dotyczy to także tak drażliwej kwestii, jak naganne, niekiedy wręcz zbrodnicze czyny niektórych Polaków w czasie Holokaustu. Po stronie naukowców w tej kwestii stoją nie tylko oczywiste wartości, lecz także prawo międzynarodowe. Tylko w 2024 r. Parlament Europejski stworzył dwie rezolucje zobowiązujące państwa członkowskie do zwalczania wszelkich przejawów tłumienia wolności nauki. Z drugiej strony prawda nie podlega żadnej prawnej ochronie. Z jednym wszakże wyjątkiem. Dotyczy on de facto tylko jednej grupy etnicznej i tylko Holokaustu. Chodzi o tzw. kłamstwo oświęcimskie, które jest ścigane jako sprzeczne z prawdą, a także „niezgodne z pamięcią i czcią dla ofiar Holokaustu". To wybiórcze i sporo mówiące o współczesności podejście do „pamięci i czci" dla ofiar totalitaryzmów i czystek etnicznych XX w.

Drastyczna dysproporcja między ochroną wolności nauki i braku takowej dla prawdy powoduje, że ściganie autorów oczywistych kłamstw jest niemożliwe. Wspomnianych tu publikacji Barbary Engelking, Jana Grabowskiego et consortes nie można kwestionować środkami prawnymi, a w szczególności na gruncie prawa karnego. A w przeszłości próbowano podobne kroki uskuteczniać.

W 2019 r. prokuratura w Katowicach zleciła mi ekspertyzę tego, czy słowa ideowego patrona opisywanej „szkoły" Jana Tomasza Grossa, jakoby „w czasie wojny Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców", można uznać za przestępstwo z art. 133 („Kto publicznie znieważa Naród lub Rzeczpospolitą Polską, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3") Kodeksu karnego. Na wstępie należało zatem ustalić, czy twierdzenia Grossa miały coś wspólnego z prawdą? Tylko w czasie wojny obronnej w 1939 r. Polacy zabili 16 tys. niemieckich żołnierzy, a przecież walczyli potem jeszcze pięć lat na różnych frontach drugiej wojny światowej. Z drugiej strony udokumentowane przypadki, w których Polacy („granatowi policjanci", partyzanci, zwykli chłopi i pospolici bandyci) zabili żydowskich uciekinierów, dotyczą może kilkuset ofiar. Gdyby tę liczbę w szacunkach nawet kilkakrotnie zawyżyć, to nie ma szans, żeby zbliżyła się ona do 16 tys.

Za wypowiedziami Grossa nie stały więc żadne badania naukowe, a jego słowa były zwykłą prowokacją obliczoną na wywołanie skandalu. Ale ze względu na brak dokładnych wyliczeń niemieckich i żydowskich ofiar Polaków w czasie wojny nie sposób było te słowa odrzucić jako jednoznacznie fałszywe. Napisałem zatem w opinii, że teza Grossa była najprawdopodobniej kłamliwa, ale trudna do jednoznacznego obalenia i w nauce dopuszczalna. Stwierdziłem też, że w takiej sytuacji „świat nauki oraz polska i międzynarodowa opinia publiczna w oczywisty sposób uzna ją za mieszczącą się w granicach debaty naukowej". Prokuratorzy umorzyli sprawę, pisząc: „Zadaniem prokuratury nie jest rozstrzyganie sporów o charakterze historycznym".

Jakie byłyby konsekwencje, gdyby jednak spróbowano postawić Grossowi jakieś zarzuty? Na jego miejscu od razu poleciałbym do Polski i dał się zakuć w kajdanki jeszcze na lotnisku. Fala oburzenia zrobiłaby jemu i jego niemądrym wypowiedziom skuteczną reklamę na całym świecie. A potem, gdyby inne zabiegi zawiodły, w obronie obywatela USA przypłynęłyby do Gdańska amerykańskie lotniskowce.

UKRYCI ZA PARAWANEM NAUKI

Historia Holokaustu zawsze była obszarem ideologicznej presji. Tragiczna przeszłość trochę zastąpiła dawną religię integrującą desakralizującą się żydowską społeczność i dała jej paliwo do roszczeń politycznych i finansowych. Ostatnie lata rządów izraelskiej prawicy odcisnęły też wyraźne piętno na Instytucie Yad Vashem. Instytucja ta zrezygnowała z kontroli jakości badań, nagradzając lub publikując zawierające systemowe manipulacje książki Barbary Engelking i Jana Grabowskiego. Zgadzam się z tezą, że ostatni kuriozalny tekst zamieszczony przez Yad Vashem w mediach społecznościowych o Polsce (ta w czasie, do którego tekst się odnosił, nie istniała), w której wprowadzono pierwsze restrykcje polegające na noszeniu przez Żydów opasek, nie był przypadkiem. To niepokojąca wizytówka różnorodnych prób obarczania Polski odpowiedzialnością za rzekomy współudział w Holokauście.

Warto wspomnieć, że takie działania mają konkretnych beneficjentów. Jedna z ostatnich kłamliwych książek Jana Grabowskiego przenosi winę za śmierć setek tysięcy (!) Żydów z niemieckich żandarmów i funkcjonariuszy gestapo na tzw. policję granatową w Generalnym Gubernatorstwie. Autor pisał ją jako stypendysta Zentrum für Holocaust-Studien przy Instytut für Zeitgeschichte w Monachium. Grabowskiego finansowała także fundacja Gerda Henkel Stiftung. Ta sama, która stoi za książką kolejnego pokolenia „nowej szkoły badania Holokaustu" Grzegorza Rossolińskiego-Liebe. W jego książce („Polnische Bürgermeister und der Holocaust: Besatzung, Verwaltung und Kollaboration", 2024), która w sposób wyjątkowo zuchwały fałszuje historię Holokaustu (obarczając za jego przebieg rzekomo polskie władze lokalne – polecam artykuł Damiana Sitkiewicza w najnowszym numerze czasopisma IPN „Polish-Jewish Studies"), polskim burmistrzom – w sposób systemowy wykonującym niemieckie antyżydowskie rozkazy w sprawie np. tworzenia gett – przypisuje się „inicjatywę własną".

To się nazywa polityka historyczna: Niemcy wykładają konkretne pieniądze na badania, które ich odpowiedzialność za zaplanowany przez nich i przeprowadzony mord na Żydach „rozdzielają" na innych, chociażby na okupowanych przez nich Polaków. Symptomatyczne, że miesiąc temu dziennikarz zawsze niechętnej Polsce gazety „Tagesspiegel" napisał, iż „Holokaust był zjawiskiem europejskim".

Widać więc, że jako przeciwnik historycznej prawdy Niemcy są konsekwentni, zdeterminowani i groźni. Ale to nie powód, żeby żyć złudzeniami o możliwości zatrzymania tej fali kłamstw za pomocą organów ścigania. Polska dostała na ten temat bolesną lekcję w 2017 r., kiedy próbowano wprowadzić do ustawy o IPN artykuł 55a dotyczący „obrony dobrego imienia Polski": „Kto publicznie i wbrew faktom przypisuje Narodowi Polskiemu

eprasa.pl a82608b277

lub Państwu Polskiemu odpowiedzialność lub współodpowiedzialność za popełnione przez III Rzeszę Niemiecką zbrodnie nazistowskie […] lub zbrodnie wojenne lub w inny sposób rażąco pomniejsza odpowiedzialność rzeczywistych sprawców tych zbrodni, podlega grzywnie lub karze pozbawienia wolności do lat 3”. Z przepisów tych wyłączono naukowców i artystów. Nie wiadomo, od czego zacząć krytykować takie pomysły: naukowiec może pisać o Polsce, co chce, ale już dziennikarz opierający się na jego badaniach podlega penalizacji. A czym zmierzyć, czy ktoś dostatecznie „rażąco” pomniejsza odpowiedzialność Niemców za ich zbrodnie? A jak ścigać osoby rzekomo naruszające te przepisy za granicą? Po drodze, w polskiej sejmowej anarchii, „legislacyjni entuzjaści” dopisali takie same reguły rozstrzygania historycznych problemów w sprawie trudnych fragmentów (głównie zbrodnia wołyńska) stosunków polsko-ukraińskich. A gdzie wolność swobodnej debaty publicznej? Gdzie gwarancje wolności słowa? Dobrze, że ten kuriozalny projekt przepadł, choć po drodze wyrządził niepowetowane szkody Polsce, a w szczególności IPN.

Historia Holokaustu zawsze była obszarem ideologicznej presji. Tragiczna przeszłość trochę zastąpiła dawną religię integrującą desakralizującą się żydowską społeczność i dała jej paliwo do roszczeń politycznych i finansowych

MOŻE PROCES CYWILNY?

Żeby już ostatecznie zabić kołek osikowy sądowym próbom „obrony dobrego imienia Polski”, warto wspomnieć o pozwie cywilnym, ponieważ taki przypadek w wypadku „nowej polskiej szkoły Holokaustu” miał już miejsce w przeszłości. Naukowcy z tego środowiska na dużą skalę wykorzystują akta powojennych śledztw i spraw karnych w sprawach o wojenne przestępstwa Polaków wobec Żydów, ale nie interesują się ich prawdziwą treścią. Ich metody wykorzystywania tych akt można często opisać tak: jest jakiś Polak, jest jakieś zabójstwo, więc Polak mordował Żydów. A że śledztwo umorzono, bo sprawa okazała się tylko fałszywym donosem? Albo proces pokazał, że oskarżonego nie było w tym czasie i w tym miejscu, albo opisywana przez świadka zbrodnia nigdy nie miała miejsca? Nie szkodzi: opisujemy wszystkich wspomnianych w źródłach Polaków jako denuncjatorów i morderców Żydów.

W ten sposób Barbara Engelking, Jan Grabowski czy Dariusz Libionka pomówili o różne zbrodnie wielu niewinnych ludzi. Jeden z nich to sołtys ze wsi Malinowo (Podlasie) Edward Malinowski, który na podstawie fałszywych zeznań (skutek konfliktów sąsiedzkich) został oskarżony o wydanie Niemcom żydowskiego bunkra w lesie, gdzie ukrywało się kilkanaście osób. W czasie procesu w obronie Malinowskiego zeznawali Żydzi, których ratował on w czasie wojny. Ustalono też, że denuncjatorem był miejscowy leśniczy, zabity za to przez żydowskich partyzantów. Sołtysa uniewinniono. Jak te akta zinterpretowała Engelking? Tak jak zwykle: opisała Malinowskiego jako denuncjatora okradającego Żydów. Dotknięta takim opisem kuzynka nieżyjącego już sołtysa Filomena Leszczyńska wniosła pozew cywilny. Sąd Apelacyjny w Warszawie odrzucił jej roszczenia, uznając, że wprawdzie doszło do naruszenia dóbr osobistych sołtysa Malinowskiego, ale Engelking nie działała bezprawnie, bo prowadziła badania naukowe. Czyli tak: autorzy takich książek mogą oskarżać, kogo chcą, o zbrodnie na Żydach, ale schowani za plecami nauki zawsze pozostaną bezkarni.

Dla porównania podam przykład innego procesu sądowego. Jakiś czas temu w książce IPN (byłem członkiem redakcji) ukazała się powtórzona za wcześniejszą publikacją błędna informacja, że przed wojną żydowski komunista Ozjasz Szechter został skazany za szpiegostwo. W rzeczywistości siedział on za komunizm, czyli de facto również za próbę zniszczenia Polski, tylko innymi metodami. Kiedy błąd wytknął nam prof. Andrzej Friszke, natychmiast podjęliśmy decyzję o zamieszczeniu sprostowania w kolejnym tomie publikacji. Tak uczyniliśmy. W tym czasie pozew cywilny przeciw IPN złożył syn Szechtera, Adam Michnik. Nie wdając się w dywagację, jak jedna z tych dwóch zdrad głównych mogła kogoś obrazić bardziej niż ta druga, napiszę tylko, że sąd nakazał IPN przeprosiny za naruszenie dóbr osobistych Adama Michnika i zamieszczenie sprostowania. Czyli tak: wolność badań i immunitet nauki, ale nie wtedy, kiedy w grę wchodzi psychiczne dobre samopoczucie Michnika, syna żydowskiego komunisty. Kiedy obraduje polski sąd, nikt nie jest bezpieczny. Kto jeszcze chce tam chodzić bronić prawdy albo „dobrego imienia Polski”?

CO ROBIĆ?

Wobec pojawiających się pomysłów składania pozwów sądowych czy też zapowiedzi powrotu do forsowania w polskim prawie art. 55a ustawy o IPN trzeba powtórzyć: to będą działania nieskuteczne i przyniosą Polsce tylko polityczne i wizerunkowe szkody. Sama akceptacja sytuacji, w której pozwalamy organom nieuprawnionym orzekać o przeszłości (sądom) jest proszeniem się o guza, bo to może obrócić się przeciwko prawdzie. Dziś penalizacji podlega jedynie proste „negowanie Holokaustu”. Ale z czasem interpretacja prawa podlega (merytorycznym albo ideologicznym) wykładniom rozszerzającym. Nie bez kozery Jan Grabowski, obrzucając epitetami jednego ze swoich krytyków, historyka Radosława Jóźwiaka z Węgrowa, napisał o czymś w rodzaju „myślozbrodni” pod tytułem „negowanie świadectw Zagłady”.

Nie wiadomo, co będzie ścigane jutro. A jeżeli za kilka lat próba krytycznej analizy zeznań żydowskich świadków czy też opisywanie pseudonaukowych publikacji Engelking, Grabowskiego et consortes będą penalizowane jako „zaprzeczanie polskiemu współudziałowi w Holokauście”? Im dalej sądy będą trzymane od nauki, tym lepiej dla niej. Obrona wolnej debaty bez przywilejów dla grup etnicznych, niektórych faktów i źródeł to obowiązek wszystkich zwolenników wolności. Jak będą rzetelne badania naukowe, to prawda obroni się sama. Jaskrawość i schematyzm nadużyć dokonywanych w publikacjach „nowej szkoły badań Holokaustu” pozwolą na systemowe zdemaskowanie tej mistyfikacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

Kardynał Grzegorz Ryś na rozdrożu

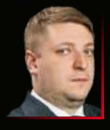

Paweł Chmielewski

Kraków ma nowego metropolitę i – zgodnie z przewidywaniami wielu komentatorów – został nim kard. Grzegorz Ryś. Czy na trwałe zmieni polski katolicyzm? A jeżeli tak, to w jakim kierunku?

FOT. MARIAN ZUBRZYCKI/PAP

Grzegorz Ryś w 2017 r. został arcybiskupem Łodzi, ale całe swoje wcześniejsze życie spędził w Krakowie: tam się urodził, tam studiował. Święcenia kapłańskie przyjął na Wawelu. W 2011 r. został biskupem pomocniczym dawnej stolicy Polski. Nic dziwnego, że od lat mówiło się o jego potencjalnym przeniesieniu. Łódź – ośrodek ważny, ale przecież pod wieloma względami ustępujący Krakowowi – miałby nie odpowiadać ambicjom kardynała, być raczej przystankiem w kościelnej karierze niż docelowym portem. Sam zainteresowany stanowczo temu zaprzeczał i nie ma powodów, by w to nie wierzyć. W licznych rozmowach podkreślał, że biskup nie powinien zmieniać diecezji – i że również on tego nie chce. Co do zasady – to prawda, zarówno w szeroko pojętej perspektywie historycznej, jak i w perspektywie teologii władzy biskupiej; biskup powinien być na stałe związany z jedną diecezją.

Praktyka jest jednak zupełnie inna: biskupów przenosi się notorycznie. Ot, dwa świeże przykłady. Adrian Galbas został metropolitą Katowic w roku 2023 tylko po to, by już rok później trafić do Warszawy. Wiesław Śmigiel w 2017 r. objął diecezję toruńską – a w 2024 r. został arcybiskupem szczecińsko-kamieńskim. Przeniesienie kard. Rysia do Krakowa nie jest zatem niczym dziwnym. Kraków to zresztą stolica kardynalska, inaczej niż Łódź; purpurat Ryś znajduje się tam zatem „na swoim miejscu".

W archidiecezji łódzkiej kardynał miał naprawdę dobre środowisko, biorąc pod uwagę jego zainteresowania. Łódź to przecież nie tylko miasto silnych historycznych związków z judaizmem, lecz także ośrodek dość prężnego życia protestanckiego. Kardynał fascynuje się dialogiem z Żydami oraz ekumenizmem. W Łodzi miał gdzie działać: było na czym eksperymentować, było jak budować nowatorskie drogi kontaktów międzywyznaniowych. Jednak dopiero w nowej archidiecezji Grzegorz Ryś będzie w stanie rozwinąć skrzydła. Słowo metropolity Krakowa waży więcej, a i większe są możliwości. To np. kwestia duszpasterstwa młodzieży, co jest kolejnym z głównych obszarów zainteresowania

eprasa.pl a82608b277

bohatera tego tekstu. Profil demograficzny archidiecezji krakowskiej jest zupełnie inny niż Łodzi: ponaddwukrotnie większa liczba studentów, a wśród nich znacznie wyższy odsetek wierzących. W metropolii kardynałów Puzyny, Sapiehy i Wojtyły nie zabraknie też okazji do intensywnych kontaktów z niekatolikami, zwłaszcza z Żydami – może jeszcze głębszych niż w Łodzi.

MIĘDZY KRAKOWEM A RZYMEM

Choć przeniesienie Grzegorza Rysia do Krakowa chyba nikogo nie zaskoczyło, to możliwy był też zupełnie inny scenariusz wyprowadzki z Łodzi – nie do Krakowa, ale do Rzymu. Papież Franciszek już kilka lat temu włączył Grzegorza Rysia do prac w Kurii Rzymskiej – w dykasteriach do spraw biskupów oraz liturgii, pozwalając mu zdobyć orientację i kontakty w funkcjonowaniu centralnej administracji watykańskiej. Wydaje się, że wprost na miarę łódzkiego kardynała uszyty jest jeden z kluczowych urzędów kurialnych – Dykasteria do spraw Popierania Jedności Chrześcijan. Ta jednostka powstała tuż przed rozpoczęciem Soboru Watykańskiego II, na fali nowego podejścia Stolicy Apostolskiej do dialogu z chrześcijanami niekatolickimi. Można ją śmiało nazwać ekumenicznym „centrum" Kościoła katolickiego. Obecnie Dykasterią Jedności kieruje szwajcarski kardynał Kurt Koch. W marcu tego roku skończył jednak 75 lat, osiągając kurialny wiek emerytalny. Złożył rezygnację na ręce Franciszka, ale papież zdecydował o tymczasowym pozostawieniu go na urzędzie. Od dłuższego czasu mówiło się, że papież może zaoferować następstwo po Kochu właśnie Rysiowi. Dla Stolicy Apostolskiej byłaby to duża zmiana. Kurt Koch, choć długo współpracował z Franciszkiem, często ganił przejawy ekstrawaganckiego dialogizmu, np. udzielanie Komunii Świętej protestantom w Niemczech. Krytykował też otwarcie deklarację „Fiducia supplicans" z 2023 r., która wprowadziła błogosławienie par tej samej płci. Zastąpienie ostrożnego Szwajcara Polakiem o zdecydowanie wyrazistym temperamencie publicystycznym mogło być kuszącą perspektywą, jeżeli tylko Leon chciałby jakiegoś konkretnego „przełomu" ekumenicznego.

Papież zdecydował jednak inaczej – być może nie bez roli samego kardynała, który na perspektywę przenosin do Rzymu mógł patrzeć znacznie mniej przychylnie niż na wizję objęcia metropolii krakowskiej. Nie oznacza to jednak, że droga watykańska pozostaje dla niego zamknięta. W przeszłości papieże nierzadko wyrywali biskupów zaledwie po kilku latach nawet z bardzo ważnych diecezji, żeby wziąć ich do siebie. Tak było z Józefem Ratzingerem, którego Jan Paweł II po pięciu latach zabrał z Monachium do Kurii Rzymskiej. Tak było też z Victorem Manuelem Fernándezem – Franciszek uczynił go metropolitą argentyńskiej La Platy, a po równie krótkim czasie ściągnął do Rzymu. 61-letni Grzegorz Ryś może pozostać w swojej nowej archidiecezji do emerytury, ale nie zdziwiłbym się, gdyby za pięć lat Leon XIV postanowił dobitnie zasugerować mu inne rozwiązanie. Zobaczymy, jak długo Kraków będzie cieszyć się swoim kardynałem.

Dziś można jednak powiedzieć jedno: metropolia krakowska dla kard. Grzegorza Rysia oznacza znaczące wzmocnienie tej części polskiego Kościoła, która jako jeden z głównych problemów katolicyzmu nad Wisłą definiuje jakoby zbytnie związki hierarchii z prawicową polityką. O takie związki nieustannie oskarżano abp. Marka Jędraszewskiego. Nie ma wątpliwości, że pod tym względem Grzegorz Ryś będzie zupełnie inny. Niezależnie od jego poglądów na różne sprawy społeczne nie można mu na pewno zarzucić nadmiernego przylgnięcia do narracji PiS, Konfederacji czy jakiekolwiek innej partii z tego spektrum sporu politycznego. Pokazała to choćby sprawa imigrantów, gdzie kardynał wypowiadał się w ostatnim czasie bardzo wyraziście, krytykując postawy niechętne ich przyjmowaniu, rzekomo nacjonalistyczne. Stanowisko kard. Rysia było o tyle zaskakujące, że dość wyraźnie rozjeżdżało się z percepcją tego problemu przez większość katolików zaangażowanych w życie Kościoła – ci są przecież zwykle wyborcami prawicy. Jest oczywiste, że rolą biskupa nie jest iść za wiernymi, ale ich pouczać. Być może jednak metropolicie tak ważnej archidiecezji jak Kraków będzie teraz potrzeba nieco więcej ostrożności; swego rodzaju zapytania, czy za poglądami większości wiernych nie stoi jednak coś głębszego niż tylko „prawicowy populizm" – może raczej rozpoznanie dobrze udokumentowanych problemów czy też ugruntowana obawa o realne kłopoty. Tym bardziej że Anno Domini 2025 nie żyjemy w kraju rządzonym przez prawicę, ale – przeciwnie – przez otwarcie wrogą chrześcijaństwu większość centrolewicową. Kościół, oskarżany dziś o przychylność wobec politycznej prawicy, może łatwo wpaść w odwrotną pułapkę, stając się towarzyszem drogi liberałów czy centrystów. Manewrowanie w tej skomplikowanej rzeczywistości będzie teraz wielkim wyzwaniem dla kardynała.

W KATOLICKIM MAINSTREAMIE

Trzeba jednak pamiętać, że metropolita Krakowa, niezależnie od konkretnej osoby, nie jest w pierwszym rzędzie politykiem – jest duszpasterzem. Jego prymarną rolę stanowi dbanie o sprawy Kościoła, w tym zabieranie głosu w ważnych dyskusjach teologicznych. Kardynał Grzegorz Ryś ma tu niewątpliwie wiele do powiedzenia. Nie da się tymczasem ukryć, że jego stanowisko w tak istotnych sprawach jak wspomniane wyżej relacje z protestantyzmem czy judaizmem budzi naprawdę ożywione spory.

„Pogląd, że protestant ma się przyłączyć do Kościoła katolickiego, nie jest katolicki [...], już dawno Kościół nie mówi o nawróceniu wszystkich na katolicyzm" – ogłosił już w 2016 r., wywołując tym zdziwienie wielu wiernych, przekonanych, że – tak jak uczył zawsze Kościół – ostatecznie wszyscy chrześcijanie powinni przyjąć katolicką wiarę i być w jedności z papieżem, bez żadnych wyjątków dla protestantów. W rozmowie, którą przeprowadziłem z nim w tym roku – która notabene jest też świadectwem na rzecz otwartości kardynała i jego gotowości do debaty – mówił, że chrześcijanie różnych wyznań, w tym katolicy, pobudowali sobie osobne „domki", w których się pozamykali – co mogło brzmieć tak, jakby te „domki" były sobie w jakiś sposób równe. W 2022 r. pod jego patronatem odbyło się w Łodzi wielkie spotkanie ekumeniczne „Już czas!", gdzie katolickich biskupów i protestanckich liderów przedstawiano pod wspólnym określeniem „liderów Kościoła". Można zapytać: Jakiego Kościoła? Przecież nie katolickiego, bo jego liderami protestanccy pastorzy nie są. Wydaje się, że chodziło raczej o jakiś byt postulowany, a faktycznie nieistniejący – „Kościół ogólnochrześcijański", w którym kategoryzacja na katolików, protestantów czy prawosławnych

eprasa.pl a82608b277

schodzi na drugi plan, z czym trudno pogodzić się komukolwiek, kto poważnie traktuje dogmaty, sobory, papieży…

Stanowisko kard. Rysia wchodzi tymczasem do katolickiego mainstreamu. Znalazło to swój wyraz na początku listopada, kiedy z dużą pompą podpisano w Rzymie szczególny dokument – Kartę Ekumeniczną. Sygnatariuszami były dwie organizacje: ze strony katolickiej to CCEE, Rada Konferencji Episkopatów Europy, czyli de facto reprezentacja Kościoła katolickiego w Europie. Z drugiej strony to Konferencja Kościołów Europejskich, która zrzesza większość niekatolickich wspólnot chrześcijańskich na kontynencie. W imieniu Kościoła Kartę podpisał abp Gintaras Grušas z Litwy, przewodniczący CCEE, a w ceremoniach uczestniczył sam papież Leon XIV. Po stronie katolickiej właściwym twórcą Karty był jednak nie Litwin, ale kard. Grzegorz Ryś, działający jako przewodniczący trzyosobowego składu komitetu przygotowującego dokument. Karta Ekumeniczna powstała pierwotnie w roku 2001; teraz postanowiono ją zaktualizować w nowym kontekście społecznym. Wprowadzone zmiany są dość znaczące. Na przykład w poprzedniej wersji zapisano, że sygnatariusze zobowiązują się do pracy na rzecz widzialnej jedności Kościoła Jezusa Chrystusa. W 2025 r. zobowiązanie wprawdzie utrzymano, ale dodano deklarację akceptowania różnorodności, która ma obrazować cele Boga wobec wierzących. Innymi słowy, to łagodnie wyrażone, ale jednak dość twarde porzucenie nadziei na nawrócenie się protestantów i prawosławnych do Kościoła katolickiego. Zamiast tego przyjmuje się za cel dość wirtualną wspólnotę chrześcijan pozostających we własnych denominacjach. Tego rodzaju głęboko niepokojące zmiany językowe są obecne w całym tekście.

To dość ekscentryczne ujęcie ekumenizmu, które – nawet jeżeli jest zakorzenione w posoborowej nauce i praktyce Kościoła – wydaje się jednak zapominać o jednej, niezwykle ważnej prawdzie: w Kościele katolickim istnieje ciągłość nauczania. Zależnie od kontekstu czasów i miejsca można inaczej rozkładać akcenty, ale nie jest możliwa istotowa przemiana nauki katolickiej, czyli zmiana samych zasad. W 1928 r. Pius XI ogłosił encyklikę „Mortalium animos", w której wskazał na cel ekumenizmu: nawrócenie na katolicyzm wszystkich odłączonych od Kościoła. Po niespełna 100 latach kard. Ryś mówi, że dokładnie taki pogląd „nie jest katolicki", a Karta Ekumeniczna chce akceptować różnorodność. Jak to ze sobą pogodzić? Cóż, to po prostu niemożliwe, bo Pius XI, wzywając protestantów czy prawosławnych do Kościoła, nie wyrażał jakiejś własnej, partykularnej strategii ekumenicznej: wskazywał na zasadniczą prawdę o istnieniu tylko jednego prawomocnego Kościoła Chrystusowego, którym jest Kościół katolicki rządzony przez papieża. Nawet jeżeli Kościół stosuje dziś wobec niekatolików łagodniejszy język, nie może po prostu zrezygnować z głoszenia powyższej nauki. To byłoby zerwanie; budowanie na ewangelicznym „piasku" chwilowych wyobrażeń i światopoglądu, a nie twardej skale niezmiennej doktryny. Protestant ma obowiązek przyjąć wiarę katolicką – niezależnie od tego, czy jest rok 1517, 1928 czy 2025. Można mu o tym przypominać na różne sposoby, surowsze czy łagodniejsze, ale obowiązek jest rzeczą stałą.

Stanowisko kard. Rysia w tak istotnych sprawach jak relacje z protestantyzmem czy judaizmem budzi naprawdę ożywione spory

PYTANIA BEZ ODPOWIEDZI

W podpisanej w Rzymie Karcie Ekumenicznej prawdziwa rewolucja zaszła jednak nie w odniesieniu do protestantów czy prawosławnych, ale do Żydów. Choć również w 2001 r. Karta mówiła o dialogu z judaizmem, to tym razem pojawiły się w niej nowe, bardzo szczególne słowa: „Naród żydowski nie został nigdy zastąpiony przez Kościół chrześcijański, hebrajska Biblia nie została nigdy zastąpiona przez Nowy Testament, pierwsze Przymierze nie zostało nigdy zastąpione przez nowe". Zastanawia mnie zwłaszcza ostatni trzon tego zdania, a konkretnie problem jego połączenia z nauką Kościoła. Jak to możliwe, że pierwsze Przymierze nie zostało zastąpione przez nowe, skoro katolicka Tradycja mówi, że istnieje tylko jedno, nowe i wieczne Przymierze – w Chrystusie Jezusie i Kościele katolickim? Wydawałoby się zupełnie logiczne, że nie mogą istnieć dwie odrębne drogi – jedna dla chrześcijan wierzących w synostwo Boże Jezusa z Nazaretu, druga dla Żydów, którzy to synostwo kategorycznie odrzucają. Kardynał Ryś w przeszłości wielokrotnie mówił, że Kościół nie zastąpił wcale Izraela, a taka doktryna została odrzucona. Teraz będzie prawdopodobnie propagował tę tezę w Krakowie. Byłoby jednak dobrze, gdyby została nieco mocniej udokumentowana… Przypomnę, że obchodzimy w tym roku 60. rocznicę zakończenia Soboru Watykańskiego II. Jednym z najważniejszych tekstów tego zgromadzenia była deklaracja „Nostra aetate". Właśnie w kontekście judaizmu czytamy tam, że… to Kościół katolicki jest „nowym ludem Bożym". W jaki sposób ta nowość Kościoła miałaby nagle ustąpić? Kto i kiedy to ogłosił? Na jakiej podstawie? Na pytania brakuje odpowiedzi.

Z przenosin do Krakowa cieszą się niewątpliwie autorzy „Tygodnika Powszechnego", gdzie od dawna ukazują się krótkie rozważania kardynała. Ponadto katolicy związani z tradycyjną Mszą Świętą pamiętają, że Grzegorz Ryś jako jeden z niewielu polskich biskupów wykazywał się w Łodzi znaczącą dla nich przychylnością. Jak będzie zatem wyglądała jego posługa? Kardynał zaangażował się silnie w Synod o synodalności zwołany przez papieża Franciszka. Wobec synodalności można mieć wiele poważnych zastrzeżeń i ja sam wielokrotnie je formułowałem. W polskim wydaniu synodalność może mieć jednak inny charakter niż rewolucyjny pęd do zmian właściwy np. Kościołowi w Niemczech. Zamiast być motorem wielkich reform, może stać się raczej przestrzenią debaty nakierowanej na ustalenie prawdy. Biorąc pod uwagę otwartość kardynała na dyskusję i gotowość do konfrontowania się z różnymi poglądami, niech będzie wolno wierzyć, że tak właśnie stanie się w Krakowie – na większą chwałę Bożą i w oparciu o niezmienną Tradycję Kościoła.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl a82608b277

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

MAKABRYCZNY KONIEC TYRANÓW

Jęki w Gorkach – Pan życia i śmierci milionów mieszkańców czerwonego imperium odchodził z tego świata w potwornych okolicznościach. Lenin stawał się więźniem własnego ciała, a jego najbliżsi współpracownicy krążyli nad nim jak sępy

Carski tron we krwi – Gdy austriacki kanclerz Klemens von Metternich wspominał śmierć cara Pawła I, zawsze dodawał z przekąsem, że Rosjanie mogliby wreszcie znaleźć inną przyczynę zgonów swoich władców niż apopleksja

Najpotężniejsza w Europie – Eleonora Akwitańska była królową Francji i Anglii, dziedziczką Akwitanii, najbogatszą kobietą wieków średnich

Miliony ministra Czechowicza – Józef Piłsudski wziął na siebie odpowiedzialność za wydatki nieprzewidziane w budżecie. Wiedział, że opozycja nie ośmieli się postawić go przed Trybunałem Stanu

Słońce Austerlitz – ze względu na propagandę, która towarzyszyła zwycięstwu nad siłami rosyjsko-austriackimi, i polityczne znaczenie wygranej, Austerlitz postrzegane jest jako moment, kiedy „słońce cesarza" zaświeciło najjaśniej

Brzemię Wojciecha Żukrowskiego – „Dobry pisarz, ale czasem coś obrzydliwego potrafi napisać" – oceniał go Stefan Kisielewski

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl a82608b277

Z dr. hab. Bartłomiejem Biskupem, politologiem z Uniwersytetu Warszawskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Sztuka balansu

FOT. ANNA ABAKO/EAST NEWS

RYSZARD GROMADZKI: Czy zgodzi się pan z oceną, że prezydent Karol Nawrocki coraz bardziej oddala się od oczekiwań wyborców twardej prawicy, których głosy przyczyniły się do jego wyborczego zwycięstwa? Wydaje się, że takie działania prezydenta jak prolongowanie ustawy o pomocy dla Ukrainy, odwołanie spotkania z Viktorem Orbánem czy choćby podpisana ostatnio ustawa o zakazie hodowli zwierząt na futra coraz mocniej wpisują go w profil poprzednika na urzędzie, czyli Andrzeja Dudy.

DR HAB. BARTŁOMIEJ BISKUP: Myślę, że minęło zbyt mało czasu, żeby tak kategorycznie kwalifikować poczynania prezydenta Nawrockiego. Funkcja prezydenta w naturalny sposób wymaga od sprawującego ją polityka pewnej elastyczności związanej z rolą arbitra, który odwołuje się do szerszego spektrum społecznego, a nie tylko do jednej czy drugiej grupy elektoratu. Taka jest logika systemu politycznego. Prędzej czy później każdy prezydent dochodzi do takiego przekonania, bez względu na to, z jakiego środowiska politycznego się wywodzi. Stąd pewnie bierze się to wrażenie lawirowania przez prezydenta Nawrockiego.

Można to elegancko nazwać sztuką balansu...

Dokładnie tak. Umiejętność balansowania pomiędzy różnymi grupami elektoratu to konieczna umiejętność dla polityka, który ma ambicje wygrać drugą kadencję. Oczywiście można mówić o pewnym zawodzie ze strony twardego elektoratu prawicowego dotychczasową praktyką rządów prezydenta Nawrockiego. Ale przecież wyniosły go na ten urząd różne grupy wyborców. Prawdopodobnie dlatego prezydent Nawrockie stara się zachować ten balans wzorem swoich poprzedników. Chociaż trzeba powiedzieć, że w porównaniu z Andrzejem Dudą prezydent Nawrocki jest politykiem bardziej wyrazistym. Nie boi się wetować ustaw, co oczywiście jednym pasuje, a innym nie. W każdym razie decyduje się na to zdecydowanie częściej niż Andrzej Duda.

Nagłe wycofanie się ze spotkania z premierem Węgier Orbánem przez prezydenta Nawrockiego ma implikacje wykraczające poza politykę krajową.

W mojej ocenie prezydent słusznie próbuje reaktywować format wyszehradzki. Proszę zauważyć, że zmieniła się również perspektywa Orbána. Dzisiaj nie mówi on już w gremiach Unii Europejskiej, że „zawsze się dogadamy", byle tylko zagwarantowany był interes Węgier. Kiedy jako Unia Europejska, a nawet Grupa Wyszehradzka czy format Trójmorza mamy możliwości uniezależnienia Węgier od surowców energetycznych z Rosji, Orbán mówi jasno, że nie chce takiego uniezależnienia. A to właśnie oświadczył podczas ostatniej wizyty w Moskwie. Rodzi to pytanie, czy w takim razie jest o czym rozmawiać.

eprasa.pl a82608b277

Bez Orbána Grupy Wyszehradzkiej reaktywować się nie da, więc trzeba z nim rozmawiać. Za kilka miesięcy na Węgrzech odbędą się wybory i jest prawdopodobne, że Orbán i jego partia Fidesz mogą je przegrać, ale na razie to on rządzi.

Na dzisiaj bez Orbána Wyszehradu reaktywować się nie da. Nie wiem, czy taka była intencja, ale interpretuję ruch prezydenta Nawrockiego jako posunięcie taktyczne. Spotkanie z Orbánem kilka dni po jego wizycie w Moskwie byłoby dla prezydenta Nawrockiego mocno niefortunne. Prezydent natychmiast stałby się obiektem ostrych ataków.

I bez spotkania z Orbánem cały czas jest atakowany przez Tuska i Sikorskiego.

Myślę, że unik Nawrockiego obliczony był bardziej na politykę międzynarodową niż na kolejne szarże Tuska czy Sikorskiego i ich akolitów. Nawiasem mówiąc, prezydent nie pozostaje im dłużny. Karol Nawrocki, co uważam za pozytyw, ma ambicję zaistnienia w formacie Północ-Południe, czyli tzw. Trójmorza. Ten polityczny koncept wypromowany przez Lecha Kaczyńskiego jest nadal wielką, choć wciąż niewykorzystaną szansą dla Polski. Mamy z państwami tej inicjatywy realne interesy wspólne, w przeciwieństwie do osi Wschód-Zachód.

Czy nie zaprzepaściliśmy tych szans, inwestując wszystko w poparcie Ukrainy, oddając Trójmorze walkowerem Niemcom? Gdzie tu sztuka balansu?

Nie zgadzam się z takim stawianiem sprawy. Większość krajów Trójmorza również popiera Ukrainę w konflikcie z Rosją i jej materialnie pomaga. Poza tym jaką mamy alternatywę? Mamy się przyglądać? Nie możemy być państwem neutralnym w sytuacji, kiedy od kilku lat jesteśmy w stanie wojny hybrydowej czy niekonwencjonalnej z Rosją. Podstawowa wspólnota interesów z krajami tworzącymi Trójmorze polega na wspólnym postrzeganiu Rosji, a nie Niemiec, jako największego zagrożenia bezpieczeństwa w naszym regionie. Mamy udawać, że wojna Ukrainy z Rosją nas nie dotyczy, skoro jest dokładnie odwrotnie? Co innego mielibyśmy robić?

Działać na rzecz trwałego pokoju za wschodnią granicą. Naszym fundamentalnym interesem powinno być wygaszenie tego konfliktu.

W porównaniu z Andrzejem Dudą prezydent Karol Nawrocki jest politykiem bardziej wyrazistym

Wygasić wojnę to jedno, ale potrzebujemy też bufora na wschodzie. Nie chcę, żeby zabrzmiało to instrumentalnie, ale Ukraina stanowi dla nas taki bufor. Nawet gdy w relacjach zewnętrznych orientuje się ponad naszymi głowami na Niemcy czy Francję. Mimo tego wszystkiego nie możemy się na Ukrainę obrazić, bo nasze położenie geograficzne i – co jest tego konsekwencją – geopolityczne nam na to nie pozwala.

Obrażać się nie musimy, ale nie musimy też pompować miliardów złotych w skorumpowany do szpiku kości system władzy na Ukrainie.

Powinniśmy do tej pomocy podchodzić jak Amerykanie. Powinniśmy wiedzieć, co się dzieje z pieniędzmi, które przekazujemy na Ukrainę. Skala korupcji na Ukrainie ma bardzo zły wpływ na nasze wzajemne relacje i postrzeganie Ukrainy przez Polaków. Trudno się w tym kontekście dziwić postulatom niektórych środowisk politycznych całkowitego wstrzymania pomocy finansowej państwa polskiego dla Ukrainy. A jest to pomoc wydatna. Według różnych szacunków na przestrzeni ponad trzech ostatnich lat szacowana jest ona nawet na 100 mld zł.

Wróćmy na grunt krajowej polityki. Jak pan tłumaczy rosnące poparcie dla Konfederacji Korony Polskiej Grzegorza Brauna?

Wiąże się to przede wszystkim z urealnieniem wyników sondaży po wyborach prezydenckich. Z jednej strony wyborcy Brauna się policzyli, jak się to mówi. W wypadku małych partii ich wyborcy często kalkulują, czy ich ugrupowanie ma jakieś szanse. W tym wypadku wyborcy Brauna zobaczyli po wyborach prezydenckich, że jest ich naprawdę sporo. W efekcie nie boją się już przyznawać ankieterom, że popierają Koronę. Inną przyczyną sondażowych wzrostów partii Brauna jest przepływ 2–3 proc. najbardziej prawicowo zorientowanego elektoratu Prawa i Sprawiedliwości do Korony.

Czy ugrupowanie Grzegorza Brauna w kolejnych miesiącach nadal będzie „karmić się" dotychczasowymi wyborcami PiS rozczarowanymi tą partią?

Znana formuła Jarosława Kaczyńskiego, że „na prawo od nas jest już tylko ściana", przestała obowiązywać. Jednak trudno zakładać, że przepływ elektoratu PiS na rzecz Korony będzie kontynuowany. Dziś obserwuję stabilizację tego trendu. Ci, którzy mieli przejść do Konfederacji, zrobili to już wcześniej. W wypadku Korony, jak już wspomniałem, przepływ z PiS stanowił 2–3 punkty procentowe elektoratu tej partii i ten proces wyhamował. Chyba że w samym PiS zaczną się jakieś gwałtowne turbulencje wywołane walką frakcji. Jednak wybory parlamentarne to nie sondaże. To duża gra i duże wyzwanie dla małych ugrupowań, takich jak formacja Bruna, bez struktur i pieniędzy.

Politycy Koalicji Obywatelskiej raz po raz odgrażają się, że Konfederacja Korony Polskiej może być zdelegalizowana. Gdyby do tego doszło, stanowiłoby to precedens w polskiej polityce. Pozbycie się ze sceny politycznej partii Brauna byłoby na rękę nie tylko rządzącym. Czy wiedząc o tym, Tusk zdobędzie się na taką zagrywkę?

Żeby doszło do takiego scenariusza, musiałaby być zgoda ponad podziałami ze strony wszystkich sił politycznych. Oczywiście należy pamiętać, że do przeprowadzenia takiego kroku konieczne byłoby spełnienie przesłanek zapisanych w konstytucji i ustawie o partiach politycznych. Podobny precedens, zainicjowany przez Urząd Ochrony Konstytucji, odpowiednik naszej ABW, miał niedawno miejsce w Niemczech i dotyczył delegalizacji młodzieżówki AfD.

Gdyby taką próbę podjęto wobec Korony, na pewno w jakimś stopniu mogłoby to pomóc jej i samemu Braunowi. W Polakach wciąż jest silny element wolnościowy, to część naszego DNA. Niezależnie od poglądów dziedziczymy nadal ułańską fantazję – gdy ktoś próbuje nam coś narzucić siłą czy nakazać, szybko się buntujemy. Gdyby rządzący spróbowali odebrać partię Braunowi, pewnie natychmiast założyłby nową. Dlatego z punktu widzenia władzy to dość ryzykowna operacja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

Pożegnanie staroświeckiego Polaka

Piotr Semka

Odszedł Piotr Wierzbicki. Pozostawał prorokiem, którego nie wysłuchano na szerszą skalę. Okrągły Stół zaskoczył środowiska prawicowe. Michnik i Kuroń rozegrali większość solidarnościowej prawicy jak dzieci

Piotr Wierzbicki urodził się w 1935 r. Ludzi, którzy przyszli na świat w przedwojennej Polsce, jest już bardzo niewielu. W czasach PRL o takich jak on lekarze żartowali, że są „z przedwojennego materiału". Był w tych słowach szacunek dla generacji, która przetrwała sześć lat wojny i dziesięć lat powojennego stalinizmu. Ale w wypadku Wierzbickiego określenie „przedwojenny materiał" odnosiło się też do jego rodzinnej tradycji. Jego dziadkiem był Andrzej Wierzbicki (1877–1961), uczestnik polskiej Delegacji Ekonomicznej na konferencję pokojową w Wersalu. Początkowo długo związany był z obozem Narodowej Demokracji, pełnił nawet funkcję ministra przemysłu w jednym z rządów Rady Regencyjnej. Po zamachu majowym związał się z obozem piłsudczyków i został posłem BBWR. Najbardziej znany był z pełnienia w latach 1932–1939 funkcji prezesa zarządu Związku Polskiego Przemysłu Górnictwa, Handlu i Finansów „Lewiatan".

Po wojnie przez pewien czas tolerowano go w trakcie prac nad zagospodarowaniem Ziem Odzyskanych, ale z powodu „obciążającej" przeszłości szybko zepchnięto go na margines. Latami egzystował na granicy nędzy, żyjąc z dokonywania tłumaczeń z języka rosyjskiego. Jego wnuk, Piotr, mógł po latach obserwować dyskryminację swego dziadka i uświadamiać sobie los „ludzi przedwojennych" jako faktycznych obywateli „drugiej kategorii" w komunistycznej Polsce. To haniebne traktowanie Andrzeja Wierzbickiego z racji „złego życiorysu" bardzo wpłynie na późniejszą publicystykę Piotra.

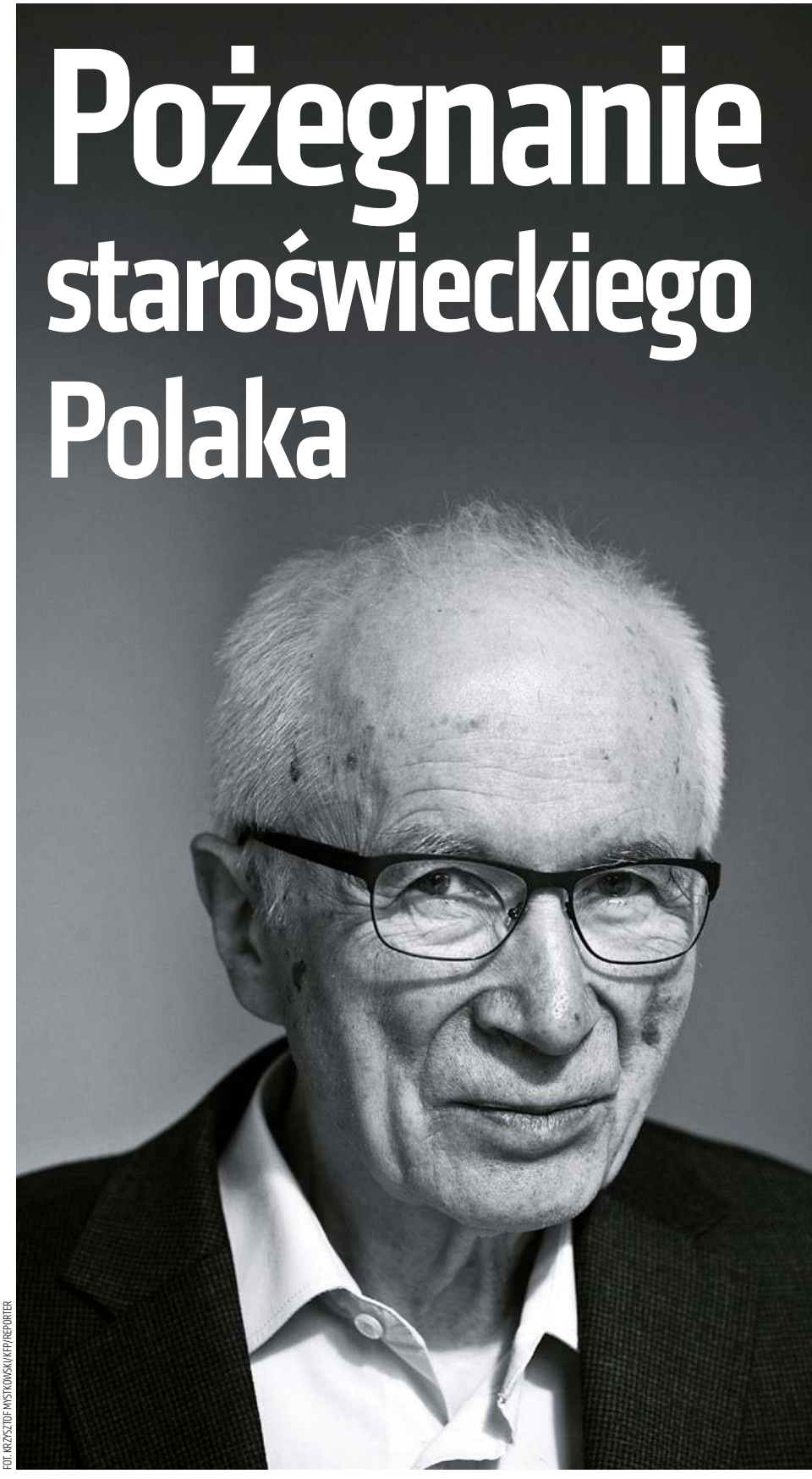

FOT. KRZYSZTOF MYSKOWSKI/KFP/REPORTER

eprasa.pl a82608b277

Zanim wnuk prezesa „Lewiatana" wkroczy na opozycyjną ścieżkę, ukończy w 1957 r. polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, a po uzyskaniu dyplomu będzie uczyć w warszawskich szkołach. Równolegle do pracy pedagoga zawsze rozwijał swój kunszt pisarski, dzięki któremu już od 1957 r. pisywał w piśmie literacko-artystycznym „Współczesność", wspieranym finansowo przez Związek Literatów Polskich ze stosunkowo liberalnym kierownictwem. W 1967 r. wchodzi w skład redakcji pisma studenckiego „itd", a w 1972 r. przechodzi do pisma „Literatura", gdzie publikuje felietony o muzyce i polskiej prozie. Ten w miarę legalny okres życia młody publicysta kończy wskutek jednego gestu – wyniku świadomej i odważnej decyzji. W 1977 r. podpisuje list w obronie aresztowanych członków Komitetu Obrony Robotników. W konsekwencji zostaje natychmiast usunięty z „Literatury" i rozpoczyna los setek ówczesnych dysydentów – utrzymywania się przy życiu z dorywczych prac i tłumaczeń.

Dla pisarstwa Wierzbickiego ma to jeden konkretny praktyczny wymiar. Korzystając ze statusu dysydenta, zaczyna publikować w prasie podziemnej i pisać już bez żadnego owijania w bawełnę o polityce i realiach PRL. Wierzbicki wspominał po latach, jak wielką ulgą było wreszcie pisanie wprost – bez potrzeby używania metafor i aluzji, do których zmuszony był jako publicysta prasy oficjalnej w PRL.

Jego teksty zaczęły pojawiać się w Biuletynie Informacyjnym KSS KOR, w „Głosie" – piśmie Antoniego Macierewicza – czy w „Zapisie" – periodyku niezależnych środowisk twórczych. I to właśnie na łamach „Zapisu" w 1979 r. pojawił się jeden z najważniejszych tekstów dotyczących przyszłego sporu w łonie opozycji – „Traktat o gnidach".

PROROCZY SPÓR

Tekst Piotra Wierzbickiego był rozliczeniem z tą częścią intelektualnych elit, które nie wybierając drogi jawnego zaangażowania się w komunizm, jednocześnie z racji czy to chęci na zachowanie podstaw finansowych swojego życia, czy lęku przed potęgą systemu wybrały rolę „uzasadniaczy" polityki władz z pozycji zdroworozsądkowych lub haseł „o ratowaniu substancji". Wierzbicki pisał: „Gnida to biały, niekomunistyczny pachołek czerwonych zamieszkujący Polskę od jesieni roku 1956. [...]. Gnidy są czymś pośrodku, pomiędzy czerwonymi a antykomunistyczną opozycją". Jak wyjaśniał autor, gnidowatość polega na służeniu swoim czerwonym panom w wielce specyficzny i wyrafinowany sposób. W myśl tej definicji gnida wysila swój intelekt, aby uzasadnić, że to, co jest, być powinno. „Tu na tylnych łapkach staje nie ciało, lecz duch. Tu do służenia wciąga się szare komórki [...]. Właściwością gnidy jest to, że ona, służąc czerwonym, jest w głębi duszy biała, kontrrewolucyjna, przedwojenna, reakcyjna, prozachodnia, wroga. Gdyby na amerykańskich czołgach wjechali pewnego dnia do Warszawy amerykańscy żołnierze, gnidy witałyby ich z ogromnym entuzjazmem [...]. Gnida [...], trudząc się nad tym, żeby różne postępki rządzących uzasadnić, musi się jeszcze trudzić nad czymś dodatkowym: nad tym, żeby przekonać do tych postępków samą siebie [...]. Gnida to jest intelektualny, naukowy lub artystyczny pomocnik nowych panów Polski, antykomunistyczny w głębi duszy, a zajęty uzasadnianiem ich władzy i swojej wobec nich uległości".

Tekst Wierzbickiego wywołał ogromny entuzjazm w środowiskach opozycyjnych, gdyż nazywał coś, co ujawniało ukrytą siłę PRL. Reżim funkcjonował nie tylko dzięki zastępom ubeków i sowieckim garnizonom, lecz także dzięki lawirowaniu sporej części inteligencji, która formalnie co pewien czas demonstrowała swoją rzekomą niezależność wobec systemu. Ale ten zalew gratulacji dla Wierzbickiego wywołał też bardzo znamienną kontrreakcję. Oto Adam Michnik, będący wówczas u szczytu swojej opozycyjnej siły oddziaływania, wydrukował w kolejnym numerze „Zapisu" bardzo zdecydowaną polemikę. Jak zwykle Michnik sprawnie zaczął tekst, tworząc u czytelnika wrażenie, że on sam też zauważał problem gnid i ostrzył pióro, aby opisać ten fenomen. Ale szybko Michnik podkreśla, że mimo rozmaitych emocji, które nim targały, spod jego ręki żaden podobny tekst nie wyszedł.

„Wszelako nic nie napisałem. I myślę, że nie tylko z powodu niedostatku talentu: dlatego również, że ilekroć opuszczała mnie pasja, tylekroć wyczuwałem w tak emocjonalnym ujęciu jakiś fałsz. Dopiero lektura Wierzbickiego uświadomiła mi, na czym ów fałsz polegał, i pozwoliła mi sformułować własny punkt widzenia".

Michnik przechodził następnie do wściekłego ataku na wszelkie wypominanie komuś przeszłości. Oczywiście dla lepszego wrażenia zaczął od paru przykładów z zamierzchłej przeszłości. Przypomniał, że Hugo Kołłątaj miał oprócz chwalebnego udziału w redagowaniu Konstytucji 3 maja także późniejszy epizod załamania nerwowego i przystąpienia do konfederacji targowickiej. Przywołał też przypadek Stanisława Staszica, który oprócz pięknej roli w okresie Sejmu Czteroletniego u schyłku życia w czasie istnienia Królestwa Kongresowego podpisał na skutek nacisku księcia Konstantego akt wprowadzenia cenzury prasowej.

Po tych przykładach niejednoznaczności Michnik przystępował do swego głównego celu – publicznego napiętnowania Wierzbickiego za to, co w „Traktacie o gnidach" uznał za wypominanie niektórym opozycjonistom ich zaangażowania w stalinizm. Michnik pisał: „Staram się też zrozumieć ludzi, którzy uwiedzeni lewicową frazeologią totalitarnego mocarstwa stali się narzędziem w rękach reżyserów i manipulatorów scen zbiorowych na »wielkich budowach socjalizmu«. Z ich rozrachunkowych utworów wiemy, że przeżyli dramat. Ich los, fragment duchowej biografii polskiej inteligencji [...], winien być dla nas lekcją i przestrogą. Ci ludzie padli ofiarą

Wierzbicki wspominał po latach, jak wielką ulgą było wreszcie pisanie wprost – bez potrzeby używania metafor i aluzji, do których zmuszony był jako publicysta prasy oficjalnej w PRL

eprasa.pl a82608b277

oszustwa i samooszustwa. Czy oni pierwsi? I czy ostatni?".

Krótko mówiąc, Michnik już wtedy, w 1979 r., rezerwował dla siebie monopol ewentualnego odpuszczania grzechów za winy zaangażowania się w popieranie systemu. Tę rolę chciał zatrzymać wyłącznie dla siebie, a jednocześnie obawiał się, że pod wpływem „Traktatu" Wierzbickiego ktoś uzna się za predestynowanego do wyrzucania lewicowego zaangażowania w marksizm – i jemu samemu. To wtedy Michnik rozpoczął śpiewkę, która potem będzie już dominantą jego publicystyki po 1989 r. Już wówczas w tekstach Michnika pojawiła się teza, że każda próba rozliczania komunizmu oznaczać będzie nieuchronny wybuch ślepej zemsty w wykonaniu opanowanego nienawiścią tłumu. Już wtedy Michnik pisał: „Wierzbicki ewokuje obraz tej przyszłości, pisząc, że »kiedyś jakiś tłum wielki wylegnie na ulicę, by się każdy rozliczył z tego, co zrobił dla Polski«. Wyznam, że nie uśmiecha mi się wizja Wierzbickiego. Nie chciałbym, aby w pierwszym dniu wolności wielki tłum wylegał na ulicę i rozliczał wszystkich z tego, co zrobili, i z tego, czego nie zrobili dla Polski. Czuję w tym atmosferę ulicznego samosądu. Podniecony odzyskaną wolnością tłum jest zdolny do linczu, ale nie jest zdolny do rzetelnego rozliczania z uczynków. Dlatego też każdy, kto będzie taki tłum podjudzał do rozrachunków, będzie siał ziarno nienawiści. Dlatego też rozrachunki pozostawmy lepiej historykom".

Przyszły redaktor „Gazety Wyborczej", walcząc z Wierzbickim, łaskawie przyznawał prawo do ocen jedynie historykom. Ale po latach wcale nie miał zamiaru trzymać się tej obietnicy. Gdy w 2006 r. dwóch historyków – Sławomir Cenckiewicz i Piotr Gontarczyk – napisało rzetelną pracę o agenturalnej przeszłości Lech Wałęsy, ten sam Michnik obrzucił odważnych badaczy najostrzejszymi potępieniami. I użył prostego wytrychu. Odrzucał to, co napisali Cenckiewicz i Gontarczyk, głosząc, że to nie historycy, a oszczercy.

MYŚLI STAROŚWIECKIEGO POLAKA

Okres karnawału Solidarności lat 1980–1981 był dla Wierzbickiego momentem oddechu od esbeckiej inwigilacji, ale też nie pchał się on do pierwszych szeregów ruchu Solidarności. Zawsze był jak kot chodzący swoimi drogami i źle czuł się w tłumie. Jednak został uznany za na tyle groźną postać dla systemu PRL, że i jego objęło internowanie po wybuchu stanu wojennego. Za drutami spędził prawie siedem miesięcy, więziony w ośrodkach w Białołęce, Jaworzu i Darłówku. Nie zmarnował intelektualnie tego okresu. To właśnie wtedy odzywa się w Wierzbickim tradycja jego dziadka, który do końca lat 20. wielokrotnie współpracował z Romanem Dmowski.

Został uznany za na tyle groźną postać dla systemu PRL, że i jego objęło internowanie po wybuchu stanu wojennego. Za drutami spędził prawie siedem miesięcy

Refleksje i obserwacje ruchu Solidarności z lat 1980–1984 skłoniły go do napisania niezwykle ważnej książki, którą nazwał „Myśli staroświeckiego Polaka". Zadawał w niej bardzo ważne pytania dotyczące tego, jaki światopogląd ma przejąć rząd dusz w Polsce po ideowym bankructwie marksizmu. Jak sam zaznaczał, przystępując do pisania tej książki, miał rozterki, czy powinien „podkopywać gmach poglądów dzisiejszej polskiej inteligencji, wykpiwać najpowszechniej przyjęte zasady i sposoby opozycyjnego politykowania – przekłuwając balony pustych chceń i nadziei bez pokrycia".

Słowa te odnosiły się do zawartej w książce ostrej krytyki całego zakłamania solidarnościowej lewicy, która formalnie występując przeciwko marksizmowi epoki Jaruzelskiego, sama nie chciała zrezygnować z wielu lewicowych miazmatów. Wierzbicki uważał, że właśnie okres „zamrażarki stanu wojennego" powinien być czasem, w którym prawica powinna przemyśleć, z jaką ofertą chce wystąpić do Polaków po tym, gdy system runie. Pisał: „Myśl lewicowa nie jest zdolna pchnąć w Polskę życia. Potrafi już tylko wystawić jej huczny pogrzeb. A co powinna uczynić prawica? Czyliż poczłapie w ogonie konduktu ustrojona w orzełki, wileńskie plakietki, lwowskie breloczki, rozmodlona i rozśpiewana? [...] Myśl prawicowa powinna się uczyć".

Wierzbicki pozostał prorokiem, którego mimo popularności jego książki nie wysłuchano na szerszą skalę. Okrągły Stół zaskoczył środowiska prawicowe. Michnik i Kuroń rozegrali większość solidarnościowej prawicy jak dzieci. W nowej sytuacji Piotr Wierzbicki postanowił wesprzeć Jarosława Kaczyńskiego. W latach 1989–1991 stanowił jedno z najlepszych piór tygodnika „Solidarność". Zasłynął wtedy artykułem „Familia, świta, dwór", w którym odważnie postawił tezę, że ruch Solidarności się dzieli i że utrzymywanie fikcji jedności służyć będzie solidarnościowej lewicy, która mimo pozorów pluralizmu chce nad wszystkim utrzymywać swoją kontrolę. Wspiera Lecha Wałęsę w jego kampanii prezydenckiej, by potem rozczarować się jego egoizmem.

W 1991 r. Wierzbicki zakłada własną gazetę „Nowy Świat", która ma ambicje być gazetą codzienną, alternatywą dla „Gazety Wyborczej". Jednak tak jak w wielu inicjatywach z tego okresu brak solidnej podstawy finansowej spowodował, że latem 1992 r. gazeta upadła.

W 1993 r. zakłada więc kolejne pismo – „Gazetę Polską", którą kieruje do 2005 r. Począwszy od 2003 r. Wierzbicki, ku zdumieniu wielu swoich czytelników, zaczyna dziwną metamorfozę, coraz bardziej dystansując się od prawicy oraz Prawa i Sprawiedliwości. Dochodzi do coraz ostrzejszego konfliktu między Wierzbickim a zespołem gazety, który przestaje rozumieć, w jakim kierunku ideowym chce on prowadzić pismo. W ostrym i chwilami gorszącym konflikcie Wierzbickiego o „Gazetę Polską" ze swoim zastępcą Tomaszem Sakiewiczem wygrywa ten ostatni.

Wierzbicki wycofuje się z politycznej publicystyki. Pisuje felietony do „Gazety Wyborczej", choć jedynie na tematy muzyczne – decyzją tą zaszokuje i zasmuci wielu swoich czytelników.

Do publicystyki politycznej wrócił w „Do Rzeczy" w latach 2016–2017. Z ogromną dumą i szacunkiem powitaliśmy jego teksty na naszych łamach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Msza pogrzebowa za Piotra Wierzbickiego odbędzie się 16 grudnia o godz. 11 w kościele św. Karola Boromeusza na Starych Powązkach. Po Mszy odbędzie się ceremonia pogrzebowa.

eprasa.pl a82608b277

Państwo ambasadorstwo

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Ona – zadeklarowana przeciwniczka PiS, która trzykrotnie odmówiła udziału w balu organizowanym przez prezydenta Andrzeja Dudę. On – gotowy do rozmowy z każdym, choć konsekwentnie realizujący zadania wyznaczone przez USA. „Partnerstwo" – wywiad rzeka z byłym ambasadorem USA w Polsce Markiem Brzezinskim i jego partnerką Olgą Leonowicz – rzuca snop światła na to, jak funkcjonowała placówka w latach 2022–2025

„Dla mnie osobiście nie ma na świecie nikogo, z kim nie byłbym gotów się spotkać, jeśli służyłoby to interesom Stanów Zjednoczonych" – to jedno z pierwszych zdań, które pada z ust Brzezinskiego w książkowym wywiadzie udzielonym wraz ze swoją partnerką Annie Pamule. „Partnerstwo" jest opowieścią na dwa głosy o historii miłości (która miała szansę rozwinąć się na dobre dopiero po wielu latach) i wspólnym osiąganiu sukcesu, ale najciekawsze wątki dotyczą funkcjonowania ambasadora USA w Polsce.

Dyplomata wskazuje na to, że jego przyjazd na placówkę w Warszawie miał być utrudniany. Bardzo dokładnie sprawdzano jego korzenie. „Możliwe, że niektórzy politycy PiS-u chcieli zablokować mój przyjazd, ponieważ wiedzieli, że będę nalegał na zmiany. W 2018 r. udzieliłem wywiadu »Gazecie Wyborczej«, w którym krytykowałem rząd PiS-u za dryf w stronę autorytaryzmu i cofanie się w kwestii praw człowieka" – opowiada Mark Brzezinski. Szybko okazało się, że pomimo rzekomo nieprzyjaznych władz można dość łatwo wywrzeć presję. „Bardzo doceniłem to, że na początku mojej misji prezydent Duda zawetował lex TVN" – zauważa.

DUMA I UPRZEDZENIE

Trudnym momentem był 24 lutego 2022 r. O roli Brzezinskiego po ataku Rosji na Ukrainę Olga Leonowicz mówi tak: „Stabilizacyjna. Po pierwsze – zapewnić polski rząd o wsparciu USA. Po drugie – skoordynować działania między USA i Polską. Zarządzić pracą ambasady USA tak, aby wszyscy wiedzieli, co mają zrobić, gdzie się znaleźć i na czym skupić […]. Widziałam więc wyczerpanego ambasadora i ojca, który ogarniał wojnę, i nastolatkę jednocześnie". Masowe przyjęcie przez Polaków uchodźców z Ukrainy wzbudziło podziw, ale i obnażyło uprzedzenia. Dyplomata wskazuje na to, że „nowe oblicze Polski zrobiło wrażenie na świecie". Jak twierdzi, „wielu Amerykanów pamięta, że w czasie wojny część Polaków zachowała się w sposób haniebny – donosili na sąsiadów, którzy potem trafiali do Auschwitz, a następnie przejmowali ich mienie". Zaraz dodaje, że „byli też Polacy, którzy wykazali się heroizmem: ukrywali Żydów, narażając własne życie i życie rodzin".

Były ambasador jawi się jako ten bardziej otwarty. „Byłem dumny, że udało mi się zbudować bliskie relacje zawodowe z liderami w Polsce – Jarosławem Kaczyńskim, prezydentem Andrzejem Dudą i premierem Mateuszem Morawieckim – mimo że ideologicznie dzieli nas bardzo wiele. Dzięki osobistej współpracy osiągnęliśmy rzeczy o strategicznym znaczeniu". Życiowa towarzyszka Brzezinskiego (sylwetkę Olgi Leonowicz przedstawiłam na łamach tygodnika „Do Rzeczy" nr 24/2024), wywodząca się z kręgów bliskich celebrytom ze stacji TVN, od początku stawia sprawę jasno – przyznaje, że aż trzy razy odmówiła pojawienia się na balu noworocznym u prezydenta Dudy. Ambasador chciał ją przekonać, jednak Leonowicz podkreślała, że to „nie jej prezydent". „Nie dlatego, że pochodził ze środowiska dalekiego mi ideologicznie – szanuję przecież demokratyczne wybory – ale dlatego, że brak niezależności i destrukcyjne działania prezydenta Dudy, a także milczenie pierwszej damy budziły moją głęboką niezgodę".

Ukochana dyplomaty kilkukrotnie wraca w wywiadzie do trudnych relacji z politycznymi elitami rządów PiS i Andrzeja Dudy. „Jeden z polityków z otoczenia prezydenta przywitał się z nami i gdy Mark mnie przedstawił, powiedział do niego: »W dzisiejszych czasach bardzo trudno o dobre sekretarki«. Od razu przeprosił, a następnego dnia – po wyraźnej sugestii Marka – przysłał mi kwiaty z przeprosinami" – wspomina. Kolejna sytuacja: „Pamiętam sytuację, gdy staliśmy z Markiem przy kominku w rezydencji, witając gości. Obowiązywała zasada, że zdjęcia robimy dopiero po oficjalnej części. Wtedy podszedł do nas ówczesny wiceminister. Przywitał się, a potem… chwycił Marka za rękę i dosłownie odciągnął go ode mnie, żeby się z nim sfotografować. Tylko z nim".

MARK BRZEZINSKI, OLGA LEONOWICZ W ROZMOWIE Z ANNĄ PAMUŁĄ „PARTNERSTWO" WYDAWNICTWO AGORA 2025

eprasa.pl a82608b277

Leonowicz nie ukrywa, że hamowała zapał Brzezinskiego do dialogu. „Kiedy Mark przyjechał do Polski, powtarzał, że musi i będzie rozmawiać ze wszystkimi. A ja starałam się go przekonać, że ten czy tamten rozmówca nie jest właściwy ze względu na afery czy przynależność do takiej czy innej partii". Z wywiadu można wysnuć wniosek, że to Leonowicz była jednym z głównych źródeł informacji dla przedstawiciela administracji Joe Bidena na temat sytuacji nad Wisłą.

„Kiedy wróciłem tu w styczniu 2022 r., Polska była zupełnie innym krajem niż ten, który znałem 32 lata wcześniej, podczas stypendium Fulbrighta […]. I to, że byłem związany z Polką, która mogła ze mną rano wypić kawę i odpowiedzieć na pytania typu: »Mam spotkanie w Orlenie. Co to za firma? Kim jest Daniel Obajtek?«, to było dla mnie nie do przecenienia. Możliwość porozmawiania o tym przy śniadaniu, a nie na formalnym spotkaniu w ambasadzie, miała ogromną wartość" – przekonuje Brzezinski. A Leonowicz dopowiada: „Dla Marka wcale nie było oczywiste to, co w Polsce działa, kto jest kim, na kogo warto uważać. Dlatego przy układaniu list gości często proponowałam osoby spoza schematów: z NGO-sów, biznesu, show-biznesu, ale takie, które naprawdę coś robią".

Spór między partnerami wywołało określenie przez Brzezinskiego byłego prezesa Orlenu, Daniela Obajtka, jako „my friend". „Dla mnie to było trudne do zaakceptowania" – mówi Olga Leonowicz. „To prawda, że byłem krytykowany za tamto sformułowanie. Ale w tamtym czasie Obajtek był prezesem Orlenu i osobą, z którą kluczowe amerykańskie firmy starały się nawiązać współpracę" – tłumaczy Brzezinski. Sprzeciw ukochanej wzbudził też fakt, że były ambasador polubił byłego szefa MON Mariusza Błaszczaka: „Działałem z nim w imieniu rządu USA […], dodatkowo z Mariuszem naprawdę się polubiliśmy, mimo że mamy odmienne poglądy polityczne".

Zdecydowanie głębszą sympatią sam ambasador, a także jego partnerka darzyli ludzi reprezentujących „drugą stronę". „Mark, słyszałam, że zarzucono ci, iż twój pies Teddy za bardzo trzyma się z lewicą" – zagaja dziennikarka. Chodziło o Bąbla, czyli buldożka prezydenta Warszawy. „Kiedyś jeden z czołowych polityków PiS-u powiedział mojemu przyjacielowi: »Mark jest zbyt blisko z Rafałem Trzaskowskim«. Przyjaciel odparł: »Mark przyjaźni się ze wszystkimi. Dlaczego tak sądzisz?«. Wtedy polityk nachylił się nad stołem i wyszeptał: »Nawet pies Marka i pies Trzaskowskiego są przyjaciółmi« […]. Sugerowanie, że nagranie z Teddym i Bąblem miało być dowodem jakiegoś spisku przeciw rządowi PiS-u, było kompletnym absurdem" – przekonuje syn Zbigniewa Brzezińskiego. Ten fragment wywiadu opatrzono zdjęciem z Balu Nocy Letniej Fundacji TVN z 2022 r., na którym to zdjęciu siedzą wspólnie przy stole Brzezinski z Leonowicz i Trzaskowscy (takich zdjęć, z logo TVN i decydentami tej stacji, jest w książce więcej). „Miałem znakomite relacje z prezydentem Warszawy. On i jego żona Gosia, ja i Olga, spotykaliśmy się od czasu do czasu – to była bardzo naturalna i wzajemnie wspierająca relacja" – mówi Brzezinski.

AMBASADOR PARADUJE

Lewicowe zapatrywania ambasadora nie były tajemnicą. W 2023 r. poszedł w warszawskiej Paradzie Równości, gdzie niósł wielką flagę USA. „Biały Dom zostawił mi wybór, czy chcę wziąć udział w paradzie. Na Zachodzie wszyscy wiedzą, że w krajach takich jak Polska to może być temat kontrowersyjny, który niepotrzebnie przyciągnie uwagę. Ale ja powiedziałem: absolutnie tak. Chcę stanąć wyraźnie i jednoznacznie po stronie równości oraz społeczności LGBTQI" – podkreśla. Następnie dyplomata relacjonuje, co usłyszał od wysokiego rangą polityka PiS: „że mnie popiera". „Napisał do mnie SMS, w którym pogratulował i dodał, że to bardzo ważny gest. Byłem tym kompletnie zaskoczony. To wymagało odwagi, bo mam tę wiadomość na piśmie" – zaznacza. „Od początku wiedziałem, że będę promować między innymi prawa osób LGBTQIA+ i prawa kobiet. Tak, Polska to kraj katolicki i konserwatywny, ale ja też jestem katolikiem i nie zgadzam się na dyskryminację nikogo ze względu na płeć czy orientację seksualną" – podkreśla.

Sporo miejsca poświęcono relacjom ambasadora z prezesem PiS. Jak wspomina Mark Brzezinski, do momentu wywarcia skutecznej presji ws. zablokowania „lex TVN" spotykał się z Jarosławem Kaczyńskim regularnie na Nowogrodzkiej. Jak nawiązał relację z prezesem? „Na początku jego biuro przysłało mi standardową odpowiedź: »Prezes nie spotyka się z ambasadorami, tylko z prezydentami i premierami«. Mimo to bardzo szybko zrozumiałem, że jeśli chcę być skuteczny w Polsce, muszę znaleźć sposób, by się z nim spotkać. Zacząłem więc szukać różnych kanałów, sprawdzać możliwości i ostatecznie udało mi się umówić na spotkanie wiosną 2022 r. przez jeden ze swoich nieformalnych kontaktów […]. Kiedy spotkanie w końcu doszło do skutku, zaczęło się od drinka i przerodziło w kolację – przyniosłem ze sobą egzemplarz wspomnień mojego ojca »Power and Principle«, z osobistą dedykacją. To był gest szacunku, który pomógł stworzyć bardziej przyjazną atmosferę" – wspomina. Brzezinski opowiada, że prezes PiS wydał mu się osobą tradycyjną, ale okazał serdeczność.

Dyplomata nie kryje zachwytu postacią byłego szefa BBN, Jacka Siewiery, który później został doradcą Trzaskowskiego. „Naprawdę niesamowity człowiek […]. Charyzmatyczny facet. Myślę, że był jednym z nielicznych, którzy chcieli współpracować z opozycją i partnerami z zagranicy" – tak mówi o Siewierze. Ambasador chwali też Mateusza Morawieckiego, którego określa jako „bardzo skrupulatnego, zdeterminowanego zawodnika". Pytany, który z polityków spotkanych w Polsce zrobił na nim największe wrażenie, Brzezinski wskazuje na Aleksandra Kwaśniewskiego. „Świetny człowiek, urodzony lider, który umie znaleźć porozumienie z każdym. Pewny siebie, inteligentny, z dużą ogładą, poczuciem humoru" – rozpływa się.

Interesująca historia dotyczy jednego z przyjęć wydanych w ambasadzie USA: „Na przyjęciu z okazji 4 lipca było dziewięć różnych partii politycznych, od Konfederacji po najbardziej lewicowe. Raz posadziłem Kasię Kieli, szefową TVN, i Pawła Jabłońskiego, wiceministra z PiS-u, obok siebie przy okrągłym stole. I rozmawiali. Było OK".

Zmianę władzy w 2023 r. „ambasadorstwo" oglądało w siedzibie TVN. „W wieczór wyborów Olga i ja zostaliśmy zaproszeni przez Kasię Kieli do siedziby TVN, by wspólnie oglądać ogłoszenie wyników. TVN jako rzetelne, niezależne medium z amerykańskim kapitałem miał dla mnie wymiar symboliczny"– mówi Brzezinski. Leonowicz nie ukrywa, że

eprasa.pl a82608b277

Olga Leonowicz i Mark Brzezinski
FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

mocno zaangażowała się w działania na rzecz odsunięcia PiS od władzy. „Pamiętam, że długo z Markiem zastanawialiśmy się, czy mogę powiedzieć: »Witajcie w lepszej Polsce«, zaczynając moje przemówienie po wyborach parlamentarnych" – wspomina.

BIZNES I POLITYKA

W „Partnerstwie" pojawia się wątek okładki tygodnika „Do Rzeczy" (nr 47/2024), z sugestywnym nagłówkiem „Goodbye, Mr. Ambassador". „Działalność Marka Brzezinskiego w Polsce podsumować można jako wizytację przedstawiciela »liberalnej międzynarodówki«, mającej silne poczucie wspólnoty interesów zasiedziałych lewicowo-liberalnych elit różnych krajów Zachodu" – pisał wtedy Rafał A. Ziemkiewicz. Brzezinski wspomina to jako „złośliwą okładkę po wygranej Trumpa". „Olga wrzuciła to na Instagram I napisała »Bye, bye, «Do Rzeczy», we will NOT miss you!«. Zrobiła to bez kalkulacji, czy się opłaci".

W dalszej części książki pojawia się kolejne nawiązanie do naszego tygodnika. Pamuła, zwracając się do Leonowicz, zauważa, że „»Do Rzeczy« nazwało cię złośliwie »ambasadorową«". Partnerka Brzezinskiego przyznaje, że „dość szybko zdała sobie sprawę, że łatwo nie będzie". „Zaczęło się od tego, że gdy zostałam oficjalnie partnerką Marka, musiałam zrezygnować z mojej pełnoetatowej pracy" – opowiada.

W wywiadzie nie brakuje analiz społeczeństwa polskiego. Olga Leonowicz ocenia, że jako związek odpowiedzieli na „społeczną potrzebę". „Często słyszeliśmy, że jesteśmy »power couple«. To pokazuje, jak silna jest w Polsce tęsknota za równością w związku i wzajemnym wspieraniem" – opowiada. Czym dziś zajmują się Brzezinski i jego partnerka? On rozwija swoją firmę doradztwa strategicznego z siedzibą w USA, ona pracuje nad własnymi projektami – „od doradztwa strategicznego, poprzez szkolenia i wystąpienia publiczne, do działalności społecznej i wzmacniania pozycji kobiet". Na sam koniec rozmowy Leonowicz sugeruje, że chciałaby wejść do polityki: „Lubię mieć wpływ i decyzyjność". „Byłaby doskonałą polityczką" – przekonuje były ambasador. Para ma w planach ślub.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

Z prof. dr hab. Marią Pomianowską, kompozytorką, multiinstrumentalistką grającą m.in. na sarangi, suce biłgorajskiej, fideli płockiej i wiolonczeli

rozmawia Radosław Wojtas

Nuty Adwentu

Maria Pomianowska z suką biłgorajską, staropolskim instrumentem smyczkowym, który zrekonstruowano. Profesor Pomianowska podjęła się odtworzenia sposobu gry na tym instrumencie FOT. ANDRZEJ ŁOJKO

RADOSŁAW WOJTAS: Profesor Jan Miodek, wyjaśniając różnicę między kolędą a pastorałką, powiedział kiedyś, że w zasadzie wszystkie świąteczne piosenki słyszane w radiu to pastorałki. Czy „All I Want for Christmas..." i inne okołoświąteczne piosenki, którymi prześladują nas stacje radiowe i sklepy wielkopowierzchniowe, to współczesne pastorałki?

PROF. DR HAB. MARIA POMIANOWSKA: Zgadzam się, że granica jest płynna. Kolędy i pastorałki integrują ludzi różnych stanów, muzykę ludową, klasyczną, jazz i pop. Każdy śpiewa kolędy, nawet człowiek niewierzący. Dawniej pastorałki były po prostu ludowymi, radosnymi pieśniami dziękczynnymi, chwalbą, że Bóg się narodził. Polski repertuar pastorałkowy i kolędowy jest niezwykle bogaty. Śmiem twierdzić, że najbogatszy na świecie. Co więcej, te wspaniałe dzieła literacko-muzyczne o tematyce bożonarodzeniowej sięgają w Polsce epoki średniowiecza. Na gruncie kolędy i pastorałki spotykały się, mieszały i wymieniały autorskie profesjonalne dzieła muzyczne ze spontaniczną anonimową a oryginalną twórczością ludową. Kolędy i pastorałki wiążą się też z wprowadzeniem do artystycznych form języka polskiego, rytmiki ludowej (poloneza, mazura, oberka, krakowiaka, kujawiaka) i melodyki ludowej (dawne skale). Dla mnie jednak, zarówno pod względem urody tekstu, jak i melodii, numerem jeden pozostaje muzyka pasyjna. Stare teksty, w których historia zbawienia potrafi być opisana w czterech zdaniach.

Na razie mamy Adwent, czas oczekiwania, który także ma swój repertuar. Również tak bogaty?

Pieśni adwentowe, choć równie piękne i różnorodne, nie są tak znane szerokiemu odbiorcy jak te przeznaczone na Boże Narodzenie. Kiedyś przygotowywałam program łączący pieśni adwentowe z kolędami. Byłam zdumiona bogactwem repertuaru przeznaczonego na czas Adwentu. Muzyka tych pieśni, choć w swej istocie radosna, ma w sobie pewien rodzaj dostojeństwa i tajemnicy związanej z oczekiwaniem na Boże Narodzenie, kiedy owa tajemnica się objawia – choć też nie do końca. Zdumiała mnie pieśń pt. „Zdrow bądź, Królu Anijelski", uważana za najstarszą polską kolędę. Przygotowuję ją teraz na płytę i koncerty w moim opracowaniu, z użyciem egzotycznych instrumentów. Jej tekst odnajdujemy m.in. w zbiorach kazań

eprasa.pl a82608b277

Jana Szczekny z 1424 r. Co uderzyło mnie w tym utworze to fakt, że obok radosnej nowiny o narodzinach Syna Bożego pojawia się jednocześnie odpowiedź na pytanie: „Po co?". Chrystus rodzi się, by nas odkupić. Mamy więc kolędę, która nie tylko zachęca do radowania się, lecz także przekazuje głęboką refleksję nad celowością tych narodzin. To nie są zwykłe urodziny dziecka, to początek historii Zbawienia. To tak, jakby kolęda pełniła funkcję swoistego kodu informacyjnego. Prości ludzie w średniowieczu nie zgłębiali traktatów filozoficznych, ale ucząc się tych tekstów, przyswajali wiedzę teologiczną. Fascynuje mnie również anonimowość tej twórczości. Większość autorów, zwłaszcza melodii, pozostaje nieznana. W tej anonimowości kryją się piękno i bezinteresowność. To akt tworzenia z potrzeby serca, dar dla wspólnoty, by pomóc jej kontemplować tajemnicę Wcielenia. Nieważne, kto był autorem – liczy się to, że dzieło prowadzi nas do sedna: narodzin Dziecka, które ma zbawić świat.

Kiedy wracam do Japonii z koncertami, wciąż spotykam ludzi, którzy pamiętają polskie pieśni i chcą je ze mną śpiewać. Największym wzruszeniem jest dla mnie to, co dzieje się z japońskimi dziećmi. Udało mi się nauczyć je kolędy „Lulajże, Jezuniu" – ze szczególnym naciskiem na frazę „lulajże, moje pieszczodełko"

Repertuar bożonarodzeniowy jest powszechnie znany, adwentowy – znacznie mniej. Które utwory poruszają panią najbardziej?

Choć repertuar adwentowy jest skromniejszy niż ten kolędowy, to wciąż jest w czym wybierać. Jeśli chodzi o źródła, to czerpię przede wszystkim ze Śpiewnika Mioduszewskiego, a także z dzieł Oskara Kolberga. Czasem były to unikalne przekazy ustne, bo gdy wędrowałam po wsiach i rozmawiałam z ludźmi, ktoś nagle przypominał sobie i śpiewał: „A to, proszę pani, jest pieśń adwentowa". Czasem udawało mi się te utwory odnaleźć później u Kolberga. Najbardziej poruszają mnie dwie pieśni. Pierwsza to „Stworzycielu gwiazd świecących". To tekst niezwykły, sięgający korzeniami hymnu św. Ambrożego sprzed kilkuset lat. Opowiada o tajemnicy, która za chwilę ma się objawić, ale wciąż pozostaje w sferze oczekiwania. Druga pieśń, którą darzę wielkim sentymentem, to „Głos wdzięczny z nieba wychodzi". Pamiętam, że wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy brałam ją na warsztat, zmieniłam jej rytm i stworzyłam własne opracowanie. Choć te utwory są rzadziej wykonywane niż kolędy, to wciąż żyją w kościołach i w pamięci ludzi.

Repertuar adwentowy zamknięty jest i był w kościelnych murach. Czy wykonywało się go także – jak kolędy i pastorałki – w domach?

W polskich zwyczajach ludowych tuż przed Adwentem urządzano wróżby dotyczące zamążpójścia, związane z tzw. zabawą andrzejkową. W przededniu imienin Andrzeja dziewczęta zbierały się, aby wróżyć swoją przyszłość. Po tym zwyczaju muzykowanie, wesołe śpiewy milkły zupełnie, a wyjątek stanowiły okolicznościowe śpiewy odpowiadające okresowi Adwentu. W tradycji ludowej rano i wieczorem grano na otwartej przestrzeni stosowne melodie, których dźwięki usłyszeć można było nawet w odległych wioskach. Stwarzało to nastrój spokoju i zadumy. Naturalnym środowiskiem adwentowych pieśni był jednak kościół. Adwent to czas przygotowania, ludzie gromadzili się na Mszach, roratach i tam śpiewali przez te kilka tygodni. Niemniej w środowiskach, gdzie tradycja była silnie kultywowana – zwłaszcza na wsiach – muzyka ta wychodziła poza mury świątyni. Są miejsca w Polsce, gdzie Adwent obwieszcza się grą na ligawach. Rodziny, uczęszczając na Msze Święte, śpiewają w drodze do kościoła stosowne pieśni religijne. Adwent to też czas spotkań grup sąsiedzkich. Kiedyś kobiety śpiewały adwentowe pieśni przy wspólnym darciu pierza czy haftowaniu.

Teksty przetrwały w kościelnych śpiewnikach. Ale co ze starym brzmieniem? Czy pani dokonuje tu odkryć czy pisze tę muzykę na nowo?

To proces twórczy. Często bazuję na zbiorach etnograficznych – w latach 90. trafiłam na wspaniałe opracowania pieśni z północnego Mazowsza czy regionu biłgorajskiego. W takich źródłach zazwyczaj mam tylko tekst i jedną linię melodyczną. Aby zagrać to z pięcioosobowym zespołem, muszę stworzyć całą architekturę utworu: dopisać głosy, akompaniament. Formalnie jest to opracowanie, ale w praktyce – komponowanie. Transformuję tę jedną nitkę melodii w pełne brzmienie.

Oczywiście zdarza mi się pisać własną muzykę – skomponowałam nawet dwie kolędy, które do dziś są wykonywane w Japonii na dworze cesarskim – ale zawsze czułam ogromny respekt do dziedzictwa. Wychodziłam z założenia, że muzyka ludowa ma tak wiele do zaoferowania, że najpierw powinnam zgłębić to bogactwo, a dopiero potem silić się na własną twórczość. Czerpię zatem pełnymi garściami z dorobku wybitnych muzykologów. To nie tylko Oskar Kolberg, lecz także badacze XX-wieczni. Moja przyjaciółka Aleksandra Biniszewska udostępniła mi ze swojej unikatowej, ogromnej biblioteki białego kruka. To oryginalna książka z 1843 r. pt. „Pastorałki i kolędy z melodyjkami". Zatopiłam się w jej kartach na kilka tygodni. Pamiętam, jak w 1995 r. w antykwariacie kupiłam dwa tomy pozycji „Kolędy polskie, średniowiecze i wiek XVI". To na bazie tego zbioru stworzyłam twórcze opracowania kolęd do mojej płyty wydanej w 1997 r. – „Kolędy znane i zapomniane". Proszę sobie wyobrazić, że ten album, obok „Chopina na 5 kontynentach", oparł się upływowi czasu. To swoisty fenomen w mojej dyskografii. Do dziś, gdy zbliżają się święta, dostaję wiadomości od znajomych i słuchaczy rozsianych po świecie – np. z Pakistanu – którzy piszą: „Maria, idzie Boże Narodzenie, twoja płyta znów się kręci".

Nie mogę nie zapytać o ten niezwykły epizod w pani biografii. Spędziła pani w Japonii wiele lat. Czy oprócz tej jednej kolędy, napisanej specjalnie dla dworu cesarskiego, udało się pani zaszczepić tam inne polskie tradycje?

Japończycy mają niesamowitą potrzebę codziennego, aktywnego obcowania z muzyką i niezwykłą pamięć do utworów muzycznych. Kiedy wracam tam z koncertami, wciąż spotykam ludzi, którzy pamiętają polskie pieśni i chcą je ze mną śpiewać. Największym wzruszeniem jest

eprasa.pl a82608b277

jednak dla mnie to, co dzieje się z japońskimi dziećmi. Udało mi się nauczyć je kolędy „Lulajże, Jezuniu" – ze szczególnym naciskiem na frazę „lulajże, moje pieszczodełko" (śmiech). Proszę sobie wyobrazić, że dzieci ze słynnego przedszkola Izumi w Tokio, prowadzonego przez moich przyjaciół, państwa Koizumich, co roku uczestniczą w koncertach kolędowych. Śpiewają tam amerykańskie szlagiery, ale stałym punktem programu są też polskie kolędy, wykonywane po polsku. Czasami jedna ze zwrotek jest przetłumaczona na japoński. Dzięki temu maluchy dowiadują się o istnieniu Polski. Tłumaczę dzieciom, że w „Scherzo h-moll" Fryderyka Chopina słychać echa kolędy „Lulajże, Jezuniu". Nasz genialny kompozytor, tak w Japonii uwielbiany, staje się zatem ambasadorem świąt Bożego Narodzenia. Natomiast jeśli chodzi o sam dwór cesarski, to faktycznie połączyła mnie bliska relacja z Jej Wysokością Cesarzową Michiko i całą rodziną cesarską (synami, obecnym cesarzem Naruhito i córką Sayako). Z cesarzową spotykałyśmy się kilka razy w roku na zamkniętych warsztatach muzycznych – ona gra na fortepianie i harfie. Kiedyś znalazłam w starych księgach piękny tekst „Nabożna i święta żona". Skomponowałam do niego muzykę, rozpisałam partię fortepianu dla cesarzowej i wspólnie to wykonałyśmy. Utwór tak się spodobał, że został w ich repertuarze do dziś.

Wspomniała pani też o niezwykłym prezencie dla syna...

Tak, kiedy w 1999 r. w Tokio urodził się mój syn Franciszek, cesarzowa własnoręcznie wykonała dla niego pluszaka – białą owieczkę. To była taka ciepła, niemal „chałupnicza", a przez to bezcenna robota. Z tą owieczką wiąże się zresztą historia, która pokazuje japońską klasę. Kilka lat temu do Polski przyjechał brat obecnego cesarza, następca tronu, książę Akishino z małżonką. Znałam ich z dawnych lat – księżna interesowała się moimi instrumentami, ale książę zawsze wydawał mi się nieco zdystansowany, jakby przemykał gdzieś obok. Mój młodszy syn, urodzony w Tokio, już dorosły, bardzo chciał ich spotkać. Udało się zorganizować krótką rozmowę w Łazienkach Królewskich, w tłumie ludzi. Podchodzę do księcia i pytam, czy pamięta, że jego mama, cesarzowa Michiko, zrobiła kiedyś zabawkę dla mojego syna. On natychmiast odpowiedział: „Tak, biała owca". Zamurowało mnie. Minęło blisko 20 lat! Być może został przed spotkaniem odpowiednio „zbriefowany" przez protokół, ale to nie ma znaczenia. Liczy się fakt, że zadali sobie trud, by o tym pamiętać. Poczucie, że nie jest się dla kogoś tylko przelotnym punktem w grafiku, ale człowiekiem, jest w tamtej kulturze niezwykle silne.

Oprócz spektaklu w Teatrze Klasyki Polskiej przygotowujemy również płytę

Mam jeszcze jeden dowód na tę niezwykłą więź. Po śmierci księcia Norihito Takamado, kuzyna cesarza, z którym również muzykowałam, otrzymałam z dworu egzemplarz najpoczytniejszej japońskiej gazety „Shimbun Yomiuri". Opublikowano tam „album rodzinny" ze zdjęciami osób najbliższych zmarłemu. Byli tam król Hiszpanii, premier Meksyku, wiolonczelista Yo-Yo Ma… i ja, grająca z księciem w mojej rezydencji. Dołączono liścik: „Przesyłamy ci to, ponieważ traktujemy cię jak rodzinę". To dla mnie największa tajemnica i zaszczyt – że ta muzyczna przyjaźń okazała się czymś tak trwałym i prawdziwym.

Najnowszy projekt, w którym bierze pani udział – „Stara-Nowa Pastorałka" – to kolejna inicjatywa łącząca tradycję ze współczesnością?

To niezwykły projekt, którego inicjatorem jest prof. Jarosław Gajewski. Współpracujemy od lat – on jest mistrzem w wydobywaniu z niebytu najstarszych tekstów i „ubieraniu" ich w formę sceniczną, często zleca mi oprawę muzyczną. Tym razem spektakl reżyseruje Jerzy Machowski. To z nim ustalałam proporcje i charakter muzyki, bo ostateczna wizja należy zawsze do reżysera. Wspólnie wybieraliśmy kolędy, ale udało mi się też przemycić kilka propozycji od siebie – te najstarsze, zapomniane utwory. Pojawiła się prośba, by opracowanie muzyczne nie było banalne. Nie chcieliśmy ograniczać się tylko do polskich instrumentów zrekonstruowanych, takich jak suka biłgorajska czy fidel płocka. Szukaliśmy brzmień orientalnych, elementów dawnych kultur. Dla mnie to zresztą naturalny kierunek. Pamiętajmy, że historie biblijne rozgrywały się na Bliskim Wschodzie, więc tamtejsze skale i barwy są jak najbardziej uzasadnione historycznie i geograficznie. Dlatego w instrumentarium poszłam o krok dalej. Obok instrumentów afrykańskich pojawia się np. chińska cytra, która dodaje uroczystego, egzotycznego kolorytu. Ale jest też instrument współczesny – akordeon. Pełni on jednak specyficzną funkcję. To takie „serce intonacyjne", które porządkuje brzmienie całego zespołu. Moim zadaniem jest takie wkomponowanie go w całość, by „schował się" barwowo i nie raził współczesnością, a jedynie stanowił fundament harmoniczny. Wydaje mi się, że udało się tu wypracować dobry kompromis.

Projekt wykracza poza ramy sceniczne, bo oprócz spektaklu w Teatrze Klasyki Polskiej przygotowujemy również płytę. Nie będzie to jednak prosty zapis ścieżki dźwiękowej z przedstawienia. Na krążku znajdą się pełne wersje utworów, które w sztuce pojawiają się tylko we fragmentach, a także kompozycje, które do spektaklu się nie zmieściły. Mam to szczęście, że aktorzy tego teatru – szczególnie panie, ale panowie również – dysponują świetnymi głosami. Dzięki temu na płycie usłyszymy ich zarówno w partiach solowych, jak i chóralnych.

Gdzie i kiedy słuchacze będą mogli na żywo doświadczyć tej fuzji egzotyki z polską tradycją?

Zaczynamy mocnym akcentem – 15 grudnia zapraszamy na koncert specjalny. Będzie to wydarzenie stricte muzyczne, różniące się od spektaklu. Owszem, na wstępie pojawi się fragment tekstu z „Pastorałki", by zbudować dramaturgię, ale potem oddamy głos muzyce. Wykonamy w całości kolędy, które w sztuce pojawiają się czasem tylko we fragmentach. Będzie to więc unikalna kompilacja materiału z płyty i ze spektaklu, zagrana na instrumentach staropolskich i egzotycznych. Ten koncert jest wydarzeniem jednorazowym, natomiast sam spektakl w Teatrze Klasyki Polskiej będzie grany bardzo intensywnie. Zaplanowaliśmy dziewięć przedstawień w grudniu i osiem w styczniu. Gramy zatem, można powiedzieć, „na bogato".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

Narkotyk Klaty jak trawka Clintona

Grzegorz Kondrasiuk

„Termopile polskie" w reżyserii Jana Klaty

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK

Do Teatru Narodowego w dniu inicjalnej premiery nowego dyrektora, Jana Klaty, wchodzi się po leżących w drzwiach tekturach z twarzą Władimira Putina, a foyer pokrywa „graffiti" z cytatami z Tadeusza Micińskiego, pewnie z pietyzmem naklejone przez pracownię scenograficzną Teatru, tak żeby nie zniszczyć ścian. To są tanie chwyty, w stylu pogróżek Szymona Hołowni. „A ti, a ti, niedobry Putinie, idę po ciebie!" – wśród wypolerowanych marmurów i luster, na potrzeby epatowania burżuja, czyli w miarę sytuowanej i wychowanej widowni Narodowego. Jak widać, nowy dyrektor dosiadł swojego ulubionego konika, prowokacji, albo – jak to się dziś mówi – trollingu. Wystawił „Termopile polskie", ściślej mówiąc – wznowił rzadko grany tytuł, który odkrył dla siebie dekadę temu, we wrocławskim Teatrze Polskim. Ale pomimo trollingu i sięgnięcia do szuflady z dawnymi pomysłami, pomimo że teatr Klaty, eufemistycznie mówiąc, mnie nie porywa i nie urzeka, uważam wybór tytułu na otwarcie nowego okresu Teatru Narodowego za niezwykle trafny. Gdzie, jeśli nie w Narodowym, mamy rozmawiać o patriotyzmie, księciu Pepi, królu Stasiu, o carycy Katarzynie, ruskich rubelkach – o Polakach? Jest to w długim życiu naszej narodowej sceny moment ciekawy. Jan Klata ze swoimi pomysłami nie jest też zbyt rozpoznany, mimo wszystko, w głównym nurcie kultury, więc zapewne okres jego dyrekcji spopularyzuje ten głos i to podejście do literatury. Równocześnie idzie też cały czas pożegnalny „Hamlet" Jana Englerta, mniej więcej o tym samym, ale z użyciem bardziej konwencjonalnych środków. Ciekawe, który spektakl zejdzie wcześniej, a na który publiczność będzie „głosowała nogami"?

„Bóg mi powierzył honor Polaków – oddam go tylko Jemu!" – powiada, ginąc, książę Poniatowski. Klata lubi takie teksty, na których sobie może po swojemu poswawolić, sceny oniryczne, które uruchamiają w nim obrazy obficie oblane muzyką, którą reżyser ma na swojej playliście (od lat mocne odmiany metalu), w uproszczonej stylistyce, mnie osobiście najbardziej kojarzące się z komiksem i kreskówkami. „Termopile…", rozgrywające się na polu bitwy, w głowie umierającego bohatera, są więc dramatem, na który jest niejako skazany, jeśli chce kontynuować swój kurs. I tak kluczową dla znaczenia całości scenę prologu na polu bitwy pod Lipskiem ustawił pod gęste gitarowe riffy grane na żywo przez zespół Gruzja, z tekstem Dominika Gaca, wyświetlanym ogromnymi literami na całą szerokość horyzontu, nawiązujące i muzyką, i tekstem do pamiętnego zespołu Siekiera, a także swobodnie miksujące, z perspektywy 2025 r., nazwy i hasła z polskiego imaginarium i z globalnej popkultury. „verdun waterloo / auschwitz i brugge / hogwart mielno rzym / norymberga charków / katyński spleen".

I taki to jest spektakl, bo stopniowo staje się jasne, że chociaż Klata rozbija patos, reprezentowany głównie przez księcia Józefa, tanimi chwytami z repertuaru estetyki campu (niskorosły aktor jako umierający patriota, w kostiumie odsyłającym do postaci Małego Powstańca), to zarazem nie zamierza wpisywać się w obowiązującą obecnie na większości scen sztampę. Nie chodzi tu o opluwanie martyrologii i romantycznego dziedzictwa, ale o przyglądanie się, co z niego zostało dziś. Jest tu sporo paradoksów. W finale dwa najmocniejsze monologi należą do bohatera, Tadeusza Kościuszki (Cezary Kosiński, ze swoim poczciwym emploi, ucharakteryzowany na mieszkańca Teksasu), i do zdrajcy, groteskowo pokazanego, ośmieszanego raz po raz króla Stanisława Augusta Poniatowskiego (Jerzy Radziwiłowicz, znakomity, dodający od siebie warstwę tragizmu do płaskiego ujęcia reżysera, dublura z Janem Fryczem). W spektaklu nie ma aluzji politycznych, ale mnóstwo tu odniesień do wojny na Ukrainie, łącznie z użyciem ujęć z drona, dziś kojarzących się z pornografią śmierci – co dla mnie jest skandalem. Monologi te, mówione wprost do publiczności, zmuszają do przemyślenia swojego stosunku do wojny, są też oskarżeniami o gnuśność i konformizm. Tylko co w zasadzie mamy zrobić po wyjściu z teatru? Klata moralizuje, przypomina o wartościach w ciepełku najpotężniejszego teatru w Polsce (Byłbym zapomniał – Danuta Stenka jako caryca Katarzyna! Oskar Hamerski jako kniaź Potiomkin! Karol Pocheć jako książę Józef!). Przypomina Warszawie o istnieniu patriotyzmu, odwołując się do estetyki buntu i kontrkultury, ale nie ma w tym ryzyka, bo sytuacja, w której mówi, to ryzyko obezwładnia. To narkotyk patriotyzmu, owszem, dla niektórych niebezpieczny, ale przypominający trawkę Billa Clintona. To się pali, ale się tym nie zaciąga. ©℗

TEATR NARODOWY
TADEUSZ MICIŃSKI, „TERMOPILE POLSKIE"
REŻYSERIA, ADAPTACJA, OPRACOWANIE MUZYCZNE: JAN KLATA
PREMIERA: 22 LISTOPADA 2025 R. (NA 260-LECIE TEATRU NARODOWEGO)

eprasa.pl a82608b277

Być jak Pan

Piotr Gociek

Jak naprawić świat, nie narażając się na zarzut, że czyni się to tylko na własną chwałę, a nie na chwałę Pana? Czy można godzić się na kłamstwo i obłudę? „Ministranci" to obfity materiał do przemyślenia

Film „Ministranci" wrócił z tegorocznego festiwalu w Gdyni obsypany nagrodami, co powinno skłaniać do podejrzliwości – jakie mamy w Polsce środowisko filmowe, wszyscy wiedzą. A i poprzednie spotkania kina III RP z problematyką „Kościół – wierni" nie napawają optymizmem. Śpieszę jednak z dobrą wiadomością – film Piotra Domalewskiego to antypody kina Smarzowskiego. Warto go zatem oglądać i warto się o niego spierać.

ŻEBY TU BYŁO DOBRZE

Domalewski, chłopak z prowincji, w odróżnieniu od wielu innych artystów III RP ocalił w sobie empatię wobec tych, którym wiedzie się nieco gorzej niż rekinom kompradorskiego kapitalizmu i którzy niekoniecznie mieszkają w wielkich miastach rządzonych przez patoliberałów. Jest w „Ministrantach" piękna scena, kiedy główni bohaterowie, dwóch chłopaków z małego miasteczka, ścierają się ze sobą. Jeden mówi: Wyluzuj, nic się nie stało, skończymy niedługo liceum i stąd wyjedziemy. Drugi odpowiada: Ja stąd nigdzie nie wyjadę, ja chcę, żeby TU było dobrze!

Ten drugi chłopak, Filip, to postać w tej historii najważniejsza i uruchamiająca nieoczekiwany ciąg zdarzeń. Gra go Tobiasz Wajda i jest fenomenalny, podobnie jak cała dziecięca obsada. Od czasu filmów Janusza Nasfetera i Stanisława Jędryki nie mieliśmy tak wiarygodnej nieletniej ekipy na planie. Filip jest najgoręcej wierzącym z czwórki małych ministrantów, jego wiara jest czysta, głęboka i dziecięca. Marzy o tym, by być jak Pan Jezus – pomagać potrzebującym, poświęcać się dla innych.

Fundamentami świata Filipa (oraz jego najlepszych kumpli) wstrząsają dwa wydarzenia – niby drobne, ale gdy jest się dzieckiem, wszystko odczuwa się o wiele mocniej: i triumfy, i porażki. Stronnicze sędziowanie odbiera im zasłużoną wygraną w zawodach międzyparafialnych. A potem odkrywają, że uwielbiany rekolekcjonista (Tomasz Schuchardt – który to już raz w tym roku na ekranie?) wyciąga rękę po pieniądze z puszki zbiórki dla najbiedniejszych. Oburzenie dzieciaków jest w pełni uzasadnione, nie wolno przecież oszukiwać, czyś księdzem jest czy nie. A przecież pieniądze są biednym naprawdę potrzebne, dzieciaki są bowiem bacznymi obserwatorami życia wokół.

KOMPANIA DOMOROSŁYCH JANOSIKÓW

Dalej dzieją się rzeczy niespodziewane: dzieciaki biorą dzieło naprawy we własne ręce. „Ocalają" pieniądze ze zbiórki po to, by zamiast w ręce niepowołane trafiły do tych, do których powinny. Ale komu dać, ile i na co? Kompania domorosłych janosików instaluje podsłuch (i podgląd) w konfesjonale, uzyskując w ten sposób cenną wiedzę na temat tego, u kogo bieda piszczy najbardziej. Zamaskowani dobroczyńcy zaczynają więc po okolicy roznosić koperty z pieniędzmi, czyniąc mniejsze zło (kradzież) w imię większego dobra (chrześcijańskie miłosierdzie). Tu łyżka dziegciu w beczce miodu: Domalewski wygodnie omija fakt, że złamanie tajemnicy spowiedzi to ciężki grzech, za który grozi ekskomunika (spowiednikowi, ale nie umniejsza to powagi tego występku). Myślę, że tak obeznanym z życiem Kościoła ministrantom jak bohaterowie filmu czyn ten przyszedłby z o wiele większymi rozterkami, niż to pokazano.

Przejdźmy do sedna rzeczy: im dłużej swoją charytatywną działalność prowadzą dzieciaki, tym bardziej odkrywają, że świat jest o wiele bardziej skomplikowany, niż myśleli, a ludzkie motywacje dużo mocniej splątane i nieoczywiste, niż sądzili. Od prostego niezrozumienia intencji (komediowe sceny, gdy obdarowywane staruszki traktują dobroczyńców w kominiarkach jak bandytów) po sprawy dużo trudniejsze. Dlaczego biedak skarżący się na brak pieniędzy na leki dla dzieci wydaje otrzymaną forsę na wódkę? Czemu katowana córka i matka nie chcą opowiedzieć policji, jak jest? I tak dalej, i tym podobne.

eprasa.pl a82608b277

Jezus

Filip wychowuje się w rozbitej rodzinie, a jego matka choruje na depresję, zapijaną litrami alkoholu FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nie zdziwiłoby żadnego widza, gdyby od tego miejsca fabuła opowieści przybrała kształt znany ze schematów hollywoodzkiego kina: oczywiście prędzej czy później sprawki ministrantów wyjdą na jaw, oczywiście będzie to chwila wielkiego kryzysu, po którym w finale nastąpi pojednanie, i wszyscy żyć dalej będą długo i szczęśliwie, niczym w komediach romantycznych, gdzie bohaterowie zawsze na końcu się zejdą, a miłość zatriumfuje. Domalewski jednak szykuje dla widza niespodziankę, która przenosi całą dyskusję o „Ministrantach" na inny poziom. A jednocześnie jest logicznym rozwinięciem założeń, które przedstawił, gdy zawiązywał akcję.

Filip jest bowiem inny od pozostałych wspólników w kontrowersyjnym dobroczynieniu. Wspomniałem wcześniej o jego głębokiej wierze i radykalności poglądów (tak – tak, nie – nie), ale nie wspomniałem o jego kłopotach. Tymczasem jest to chłopak wychowujący się w rozbitej rodzinie (ojca na horyzoncie brak), którego matka choruje na depresję, zapijaną litrami alkoholu. Uczy się tak sobie, dużo więcej czasu i energii poświęcając służbie ministranckiej, no i oczywiście spotkaniom z kumplami. À propos tych ostatnich: tworzą też amatorską grupę hip-hopową „rapującą dla Pana".

Opuszczony, niekochany, biedny – zdawać by się mogło, że to Filip jest bardziej w potrzebie od niejednego wskazanego przez ministrantów obiektu miłosierdzia. A jednak on sam do nikogo ręki po nic nie wyciąga, niczego od nikogo nie oczekuje, za to ze wszystkich sił próbuje pomóc innym (ze wszystkich sił – i nawet czasem trochę NA siłę). Jak to wytłumaczyć? Po obejrzeniu „Ministrantów" wróciłem do wspaniałego eseju Dariusza Karłowicza z „Teologii Politycznej" zatytułowanego „Miłosierdzie i solidarność" (rocznik numer 10., jubileuszowy). Karłowicz bacznie przygląda się dwóm niezwykłym zjawiskom, które wyszły z Polski w świat w XX w. Pierwsze to orędzie Bożego Miłosierdzia oraz jego kult, który rozpowszechnił się za sprawą św. Faustyny. Drugim był cud Solidarności – niezwykła szczelina nie tylko w systemie komunistycznym, lecz także w konstrukcji świata, którym ponoć zawsze rządzić muszą alb silniejsi, albo bardziej zakłamani i cyniczni.

Szukając punktu wspólnego, Karłowicz pisze m.in.: „Solidarność to akt jedności w przygodności. Dlatego paradoks solidarności zakorzenionej w nauce o miłosierdziu daje się wyrazić w formule: »Pomagam ci, bo sam nie mogę unieść«. To jest właśnie sytuacja niesienia ciężaru drugiego. Oddaje ją cała seria paradoksów: »Pomagam, bo jestem w potrzebie. Daję, bo nie mam. Dzielę się, bo mi brakuje. Jestem solidarny, gdyż potrzebuję solidarności. Wybaczam, ponieważ potrzebuję wybaczenia«".

Taką figurą powinien stać się w naszych oczach Filip – „pomagam ci, bo sam nie mogę unieść". Ale… czy na pewno? A może w jego intencjach kryje się coś jeszcze? Domalewski ma mnóstwo empatii dla swoich bohaterów, ale kiedy trzeba, potrafi być bezlitosny. I tak, w krytycznym momencie, najlepszy przyjaciel Filipa, Gustaw (Bruno Błach-Baar) rzuca mu w twarz: Dla siebie to wszystko robisz, nie dla innych! Żeby cię zauważono, żeby coś znaczyć, żeby matka cię pokochała, żeby dziewczyna, w której jesteś zadurzony, cię pokochała!

Jak udowodnić, że jest inaczej? Jak naprawić świat, nie narażając się na zarzut, że czyni się to tylko na własną chwałę, a nie na chwałę Pana? Filip powraca do nauk z Ewangelii i sam staje się figurą chrystusową. Przesłanie nie może być jaśniejsze.

RYZYKOWNY WYWÓD

Jest więc w „Ministrantach" napięcie między naiwną, gorącą, dziecięcą wiarą a odklepywaniem formułek. Jest napięcie między wiernością nauczaniu Jezusa a Kościołem jako instytucją, jako szczególnego rodzaju biurem, w którym odbębnia się jedynie, no cóż, szczególny rodzaj roboty biurowej. Stąd opinie, całkiem uzasadnione, że jest to film głęboko chrześcijański, ale antyklerykalny.

I tu można by postawić kropkę, bo przecież jakaż to piękna puenta: Skoro film głęboko chrześcijański i jeszcze perfekcyjne zagrany, i nakręcony (a tak jest, zapewniam), to o czym tu dalej dyskutować? No cóż, dyskutować trzeba, bo w dwóch miejscach wywód Domalewskiego, choć brawurowy, robi się ryzykowny. A co z dogmatem „extra Ecclesiam nulla salus" („poza Kościołem nie ma zbawienia")? Czy usprawiedliwieniem dla odejścia z Kościoła może być to, że kapłani bywają równie grzeszni i ułomni jak wierni? Czy ksiądz może rzec wiernemu, nawet grzesznemu, „ty tutaj nie pasujesz"? Wszystkie te pytania powinny pojawić się w chwili, gdy zakończmy seans „Ministrantów". Zatem – tak jak już napomknąłem – warto ten film obejrzeć i warto się o niego spierać.

Opuszczony, niekochany, biedny – zdawać by się mogło, że to Filip jest bardziej w potrzebie od niejednego wskazanego przez ministrantów obiektu miłosierdzia. A jednak on sam o nic nie prosi

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

sky SHOWTIME

Na chwałę Ameryki

★★★★☆☆

SEZON 2
„LANDMAN: NEGOCJATOR" („LANDMAN")
USA 2025

wyst. Billy Bob Thornton, Ali Larter

Wołowina jest dobra, ale najlepsza i najzdrowsza – dziczyzna. McDonald's to trucizna, podobnie jak pełne cukru płatki śniadaniowe. Ropa daje miejsca pracy. Prawdziwy facet nie boi się piwa ani tytoniu. Kto żyje z własnych rąk, ten jest godzien szacunku, kto tylko obraca pieniędzmi – ten oszust. Niezależność jest lepsza niż bogactwo. Podobnie jak przyjaciele, rodzina i dom, w którym się wychowałeś. Drugi sezon serialu „Landman: Negocjator" jest równie niepoprawny politycznie jak pierwszy – co doprowadza amerykańską lewicę do szału. Za to widzowie wiedzą lepiej i głosują pilotami. Rodzi się hit na miarę nowego „Yellowstone". Zresztą też został wymyślony przez Taylora Sheridana, który jak nikt inny rozumie emocjonalne potrzeby amerykańskich widzów.

Nie ma tu więc bzdur o zielonej energii, czakrach, zatrudnianiu wedle rasy i orientacji seksualnej, nie ma przepraszania za Amerykę i zacierania śladu węglowego. „Jesteś szefem kompanii naftowej – mówi żona do Tommy'ego. – Czas zacząć żyć jak oni!". „No przecież żyję, mam gulfstreama!" – odpowiada główny bohater serialu, sadowiąc się na pokładzie prywatnego odrzutowca. Gra go Billy Bob Thornton, który odgrywa w tym uniwersum rolę podobną do tej, którą wyznaczono w „Yellowstone" Kevinowi Costnerowi. Nie tylko stoi w centrum wydarzeń, lecz także jest filarem i dla swej popadającej nieustannie w kłopoty rodziny, i dla firmy, której oddał całe życie.

Świetnie się to skrzyżowanie „Dynastii" i neowesternu ogląda, choć to trochę guma do żucia dla oczu. Teksas na ekranie jest tyleż uwodzicielski, co niebezpieczny, całość dopełniają muzyka country and western i charyzmatyczna obsada. Magnat naftowy, którego grał w pierwszym sezonie Jon Hamm („Mad Men"), co prawda już nie żyje, ale biznesem kieruje teraz jego żona, Demi Moore. Na ekranie pojawia się niezawodny Sam Elliott w roli ojca Tommy'ego, a na pieniądze i życie zadziornych nafciarzy czyhają meksykańscy obwiesie pod wodzą Andy'ego Garcii.

Taylor Sheridan zna przepis na sukces i jest dziś najbardziej rozchwytywaną figurą w telewizyjnym biznesie. Niedawno ogłosił, że po zakończeniu współpracy z Paramount przenosi się do NBCUniversal, do czego skłoniła go drobna oferta: miliard dolarów. Oto kariera na miarę bohaterów jego seriali. ©℗

GRA TYGODNIA: „HYRULE WARRIORS: AGE OF IMPRISONMENT"

★★★★★☆

Fani gatunku musou (hack-and-slash, w którym naprzeciwko nam przeciwnicy stają hordami) znajdą tu efektowne starcia, dopracowany system walki, mocne kombosy i sporo nieskrępowanej radości z pokonywania tysięcy przeciwników. Fani uniwersum Zeldy docenią fabułę, osadzoną przed wydarzeniami z „Tears of the Kingdom", której zdradzać tu nie zamierzam. Ten spin-off jest więc pod tym względem ciekawym uzupełnieniem serii. Jedni i drudzy będą bawić się świetnie. Dopracowana, bardzo dobrze wyglądająca i świetnie działająca gra, którą możemy cieszyć się sami lub w trybie kooperacji. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *akcji, hack-and-slash*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch 2*
- ***Producent; wydawca (PL):*** *Omega Force; Nintendo (ConQuest)*

eprasa.pl a82608b277

Śmieszny dwór

KINO

Monty Python umarł, niech żyje Jimmy Carr! Zdaniem wtajemniczonych 53-letni gwiazdor stand-upu wyznacza dziś standardy brytyjskiego poczucia humoru. Zaczynał w medium schyłkowym, czyli telewizji, lecz rychło pojął, że trzeba z młodymi naprzód iść, po życie sięgać nowe. Teraz jego popisy obserwują miliony internautów. Popisowym numerem komika z Londynu jest „śmiech szczekającej foki", jednak nie brzydzi się też scenopisarstwem. Dowodem miażdżąca snobizm rodaków komedia „Wujowy dwór". Dla większej jasności wykładu Carr cofnął się w przeszłość, do roku 1931. Stara dobra Anglia jeszcze starała się trzymać fason, choć ludzie zorientowani dostrzegali już na fasadzie Westminsteru napis: „Mane, tekel, fares" wykonany bardzo sympatycznym atramentem. Zjednoczone Królestwo mimo zwycięstwa w wielkiej wojnie przestało być liderem w handlu i produkcji przemysłowej. Z bankiera świata stało się dłużnikiem. Ofiarą kryzysu padł rząd laburzystów, krajem wstrząsały strajki, mogło się wydawać, że wkrótce do władzy dojdą komuniści lub faszyści. Ludzie masowo słuchali radia i chodzili do kin (wyświetlających wczesne filmy Hitchcocka). W literaturze nastała moda na eksperymenty, chociaż lud chętniej czytał książki Agathy Christie niż „Fale" Virginii Woolf. Po brytyjskich drogach gnało już milion samochodów.

★★★☆☆☆
REŻ. JIM O'HANLON
„FACKHAM HALL" („WUJOWY DWÓR")
WIELKA BRYTANIA 2025

wyst. Ben Radcliffe, Thomasin McKenzie, Damian Lewis

Carra to wszystko mało obchodzi. Punktem odniesienia „Wujowego dworu" nie są bowiem realia, lecz mit społeczeństwa, czerpiącego masochistyczną przyjemność z ulegania feudalnym rytuałom, spopularyzowany przez produkcje spod znaku „Downton Abbey". Lord Davenport jest karykaturą lorda Granthama. Identyfikacja pierwowzorów innych postaci też nie nastręcza trudności. Carr gra wąsatego pastora,

Tom Felton, onegdaj hejtowany przez fanów Harry'ego Pottera, próbuje podpaść kolejnej grupie widzów. Twórcy filmu, korzystając z wolności słowa, szydzą zaś z wiktoriańskiej hipokryzji („mężczyzna na nas spojrzał!"), jankesów, Cockneya, wojennej martyrologii, wesel, pogrzebów, J.R. Tolkiena tudzież fryzur ociekających brylantyną. De gustibus non est disputandum, ale jeśli „żenujący" nie jest dla ciebie synonimem „zabawnego", to wybierz raczej inny seans. ©℗

Wiesław Chełminiak

PIÓRA ROZPACZY

Benedict Cumberbatch, lepiej znany jako Sherlock Holmes i doktor Strange, mógłby osiąść na laurach i kupić rezydencję w Beverly Hills, ale zamiast tego szuka nowych wyzwań. Brawo on! Starszy o dwa miesiące Cillian Murphy, który grał angielskiego wdowca w teatrze (i ponoć robił to koncertowo), może mieć na ten temat inne zdanie. Trudno jednak zaprzeczyć, że Cumberbatch ma w sobie coś ptasiego. „Czas kruka" jest ekranizacją powieści Maxa Portera. Literat debiutant zapożyczył się u Emily Dickinson, a jeszcze bardziej u Poego. Reżyser, spec od teledysków, nie udźwignął tematu. Żałoba zniknęła z tytułu. Film o pogrążonym w rozpaczy rysowniku komiksów jawi się jako gorsza wersja „Siedmiu minut po północy". Tam nękający bohatera potwór mówił głosem Liama Neesona. Davida Thewlisa też da się słuchać, jednak wolę go oglądać. ©℗

KINO

★★★☆☆☆
REŻ. DYLAN SOUTHERN
„CZAS KRUKA"
WIELKA BRYTANIA 2025

wyst. Benedict Cumberbatch, Richard Boxall, Henry Boxall

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Mała wielka sztuka

Kuratorzy wystawy „Mikroświaty. Obrazy w małych formatach" postanowili przewietrzyć muzealne magazyny i wydobyć z nich to, co zazwyczaj przegrywa walkę o miejsce na ścianach z wielkoformatowym malarstwem historycznym czy religijnym. Zasada jest prosta, wręcz matematyczna: żaden obiekt nie przekracza wymiarów 40 na 40 cm. Ale niech nikogo nie zwiedzie ta skromna geometria. To nie są szkice, wprawki czy artystyczne notatki na marginesie. To pełnoprawne, skończone arcydzieła, które od twórcy wymagały nie lada wirtuozerii, a od widza wymagają czegoś, co dziś jest towarem deficytowym – skupienia.

Wśród 130 eksponatów znajdziemy perełki malarstwa gabinetowego od XVII do XX w. Zobaczymy tu m.in. nastrojowy „Świt we Lwowie" Józefa Pieniążka czy precyzyjne wnętrze wrocławskiego kościoła NMP na Piasku pędzla Emile'a de Cauwera. Wystawa obala mit, że wielcy malarze tworzyli tylko wielkie płótna. Swoją obecność w skali mikro zaznaczają tu tacy giganci jak Jan Matejko czy Artur Grottger. ©℗

FOT. MAGDALENA LOREK

GDZIE? *Muzeum Narodowe we Wrocławiu*
KIEDY? *do 22 marca 2026 r.*

eprasa.pl a82608b277

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wrzasnęli hasło – wojna!

Dorobek pisarski lat 80. XX w., czas wyjątkowy dla piśmiennictwa polskiego ze względu choćby na erupcję literatury drugoobiegowej, w zadziwiający sposób bywa marginalizowany. Już Jan Błoński zadekretował, że dekada ta „zamknie" literaturę PRL, a że miejsce tej ostatniej wyznaczono na śmietniku historii, to i nie ma się czym zajmować. Trudno o większą bzdurę. Bo co wspólnego z literaturą formowaną do spółki przez komunistycznych propagandystów i cenzorów miały książki wyrosłe z tęsknoty do wolności i z ducha protestu przeciw totalitarnej władzy?

Uczeni literaturoznawcy wydziwiali jednak. I tak np. Aleksandrowi Fiutowi zabrakło ukazania przez pisarzy „moralnych rozterek i wewnętrznych dramatów ludzi, których zmuszono do wystąpienia przeciw własnemu narodowi". „Zapewne chodziło – daje wyraz swemu przypuszczeniu prof. Maciej Urbanowski w wydanej właśnie książce o literaturze stanu wojennego – o zomowców, agentów SB czy członków partii komunistycznej". O tym, co wypisywała inna gwiazda literaturoznawstwa Lidia Burska, nawet nie wspomnę. A już szczególnie obrzydliwe było zestawianie tej literatury z socrealizmem. A przecież Przemysław Czapliński nazwał to pisarstwo „realizmem antysocjalistycznym", za głównych jego przedstawicieli uznając Marka Nowakowskiego, Kazimierza Orłosia i Tadeusza Konwickiego. Zła wola to czy jeszcze coś gorszego?

Gustaw Herling-Grudziński w „Dzienniku pisanym nocą" 13 grudnia 1981 r. napisał: „Ani słowa. Prócz daty, ani słowa". Znamienna to lakoniczność. Dla Marka Nowakowskiego najważniejszym dokumentem tamtej epoki stawał się… protokół, „z jego ascezą, surowością, esencjonalnością, fotograficznym charakterem i rugowaniem zbędnej urody". Taki też był jego „Raport o stanie wojennym", jedna z najważniejszych książek epoki, bo tak trzeba postrzegać i nazywać tamten czas, o którego kształcie chciał zadecydować pewien generał w ciemnych okularach. A co się wtedy działo naprawdę? Jacek Kaczmarski tak to ujął w swojej „Zbroi":

Wrzasnęli hasło – wojna!
Zbudzili hufce hord
Zgwałcona noc spokojna
Ogląda pierwszy mord
Goreją świeże rany
Hańbiona płonie twarz
Lecz nam do obrony dany
Pamięci pancerz nasz!

To o pamięć właśnie upominał się Jarosław M. Rymkiewicz w cudownych „Rozmowach polskich latem 1983" czy w wierszach z tomu „Ulica Mandelsztama", w którym znalazły się tak ważne utwory jak „Kiedy się obudziłem, Polski już nie było".

„Ostoją żywej Polski – pisze Maciej Urbanowski w »Literaturze stanu wojennego 1981–1989« – okazywało się paradoksalnie to, co podziemne, ukryte na cmentarzach, w mogiłach, w zapomnieniu. Rymkiewicz szukał źródeł nadziei wśród takich bohaterów jak Emanuel Szafarczyk, Konstanty Julian Ordon czy Jeremi Wiśniowiecki (Jarema). Zwracał wyobraźnię współczesnych ku Kresom, ku Polsce utraconej, zapomnianej, a przecież oczekującej na zmartwychwstanie. Stawiał też przed poezją zadanie przekształcania niepamięci w pamięć, trwania na straży pamięci o tych, których pochłonęła historia. W tym sensie stan wojenny był doświadczeniem innej, a może po prostu prawdziwej Polski". Ale co o tym może wiedzieć osoba, którą – o zgrozo – postawiono na czele resortu edukacji, a dla której Jarosław Marek Rymkiewicz jest jedynie godnym wzgardy „poetą smoleńskim"? I oto ona z całą mocą swego hucpiarstwa usuwa go z lektur szkolnych!

Maciej Urbanowski nieprzypadkowo zajął się literaturą lat 80. „W czasie stanu wojennego – wspomina – byłem najpierw licealistą, a później studentem polonistyki należącym do nałogowych czytelników polskiej literatury współczesnej, przede wszystkim tej, która ukazywała się w drugim obiegu i na emigracji. Ona była dla mnie najciekawsza i najważniejsza, ona kształtowała moje wybory nie tylko estetyczne". A stan wojenny przyniósł m.in. metafizyczny zwrot – zarówno w twórczości, jak i w ideowych deklaracjach wielu pisarzy. To wówczas, namiętnie w owe lata czytany, ks. Jan Twardowski nie wytrzymał i napisał: ***Teraz rodzi się poezja religijna / Co krok nawrócenia / Lepiej nie mówić kogo nastraszył / Buldog sumienia.***

Niepamięć pokryła choćby wystawienie przez Andrzeja Wajdę „Wieczernika" Ernesta Brylla w 1985 r. w warszawskim kościele Miłosierdzia Bożego przy ul. Żytniej. Z Krystyną Jandą, Danielem Olbrychskim, Maciejem Orłosiem. Tak, tak, tłumy waliły na Żytnią, a że ten metafizyczny zwrot w wielu wypadkach z dnia na dzień przekształcił się w odwrót, to już inna sprawa. Czy na pewno jednak?

Swą pracą prof. Urbanowski oddał sprawiedliwość literaturze z prawdziwego zdarzenia. Czytana dziś jest ona – powiada autor – „nie tylko poruszającym dokumentem, zapisem zdarzeń i emocji wielu Polaków po 13 grudnia, ale też nieprzedawnionym aktem oskarżenia przeciwko przemocy w życiu publicznym i przeciwko tym, którzy stan wojenny wprowadzali, potem go uzasadniali, a dzisiaj – niestety – wciąż próbują go bronić". ©℗

★★★★★★
MACIEJ URBANOWSKI „LITERATURA STANU WOJENNEGO 1981–1989" INSTYTUT DZIEDZICTWA SOLIDARNOŚCI, GDAŃSK 2025

eprasa.pl a82608b277

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Zimowe pożegnanie

Żyć z muzyką, a żyć muzyką to dwie różne sprawy. Książka „Burza śnieżna w Bostonie" przypomina, że w przypadku Piotra Wierzbickiego mówić trzeba o tym drugim przypadku. Jego opowieści o muzyce, łączone z autobiograficznymi, czasem reporterskimi, a często filozoficznymi wstawkami układają się w historię życia, które bez muzyki byłoby niepełne i ułomne. Był Piotr Wierzbicki jednym z ostatnich publicystów polskich, którzy sprawnie poruszali się między światami, z równą pasją pisał o polityce, o Bachu i Chopinie, o Mickiewiczu i współczesnej poezji, a i metafizyczne rozważania nie były mu obce. Próbował zrozumieć lepiej świat – jak pisał – „urządzony z monstrualnym przepychem", a jednak wymykający się naszemu pojmowaniu.

Był dla mnie jednym z najważniejszych nauczycieli Polski, odkąd w moje ręce wpadł słynny „Traktat o gnidach", a potem „Myśli staroświeckiego Polaka". I pewnie dlatego, że przeczytałem te książki odpowiednio wcześnie, nigdy nie popadłem w uwielbienie dla Adama Michnika i jego zwodniczych analogii, które zrujnowały umysły najważniejszego pokolenia drugiej połowy XX w. Pokolenia, które zamiast budować niepodległą, wolną Polskę, zatonęło w wywodach o odmrożonym przedwojennym zagrożeniu nacjonalistycznym.

Od dwóch dekad Wierzbicki rzadko pisywał o polityce, a dużo o muzyce i poezji, ale pozostał mocno sceptyczny wobec wszelkiej maści naprawiaczy świata i inżynierów dusz. Zaglądam do szkicu „Taśma": „Jesteśmy pyszni. Pyszni dumą teraźniejszości. Przemawia przez nas niska pycha utuczona na samozachwycie i zwodniczym poczuciu gwarancji, jaką dają nasze światłe poglądy, postępowe zasady, wielkie charaktery i wspaniałe intelekty". Niby ironizuje na temat tego, czy talent na miarę Mozarta byłby dziś rozpoznany i doceniony, ale przecież chodzi mu także o coś innego. Ta pycha prowadzi do klęski i utopistów, i nadmiernie chełpliwych polityków. I intelektualistów też.

Chaotyczne te moje uwagi, moje rozkojarzenie, smutek i trochę wściekłość z jednego tylko wynikają: odkładałem w czwartek wieczorem przed zaśnięciem „Burzę śnieżną w Bostonie", by w piątek dowiedzieć się, że Piotr nie żyje. I już nigdy nie będę mógł z nim o tym wszystkim rozmawiać, a partnerem rozmów był niezrównanym. Cześć jego pamięci! ©℗

★★★★★☆
PIOTR WIERZBICKI „BURZA ŚNIEŻNA W BOSTONIE"
PIW 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autor esejów „Po pierwsze Chrystus" i „Ziarna Słowa" w kolejnej fascynującej książce. Biskup Barron jest nie tylko jednym z najpopularniejszych kaznodziejów w USA, lecz także przenikliwym komentatorem współczesnej cywilizacji.

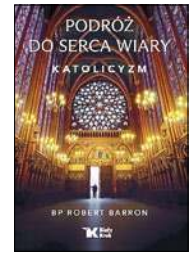

ROBERT BARRON „PODRÓŻ DO SERCA WIARY. KATOLICYZM"
BIAŁY KRUK

To nie opowieść o tym, jak oszukiwano w średniowieczu, ale o tym, jak krzywdzący jest termin „wieki ciemne". Francuski historyk z pasją, barwnie i kompetentnie broni tego niezwykłego czasu. Lektura obowiązkowa!

JACQUES HEERS „ŚREDNIOWIECZE... WIELKIE OSZUSTWO!"
ANDEGAVENUM

Nowa książka autorki m.in. kilku bestsellerowych opowieści o rodzinie Kossaków. Tym razem rzecz o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, kobiecie niezwykłej, poetce wybitnej, a niestety dziś coraz bardziej zapomnianej.

JOANNA JURGAŁA-JURECZKA „CZARUJĄCA POETKA"
ZYSK I S-KA

Drugi album zbierający prace popularnego artysty, mistrza fantastycznego realizmu, to przede wszystkim okładki zaprojektowane do serii dzieł Philipa K. Dicka (a także ilustracje z wnętrza książek) – tu wreszcie w pełnej krasie.

recenzuje Piotr Gociek

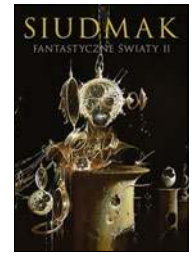

WOJCIECH SIUDMAK „FANTASTYCZNE ŚWIATY II"
REBIS

KOMIKS TYGODNIA:
RAJ GROZĄ PODSZYTY

Na wyspie na rzece Amalou ludzie żyją pospołu z inteligentnymi fretkami – dzielą wspólne wygnanie, choć nie pamiętają już, dlaczego do niego doszło. Pewnego dnia na wyspie rozbijają się przybysze z odległej krainy i sprawy nabierają biegu. Komiks Claire Wendling to klasyka gatunku, ukazywał się oryginalnie w latach 90. Przywodzi na myśl prace Régisa Loisela i Mike'a Mignoli.

Piotr Gociek

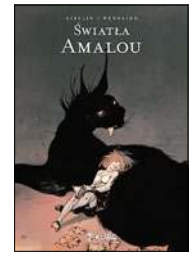

CHRISTOPHE GIBELIN, CLAIRE WENDLING „ŚWIATŁA AMALOU"
KURC 2025

eprasa.pl a82608b277

„Małżeństwa" jednopłciowe. Prawo, którego nie ma

Mariusz Muszyński

Doczekaliśmy się. Pojawił się wyrok TSUE w sprawie transkrypcji aktów „małżeństw" jednopłciowych. I naprawdę miałem się w to nie wtrącać. Osiągam wiek senioralny, a świat oszalał. Nie mam na to wpływu, więc powinienem mieć dystans. A jednak piszę. Powód zmiany decyzji jest prosty. Po tym wyroku nic już nie będzie takie samo

FOT. ADOBE STOCK

Wywód swój zacznę od zwrócenia uwagi premierowi. Otóż Donald Tusk stwierdził, że (cytat za mediami) „nie jest tak, że UE nam cokolwiek może w tej kwestii narzucić". Niestety, panie premierze, w tej kwestii właśnie nam już narzuciła. Po prostu wykreowała normę i tym samym wstawiła do systemu prawa unijnego (art. 20 i 21 TFUE) prawo jednostki, które dla konstytucji nie istnieje. A my mamy tego przestrzegać. Więcej – zrobiła to w drodze prawotwórczej wykładni przepisów. Sędziowie zastąpili procedurę zmiany traktatów, a więc rząd polski i jego premiera. I Sejm, i prezydenta. Gdzie suwerenność, demokracja, praworządność czy legitymizacja prawa, których podobno koalicja rządząca broni?

Oczywiście wyrok TSUE ma charakter prejudycjalny. Jest skierowany wyłącznie do sądu pytającego. Wiąże inter partes, czyli w sprawie, w której zadano pytanie. Jednak poprzez zastosowanie doktryny acte claire znajdzie szerokie zastosowanie w innych sprawach. Ilu?

A wyrok jest naprawdę skandaliczny. Dowiadujemy się z niego, że art. 20 i art. 21 ust. 1 TFUE, odczytywane w świetle art. 7 i art. 21 ust. 1 KPP UE, stoją na przeszkodzie, by w systemie krajowym brakowało przepisów pozwalających na transkrypcję zagranicznego aktu małżeństwa osób tej samej płci. To znaczy, że państwowy obowiązek transkrypcji takich aktów mieści się w treści traktatowego prawa obywateli UE do swobodnego przemieszczania się i przebywania na terytorium państw członkowskich. Nawet jeśli prawo krajowe nie przewiduje małżeństwa osób tej samej płci, bo przecież prawo rodzinne należy do kompetencji wyłącznej państw członkowskich. Z tego powodu właśnie transkrypcję zagranicznego aktu małżeństwa uczyniono elementem treści swobody przemieszczania się. Żeby ominąć państwo, które z kompetencją w zakresie prawa rodzinnego zostaje jak Himilsbach z angielskim. A swoją drogą ciekawe, co jeszcze TSUE może upchnąć w prawie do przemieszczania się. Może obowiązek uznania zagranicznej adopcji dziecka przez małżeństwo jednopłciowe?

CO ZROBI NSA?

Tego wyroku prejudycjalnego użyje teraz NSA. Może to zrobić na dwa sposoby. Po pierwsze, dokonać interpretacji przepisów krajowych, aby wytworzyć w nich stosowną normę pozwalającą na taką transkrypcję. Po drugie, może też sięgnąć bezpośrednio do przepisów prawa UE, na zasadzie pierwszeństwa prawa unijnego, pomijając istniejące przepisy krajowe blokujące taką transkrypcję, jako niezgodne z prawem UE.

Działając w pierwszy sposób, naruszy bez wątpienia konstytucyjny trójpodział władzy, bo wkroczy w uprawnienia Sejmu. Zresztą jest też duża różnica logiczna między interpretacją TSUE a prawem krajowym. Trudno będzie. To widzi nawet TSUE, który od razu sugeruje (w pkt 73 wyroku), że jeżeli sąd pytający nie będzie w stanie dokonać stosownej wykładni prawa krajowego, to jest zobowiązany zapewnić jednostkom ochronę prawną na podstawie wspomnianych przepisów unijnych, w razie potrzeby poprzez odstąpienie od stosowania odnośnych przepisów krajowych.

A to prowadzi prosto do odrzucenia art. 107 ustawy Prawo o aktach stanu cywilnego i art. 7 ustawy Prawo międzynarodowe prywatne. Pierwszy przepis przewiduje nakaz odmowy transkrypcji,

eprasa.pl a82608b277

drugi zakazuje stosowania obcego prawa. W obu przesłanką do takiego zachowania są podstawowe zasady porządku prawnego RP.

OCHRONA I OPIEKA

To otworzyłoby drogę do działania kierownikom USC. Ale tylko pozornie, bo prawdziwego problemu to nie rozwiąże. Leży on w innym miejscu. Przecież te dwa przepisy nie tworzą istoty klauzuli porządku publicznego, na którą się powołują. Bariera istnieje w innych rozwiązaniach materialnoprawnych. Tu akurat w art. 18 konstytucji. W tym, który ostatnio tak wielu lewicujących prawników próbuje podważać. Czytamy tam, że „małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny […], znajduje się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej". Niektórzy twierdzą, że nie jest to przeszkodą dla wprowadzenia na poziomie ustawowym małżeństw tej samej płci. Teza polemiczna, ale polemizował nie będę. Nie jest to potrzebne w kwestii transkrypcji. Tu nie chodzi o samo istnienie małżeństwa osób tej samej płci, ale o przypisaną małżeństwu konstytucyjnemu ochronę i opiekę ze strony państwa. Ta „ochrona i opieka" blokują możliwość stworzenia sytuacji prawnej, kiedy małżeństwa osób tej samej płci posiadałyby równy czy nawet porównywalny z małżeństwem konstytucyjnym zakres uprawnień wynikających z systemu prawa. To są przecież w świetle konstytucji różne instytucje małżeństwa, czyli dwie prawne kategorie podmiotów. Stąd nie mają cechy relewantnej (wspólnej), która uzasadniałaby stosowanie do nich zasady równości w ochronie i opiece. A ona przejawia się właśnie poprzez systemowy katalog uprawnień, ułatwień i udogodnień. To czyste zastosowanie art. 32 ust. 1 konstytucji. A mówiąc kolokwialnie, obowiązek prawnej nierówności.

A transkrypcja wywoła nam ten problem. Niezależnie od tego, jak NSA do niej doprowadzi, skutkiem będzie utworzenie polskiego aktu stanu cywilnego, który ma moc dowodową równą aktom stanu cywilnego utworzonym w Polsce (zob. art. 3 ustawy Prawo o aktach stanu cywilnego). W efekcie pojawią się konsekwencje systemowe. Z takim aktem małżeństwa para jednopłciowa weźmie do ręki wypis i ruszy po uprawnienia małżeństw konstytucyjnych. I wszędzie tam, gdzie mogła będzie swój status udowodnić takim wypisem, raczej je otrzyma. Bo skoro małżeństwo między kobietą i mężczyzną zawarte za granicą mieszkające w Polsce (po transkrypcji) to otrzymuje, to i jednopłciowe powinno. Zdaniem TSUE nie może przecież doznawać utrudnień w prowadzeniu życia rodzinnego (pkt 65 wyroku) ani być dyskryminowane w porównaniu z tym dwupłciowym (pkt 75 wyroku). Czyli jak nie dostanie, to sprawa trafi do sądu. A w innych miejscach (Kodeks rodzinny i adopcje) ujawni się poważna systemowa sprzeczność. W obu przypadkach problem na koniec znów wyląduje w TSUE. To tylko kwestia czasu. Kto zgadnie, co TSUE orzeknie? Unijne prawo do przemieszczania się to pojemna instytucja.

I w ten sposób oba rodzaje małżeństwa osiągną na poziomie ustawowym przynajmniej porównywalny stopień możliwości korzystania z praw konstytucyjnych. A to już sprzeczne z obecną Konstytucją RP.

Sądzę, że racjonalnie działający NSA powinien zawiesić postępowanie (a właściwie nie odwieszać go). A racjonalnie działający Sejm i rząd powinny zająć się problemem. Przecież to nie jest zwykła kwestia „odnotowania małżeństw tej samej płci w polskich ewidencjach", jak wypowiada się minister sprawiedliwości (cytat za mediami). To ingerencja w system prawa, skutkująca wtórnie wieloma sprzecznościami. W wielu miejscach, których ad hoc nie da się nawet wskazać. I to nie tylko prakseologicznych, lecz także formalnych. Tragedia dla systemu prawa. Potrzebna jest poważna analiza. Słowem: mamy pat, z którego tylko na tym etapie jest jeszcze szansa na jakieś wyjście. Dalej tylko ciemność.

SZKOLNE BŁĘDY

Ale jeden, drugi i trzeci organ już mi udowodniły, że nie działają racjonalnie. O Sejmie i rządzie nie będę nawet pisał, bo ich wyczyny są powszechnie znane. A lizusowskie wypowiedzi o konieczności wykonania wyroku TSUE tylko to potwierdzają. Wspomnę natomiast o NSA. O jego poziomie świadczy już zadane przez skład do TSUE pytanie prejudycjalne. W pkt 3.2.4. znajdujemy zapis: „Z chwilą wejścia w życie Traktatu z Lizbony Karta [chodzi o Kartę praw podstawowych – przyp. M.M.) uzyskała na podstawie art. 6 ust. 1 TUE moc prawną równą traktatom założycielskim. Państwa członkowskie, które przyjęły i ratyfikowały Traktat z Lizbony, w tym Polska, jednocześnie ratyfikowały przepisy Karty". Pierwsze zdanie jest prawdziwe, ale jeżeli w drugim sędzia NSA pisze o ratyfikacji Karty praw podstawowych przez Polskę, to muszę spytać, gdzie on studiował prawo. Bo chluby swojej uczelni nie przynosi. I jest groźny dla systemu prawa. Szczególnie w NSA. Ciekawi mnie tylko, na ile ta głupawa informacja o rzekomej ratyfikacji Karty pozwoliła wydać taki wyrok.

Nie ma tu miejsca na dłuższy wywód w tej kwestii. Przypomnę tylko, że Karta praw podstawowych nie jest traktatem unijnym ani jego załącznikiem czy protokołem. I zapis o jej mocy prawnej w art. 6 TUE tego nie zmienia. Karta to akt międzyinstytucjonalny. A zgodnie z konstytucją ratyfikuje się tylko umowy międzynarodowe. Karty praw podstawowych nie można ratyfikować, tak samo jak nie można ratyfikować Karty rowerowej. Nie istnieje też instytucja „jednoczesnej ratyfikacji".

I pomyśleć, droga konserwatywna strono sceny politycznej, że to wszystko mamy poniekąd na własne życzenie. Przypomnę, że w ostatnich latach sprawy „małżeństw" jednopłciowych były w Trybunale Konstytucyjnym (skargi konstytucyjne: SK 2/17, SK 13/17, SK 14/17, sygn. SK 15/17, SK 4/19, SK 9/19). I bardzo długo sobie leżały. O ile pamiętam, o tyle w składzie rozstrzygającym jednej z nich chyba nawet byłem. Tylko kiedy zacząłem się dopominać o merytoryczne rozstrzygnięcie, to jakoś z tego składu wyleciałem. Nawet nie zorientowałem się, kiedy to nastąpiło. Choć mogę się tu mylić. Z różnych ważnych spraw w ostatnich latach kadencji wylatywałem. Najgorsze, że TK wszystkie te sprawy umorzył, choć były też zdania odrębne niektórych sędziów domagające się rozstrzygnięcia merytorycznego. Przecież sam fakt pojawienia się serii takich skarg już sugerował, że problem nadchodzi, a zdania odrębne pokazywały, jak go rozbroić. Jednak TK „umył ręce", a bomba właśnie nam wybuchła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

Walka buldogów na dywanie

Łukasz Warzecha

W ugrupowaniu działającym wedle reguł stabilnych partii politycznych Zachodu konfrontacja pomiędzy przedstawicielami dwóch odmiennych spojrzeń na politykę byłaby nie tylko całkowicie normalna, lecz także pożądana. Prawo i Sprawiedliwość jest zbudowane według innego, wodzowskiego schematu, gdzie miejsca na prawdziwą debatę właściwie nie ma

Coraz wyraźniej widoczny spór pomiędzy Mateuszem Morawieckim a stronnictwem mu przeciwnym – niezbyt elegancko zwanym „maślarzami" – jest dla Prawa i Sprawiedliwości niszczący, ale też wynika z samej konstrukcji tej partii. Bez wątpliwości przyczynia się do postępującego spadku notowań ugrupowania w sondażach, którego – jak się zdaje – na razie nic nie jest w stanie zatrzymać.

Nie jest to pierwszy poważny spór w obozie PiS, w który wplątany jest były premier. Przez lata sprawowania władzy ścierał się – i to nie za kulisami, ale publicznie – z Solidarną Polską (potem Suwerenną Polską) i frakcją Zbigniewa Ziobry w samym PiS. Przypominając tamte spory, można zadać pytanie: Na ile i wówczas, i teraz jest to konflikt personalny, a na ile programowy czy ideowy?

W polityce często się to ze sobą łączy i tak jest również tutaj. Dziś będący na marginesie (i na wygnaniu) Zbigniew Ziobro, podobnie jak cała jego formacja, nie tylko rywalizował z Mateuszem Morawieckim w sferze partyjnych ambicji, lecz także gdy idzie o przyjęty paradygmat polityczny. Tamten spór był w istocie ideowy w stopniu może nawet większym, niż zazwyczaj tego typu spory bywają. Ówczesny premier zbudował swoją karierę i pozycję wewnątrz PiS – a może bardziej: w oczach Jarosława Kaczyńskiego – snując obłudną wizję Polski gładko i sprawnie poruszającej się w unijnych mechanizmach, czerpiącej obficie z unijnych zasobów, a jednocześnie modernizującej się na potęgę i zachowującej suwerenność. Ta bajka, że da się połączyć rzeczy do połączenia niemożliwe, skutecznie omamiła prezesa PiS zapewne z powodu jego ograniczonej wiedzy o tym, jak działają unijne mechanizmy, a głównie dlatego że Kaczyński kompletnie nie rozumie ekonomii. Morawiecki, żonglujący modnymi nazwiskami z obozu „postępowej" myśli ekonomicznej, takimi jak Joseph Stiglitz czy Thomas Piketty, musiał się prezesowi PiS wydawać nie lada ekspertem, nawet cudotwórcą, podczas gdy był zwykłym prestidigitatorem. Przypominało to sytuacje z dalekiej przeszłości, gdy łatwowiernego władcę omamiał alchemik, utrzymując, że dysponuje kamieniem filozoficznym, pozwalającym przemieniać żelazo w złoto.

Ziobro i jego partia uznawali ten kierunek za błędny, wskazywali, że rodzi uzależnienia, zmierza do ograniczenia suwerenności poprzez nacisk finansowy ze strony Brukseli (sprawa KPO), wytykali Morawieckiemu, że zgodził się na rozwiązania dla naszego kraju szkodliwe, przede wszystkim w sferze polityki klimatycznej.

LINIA „TWARDEJ PIĘŚCI"

Z perspektywy można powiedzieć, że frakcja Ziobry miała mnóstwo racji, a Morawiecki się mylił – paradoksalnie, bo to Ziobro jest dzisiaj zmarginalizowany, a jego partia nie istnieje, podczas gdy Mateusz Morawiecki wyskakuje z lodówki nie rzadziej, niż gdy pełnił funkcję szefa rządu.

Były premier jednoczył przeciwko sobie więcej osób niż tylko Suwerenną Polskę. Jego zaprzysięgłym wrogiem była poprzedniczka na urzędzie, Beata Szydło, czemu trudno się dziwić. Nie była to jednak znów kwestia jedynie urażonej ambicji i upokorzenia doznanego w związku z odwołaniem z funkcji, lecz również sprawa ideowa. Choć nie tak wyraziście jak ludzie Ziobry także była premier stała znacznie twardziej po stronie suwerennościowej.

Tamte spory wygasły, przynajmniej w sferze publicznej, w obliczu zbliżających się wyborów w 2023 r. Nie odnowiły się również z dawną intensywnością po przegranej PiS. Po pierwsze – bo kierownictwo partii narzuciło linię „twardej pięści": żadnych rozliczeń, przepraszania, ekspiacji, wyłącznie butna jedność w walce o odzyskanie władzy. Po drugie – ponieważ z powodu choroby nowotworowej Zbigniew Ziobro praktycznie wypadł z obiegu, a żaden z jego bliskich

eprasa.pl a82608b277

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

współpracowników nie miał pozycji dość mocnej, aby rzucić Morawieckiemu wyzwanie. Po trzecie – ponieważ nastąpiło połączenie PiS i Suwerennej Polski, ostatecznie przypieczętowane w październiku ubiegłego roku. Dawni rywale znaleźli się w jednym ugrupowaniu, walka o wpływy przeszła na nieco inny poziom, zwłaszcza że była to walka w warunkach opozycji. W takich okolicznościach jest ona w jakiejś mierze symboliczna, bo nie obejmuje faktycznego oddziaływania na państwo i instrumentów sprawowania władzy.

Był jednak znaczący wyjątek: wrześniowe starcie pomiędzy Morawieckim a Ziobrą (wówczas jeszcze przebywającym w Polsce). Zaczęło się od wypowiedzi byłego premiera w Kanale Zero, gdzie Morawiecki odgrzał dawny spór, mówiąc, że nie po drodze było mu z ministrem sprawiedliwości. Ten bezzwłocznie odpowiedział w mediach społecznościowych, proponując byłemu szefowi rządu debatę. „Wielokrotnie przestrzegałem Cię przed dramatycznymi skutkami ulegania Brukseli [...]. Choć choroba sprawiła, że dotąd unikałem dłuższych dyskusji, jeśli uważasz, że publiczna rozmowa o przyczynach porażki Zjednoczonej Prawicy i przyszłości Polski jest potrzebna – to jestem gotów debatować z Tobą w miejscu, które wspólnie ustalimy" – pisał były lider Suwerennej Polski.

BRAK UJŚCIA DLA SPORÓW

Do żadnej konfrontacji jednak nie doszło – szybko wmieszała się Nowogrodzka i do obydwu panów popłynęło polecenie, aby przestali się publicznie wygłupiać. Ta sytuacja jest typowa dla PiS i zarazem stanowi odpowiedź na pytanie o powody zaciętości sporów wokół Mateusza Morawieckiego czy może bardziej ogólnie – wokół linii programowej Prawa i Sprawiedliwości. W ugrupowaniu działającym wedle reguł stabilnych partii politycznych zachodniego świata tego typu konfrontacja pomiędzy przedstawicielami dwóch odmiennych spojrzeń na politykę byłaby nie tylko całkowicie normalna, lecz także pożądana. Takie dyskusje odbywają się standardowo wewnątrz dużych niemieckich czy brytyjskich partii. Ich zaletą jest nie tylko to, że wyborcy mają poczucie włączenia w programowe spory oraz widzą, że w danym ugrupowaniu jest miejsce na różne wizje. To również uporządkowana i zinstytucjonalizowana metoda kanalizowania napięć, w naturalny sposób powstających wewnątrz ugrupowań.

PiS jest zbudowane według innego, wodzowskiego schematu, gdzie miejsca na prawdziwą debatę właściwie nie ma. Opierając się przez cały okres swojego istnienia wyłącznie na Naczelniku, dworskich regułach, jedynowładztwie, PiS nigdy nie wykształcił mechanizmu uporządkowanej wewnętrznej dyskusji ani tym bardziej – co za moment będzie gigantycznym problemem – sukcesji. Dlatego właśnie okazjonalne spory, i to wcale nie personalne, lecz programowe, nie znajdują normalnego ujścia i ujawniają się w postaci złośliwości w mediach społecznościowych, wzajemnych przytyków, a już szczególnie w postaci przecieków do mediów, mających pogrążyć wewnątrzpartyjnych rywali.

Ktoś mógłby powiedzieć, że przecież debata programowa się odbywa. Jest np. Kongres Polska Wielki Projekt. Od dawna jest to jednak impreza bez najmniejszego wpływu na działania PiS, służąca jedynie temu, aby prezes tego ugrupowania mógł pokazać się w towarzystwie profesorów i intelektualistów.

Z kolei niedawna konferencja programowa „Myśląc Polska. Alternatywa 2.0" nie otworzyła przecież żadnej realnej debaty. To właśnie na niej nie pojawił się Mateusz Morawiecki w ramach najnowszej odsłony konfliktu, gdzie po przeciwnej do niego stronie ustawili się „maślarze" z Tobiaszem Bocheńskim i Przemysławem Czarnkiem na czele; do tej grupy należą także niektórzy dawni członkowie Suwerennej Polski.

eprasa.pl a82608b277

Sytuacja ma w sobie coś paradoksalnego. Kto patrzy na powyborcze losy PiS z dystansu, musi dostrzegać, że poczesne miejsce na liście obciążeń PiS, które doprowadziły go do porażki, zajmuje Mateusz Morawiecki. Z jednej strony, owszem, najczęściej bywa wskazywany w sondażach jako najlepszy kandydat na premiera z PiS – ale wynika to po prostu z faktu, że w takiej roli utrwalił się w pamięci i świadomości wyborców; nie stoi za tym przecież żadna głębsza refleksja. Z drugiej – to właśnie sposób sprawowania przez niego rządów i jego decyzje były dla partii Kaczyńskiego największym bagażem i to one spowodowały, że nie była w stanie ponownie zdobyć większości. Polski Ład, COVID-19, Ukraina, Zielony Ład – wszystkie te hasła w elektoracie szeroko pojętej prawicy niepisowskiej powodują skrajnie negatywne skojarzenia i zarazem natychmiast przywodzą na myśl twarz Morawieckiego.

Można by zatem uznać, że jego nieobecność na konferencji programowej jest dla PiS korzystna. Wspomniany paradoks polega jednak na tym, że ludzie, którzy w ramach konferencji mieli nad programem pracować, nie są postrzegani lepiej niż były premier. Zatem frakcja „maślarzy" wygrała starcie wewnątrz ugrupowania (starcie, nie całą wojnę), ale ma to nadal walor wyłącznie wewnętrzny i nijak nie przybliża PiS do przełamania sondażowego impasu. „Maślarze" nie będą mogli powiedzieć, że są w budowaniu poparcia dla partii skuteczniejsi od byłego premiera.

Lista osób uczestniczących w poszczególnych zespołach programowych wywołała wiele złośliwych komentarzy. I trudno się dziwić, zwłaszcza gdy spojrzeć na te dziedziny, które w świetle wyniku wyborczego z 2023 r. były dla PiS piętą achillesową. W zespole zajmującym się ochroną zdrowia pojawił się Waldemar Kraska, podczas pandemii wiceminister zdrowia, znany z popierania daleko idących restrykcji. W tym samym zespole był również Czesław Hoc, poseł PiS znany w latach 2020–2022 z zaciekle sanitarystycznej postawy. Gospodarką zajmowali się m.in. Jacek Sasin i Michał Moskal. Ten pierwszy był jedną z twarzy skrajnego etatyzmu oraz nieszczęsnych wyborów kopertowych. Jest też kwintesencją

Polski Ład, COVID-19, Ukraina, Zielony Ład – wszystkie te hasła w elektoracie szeroko pojętej prawicy niepisowskiej natychmiast przywodzą na myśl twarz Mateusza Morawieckiego

starego, nieatrakcyjnego, „dziaderskiego" PiS. Ten drugi to przykład młodego karierowicza, pamiętany jako inicjator „piątki dla zwierząt", a także w związku ze skandalem, którym było częściowe wstrzymanie wydobycia w kopalni „Bogdanka", aby w grudniu 2022 r. działacz mógł zjechać wraz z narzeczoną na dół i tam się jej oświadczyć. Kulturą i mediami zajmowali się Joanna Lichocka, postrzegana jako gorliwa cenzorka partyjnej i covidowej linii w czasach PiS, oraz Piotr Gliński, mający wizerunek podobnie obciążający dla partii co Sasin. Złe wrażenie zrobiła również obecność w zespole do spraw wymiaru sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry – zwłaszcza że konferencja odbywała się już po tym, jak poseł zdecydował się nie wracać do Polski.

KORZYŚĆ DONALDA TUSKA

Błędem byłoby jednak sądzić, że w aktualnym sporze z Morawieckim – i w jakimś stopniu o Morawieckiego – nie ma w ogóle wątku personalnego. Opuściwszy stanowisko po wyborach, były premier nie zmniejszył swojej aktywności w mediach społecznościowych, a może nawet ją zwiększył. Jego rywale w partii odczytywali jego namolną wszechobecność dwojako. Po pierwsze – jako próbę zachowania i umocnienia pozycji w partii oraz chęć utrzymania się w wąskim gronie osób rozważanych przez Naczelnika do objęcia stanowiska szefa rządu po ewentualnie wygranych wyborach. Po drugie – jako bezczelność i arogancję. Nie tylko dlatego, że jest to namolna autopromocja człowieka, który – w odczuciu wielu polityków PiS – zawinił słabemu wynikowi wyborczemu, lecz także dlatego, że Morawiecki nie tylko w swoich wystąpieniach z niczego się nie tłumaczy, lecz przeciwnie: często, stosując różnego rodzaju manipulacje, przekonuje, że nie robił tego, co faktycznie robił. Mało tego – zdarzają mu się deklaracje tak karkołomne, jak ta złożona w wywiadzie dla Grzegorza Sroczyńskiego na portalu Gazeta.pl (samo miejsce jest wymowne), że w razie wojny PiS byłby w stanie utworzyć rząd z KO, a nawet z Grzegorzem Braunem. Inna sprawa, że gdyby na tę wypowiedź spojrzeć bez kontekstu partyjnego sporu, nie ma w niej nic skrajnie bulwersującego. Normalne jest, że podczas wojen w demokracjach powoływane są rządy jedności.

W ostatnim czasie w mediach pojawiły się spekulacje i polityczne plotki mówiące o rzekomo możliwym rozłamie w partii. Można zadać sobie pytanie, jaką część z nich rozsiewają przeciwnicy Morawieckiego, chcąc przedstawić go jako stojącego już właściwie jedną nogą poza ugrupowaniem, tak aby wzbudziło to niepokój i sprzeciw prezesa, na razie usiłującego – bezskutecznie – załagodzić awanturę.

Ta sytuacja bez wątpienia cieszy Donalda Tuska, który w ostatnim czasie wyraźnie złapał wiatr w żagle. Jego ugrupowanie wzmocniło się w mediach społecznościowych, on sam w swoim przekazie postawił na konfrontację z prezydentem oraz w jakiejś części z Grzegorzem Braunem, prawdopodobnie wychodząc z założenia, że trzeba wykorzystać okazję do osłabienia PiS. A to osiąga się poprzez przemilczenie i pomijanie. Skoro wyborcy odpływają z PiS do Grzegorza Brauna, pokażmy im, że to właśnie on jest faktycznym wrogiem Koalicji Obywatelskiej, a będą odpływać jeszcze szybciej. A PiS? A niech się tam kiszą we własnym sosie, oni już nie są poważnym rywalem.

Nie wiadomo, na ile jest to trwała taktyka, ale na razie można odnieść wrażenie, że premier skutecznie odcina tlen polaryzacji Prawu i Sprawiedliwości, które bez niego nie jest w stanie funkcjonować. Beneficjentem tego układu, oprócz Karola Nawrockiego oraz Grzegorza Brauna, będzie także Konfederacja. Jeśli zaś ktoś mógł się martwić, że PiS nie ma na siebie pomysłu, to wygląda, że ten pomysł się już pojawił: zażarta walka buldogów pod dywanem. A może nawet – na dywanie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

Krótka historia nicejskiego credo z 325 r.

ks. Przemysław Artemiuk

Wyznanie Boskości Chrystusa wiąże się jak najściślej „z jednym z największych kryzysów w dziejach Kościoła, a mianowicie z konfliktem dotyczącym Ariusza i arianizmu". Kryzys ten nie tyle zrodził się z chęci odmówienia Chrystusowi Bóstwa, ile raczej z pragnienia głębszego zrozumienia specyfiki monoteizmu chrystologicznego

Sam Ariusz (zm. 336) nie zamierzał krytykować chrześcijaństwa czy tworzyć nowej nauki. Jako kapłan i uczeń męczennika Lukiana z Antiochii (zm. 312) zajmował się egzegezą i był kaznodzieją w Aleksandrii. W „Liście do Aleksandra" twórca arianizmu wyznaje: „Znamy jednego Boga, który jest jedyny niezrodzony, jedyny wieczny, jedyny bez początku (przyczyny), jedyny prawdziwy, jedyny nieśmiertelny, jedyny mądry, jedyny dobry, jedyny Pan, sędzia wszystkich, rządca niepodlegający zmianom i niezmienny […]".

SPRAWA ARIUSZA

Tak mocne podkreślenie jedyności Boga sprawiło, że Ariusz odrzucił wszystko, co ją narusza. Skoro istnieje tylko jedno Boskie pryncypium, to ono jest fundamentem wszelkiego bytu, „nie ma sobie równego; swej absolutnej transcendencji nie dzieli z nikim. Ze względu na jej całkowite odosobnienie transcendencja ta jest ostatecznie niewypowiedziana. Odnosi się to nie tylko do stworzenia, lecz także do Syna; również dla Niego Ojciec pozostaje zasadniczo nieuchwytny". Starotestamentalne „Słuchaj Izraelu" jest dla Ariusza podstawową wypowiedzią, na której buduje całą swoją teologię, prowadząc konsekwentnie do radykalnego wyniesienia Boga ponad świat i oddzielenia Go od Syna. W ten sposób Jezus zostaje przesunięty na nie-Boski poziom stworzeń. Tym, co radykalnie odróżniało Boga od Syna, była niewyrażalność, która dominowała w koncepcji Ariusza. Można o Bogu mówić tylko tyle, ile da się zanegować w ograniczonych określeniach stworzeń. Zatem Bóg jest niepodobny, niewidzialny, niewymowny, niewypowiedziany. Określenia te jednoznacznie wskazują na absolutną jedyność Boga, której będą strzegli zwolennicy Ariusza. Wiedeński teolog zauważa, że tak pojmowany Bóg bliski jest idei platońskiej monady.

Chociaż z pism Ariusza przetrwało niewiele, w zasadzie tyle tylko, ile przechowali jego adwersarze, to jednak nauka twórcy arianizmu o Logosie jest dobrze znana. Ariusz, wykorzystując pojęcia swojego czasu, starał się wyjaśnić rolę Logosu. Ariański Logos odpowiada ujęciu platońskiemu, że Bóg stworzył Logosa ze względu na jego funkcję w stwarzaniu świata, gdyż bez istoty pośredniej nie mógłby stwarzać. Chociaż więc Ariusz posługiwał się w swoim nauczaniu Biblią, to jednak na jego wiarę oddziaływała w znacznej mierze ontologia neoplatońska. Taki sposób myślenia zdecydowanie odbiegał od żydowsko-chrześcijańskiej wiary w stworzenie. Według Ariusza „Bóg potrzebuje swoistego »bezpiecznika«, który by tak zmniejszył Jego wszechmoc, że stworzenie ją zniesie i przetrzyma. W ariańskim ujęciu stworzenia świat jest dziełem podporządkowanego Bogu sługi, nie nosi więc na sobie śladów Boga i nie jest nawet przejrzysty dla samego Stwórcy".

SOBOROWA ODPOWIEDŹ

Głoszona przez Ariusza i popularyzowana przez niego w formie pieśni doktryna o stworzoności Syna Bożego nie mogła pozostać bez odpowiedzi. Nauka ta została określona mianem herezji, a on sam został usunięty z Kościoła przez bp. Aleksandra. Rozwiązanie przyniósł zwołany przez cesarza Konstantyna w roku 325 do Nicei synod, który przeszedł do historii pod nazwą pierwszego soboru ekumenicznego. Ojcowie soborowi odrzucili doktrynę Ariusza, sytuującą Logosa po stronie stworzeń. Jednakże poza potępieniem Ariusza w Nicei chodziło także o wypracowanie terminologii chrystologicznej. Kluczowy fragment nauczania Soboru Nicejskiego brzmiał następująco: „[Wierzymy] w jednego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, zrodzonego z Ojca, to znaczy z substancji Ojca, Boga z Boga, światłość ze światłości, Boga prawdziwego z Boga prawdziwego, zrodzonego, nie stworzonego, współistotnego Ojcu, przez którego zostały uczynione wszystkie rzeczy tak w niebie, jak i na ziemi".

Z punktu widzenia chrystologii najistotniejsze są trzy „określenia wyjaśniające", czyli dodatki znajdujące się w credo. „Nicea wyznaje: Jezus Chry-

eprasa.pl a82608b277

stus, Syn Boży, jest »zrodzony z Ojca, to znaczy z substancji Ojca«, wyjaśniając w ten sposób, co to znaczy, że Syn jest z Ojca. Następnie stwierdza, że jest On »zrodzony, a nie stworzony«, aby uwypuklić, co oznacza zrodzenie, albo raczej, czego ono nie oznacza. W końcu zaś mówi, że jest On »współistotny Ojcu«, zostaje tutaj wprowadzone kluczowe słowo Soboru: homoousios. A jest ono o tyle ważne, że w tradycji łacińskiej uznano za konieczne wprowadzenie dodatku: »co po grecku nazywa się homousios«". W odróżnieniu od wyznań wiary, które mówią językiem biblijnym i są zwięzłymi ujęciami kerygmatu apostolskiego, credo nicejskie wyraża wypracowaną spekulatywnie doktrynę Kościoła. Wspomniane trzy nowe określenia zostały użyte świadomie. Ojcowie soborowi poszerzyli język teologii przez wprowadzenie pojęć filozoficznych („istota", „współistotny").

Pierwszym terminem obecnym w credo jest wyrażenie „jednorodzony", po grecku monogenes. Słowo to wielokrotnie pojawia się w Nowym Testamencie, zwłaszcza w tekstach Janowych (por. J 1,14.18; 3,16.18; 1J 4,9). Swoim znaczeniem odpowiada ono hebrajskiemu jachid, które tłumaczy się jako „jednorodzony, jedynie umiłowany". Nie tylko ewangelista informuje nas, że Jezus jest Synem Boga („Jednorodzony Bóg Syn, który jest w łonie Ojca" – J 1,18), ale On sam zwraca się do Boga, nazywając Go Ojcem (np. w Ewangeliach synoptycznych – 51 razy). Zagadnienie pochodzenia Chrystusa wiązało się z pytaniem: W jaki sposób dokonało się to zrodzenie? Nie tylko gnoza nie potrafiła zmierzyć się z tym pytaniem, lecz także św. Ireneusz (zm. 202) traktował zrodzenie jako niezgłębioną tajemnicę. Ariusz natomiast wyjaśniał, że Syn pochodzi od Ojca, tak jak każde stworzenie. To pochodzenie pojmował więc w sensie bardzo ogólnikowym, na podobieństwo pochodzenia wszystkich rzeczy ostatecznie od Boga (por. 1 Kor 11,12). Ariusz twierdził, że „z woli Bożej Syn ma określony wiek i określoną wielkość; Jego pochodzenie od Boga ma swoje od kiedy, przez kogo i od tego momentu". Według niego Syn zatem pochodzi z woli Ojca, został stworzony z niczego i był czas, kiedy Go nie było.

Wizerunek Ariusza

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Według Ariusza Syn pochodzi z woli Ojca, został stworzony z niczego i był czas, kiedy Go nie było

Christoph Schönborn zauważa w nauczaniu Soboru Nicejskiego pewną ewolucję. Początkowo, posługując się jedynie terminami biblijnymi („nicość", „Słowo", „Mądrość", „Potomek", „stworzenie"), starano się uzasadnić, że Syn jest zrodzony z Boga. Jednakże w starciu z Ariuszem okazało się to niewystarczające, ponieważ „arianie utrzymywali coś przeciwnego, głosząc, że to »z Boga« (ek tou theou) odnosi się do wszystkich stworzeń (por. 1Kor 8,6)". Dlatego sobór, jak wyjaśniał św. Atanazy, wprowadził wyrażenie „z substancji (ousia) Ojca", „aby uwypuklić, że sposób, w jaki stworzenia pochodzą od Boga, różni się istotowo od pochodzenia Syna. O żadnym stworzeniu nie można powiedzieć, że wywodzi się z istoty (substancji) Ojca, albowiem Bóg stwarza je z niczego według swej woli". Używając tego terminu, sobór jednoznacznie odciął się od nauki ariańskiej. Logos więc w nauce Kościoła znalazł się po stronie Boga, a nie – jak w nauczaniu Ariusza – po stronie stworzeń.

Drugim określeniem wyjaśniającym credo nicejskie jest sformułowanie: „zrodzony, a nie stworzony". Skoro sednem ariańskiej kontrowersji, zdaniem J. Pelikana, nie była doktryna o Bogu jako takim, ale nauczanie dotyczące relacji pomiędzy Bogiem i Boskością Chrystusa, to musiało pojawić się rozstrzygające twierdzenie o Jego pochodzeniu. Schönborn, charakteryzując poglądy Ariusza, zwraca uwagę na biblijny fundament jego refleksji o pochodzeniu Syna. Jednakże nieumiejętność wyartykułowania różnicy między terminami „zrodzony" a „stworzony" zaowocowała wyciągnięciem fałszywych, chociaż na pozór logicznych wniosków: „Wszystko, co zrodzone, jest – według ludzkiej logiki – także stworzone, a więc skończone. Tymczasem Bóg nie jest ani stworzony, ani zrodzony. Stąd Ariusz wnioskował: skoro Pismo Święte mówi o Synu, że jest zrodzony, iż jest jednorodzonym Synem, to znaczy, że jest On także uczyniony, stworzony, a więc nie jest Bogiem". Według Ariusza Bóg w żaden sposób nie może zrodzić Syna równie wiecznego, współistotnego, bo to kazałoby widzieć w Bogu dwa principia. W opinii Ariusza „Bóg najpierw stał się Ojcem, zanim wydał Syna. Imię »Ojciec« nie może zatem określać odwiecznej istoty czy też specyfiki Boga, podobnie jak imię »Syn« nie objawia odwiecznej relacji, lecz określa jedynie właściwość danego stworzenia, które Bóg adoptował do godności Syna". Ariusz nazywa Boga monadą, istnienie zaś Syna określa diadą, która pojawiła się w czasie, tylko dzięki ojcowskiej woli Boga. Taki sposób spekulacji nie tylko ujawnia ducha neoplatońskiego w systemie Ariusza, lecz także manifestuje całkowicie fałszywe pojęcie transcendencji Boga. Święty Atanazy, odpowiadając Ariuszowi, podkreślił zbawczą i egzystencjalną rzeczywistość wiary chrześcijańskiej. Nazywanie Boga Ojcem nie ma w sobie nic przygodnego, ale jest znakiem jedyności Boga jako źródła i Jego Boskiego ojcostwa. Termin „zrodzenie", określający pochodzenie

eprasa.pl a82608b277

Syna, użyty przez Sobór Nicejski I, jednoznacznie i definitywnie wyklucza więc „stworzenie". B. Sesboüé uważa, że wzmacnia on język biblijny mówiący o pochodzeniu Słowa.

Zdaniem C. Schönborna trzeci dodatek, mianowicie „współistotny Ojcu" (homousios), pojawiający się w credo nicejskim, miał charakter najbardziej sporny. Jest on kluczowym, chociaż niebiblijnym wyrażeniem, które spotykamy już u teologów przednicejskich, aczkolwiek świadectwa ich są nieliczne i niejednoznaczne. Wprowadzenie go do wyznania wiary budziło zrozumiałe kontrowersje. Nicejskie credo, wprowadzając termin „współistotny", poprzedza go trzema paralelnymi formułami: „Bóg z Boga, światłość ze światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego", znanymi z wcześniejszych wyznań wiary, niebiblijnymi, ale zakorzenionymi w języku św. Jana. Dwie pierwsze były akceptowane przez arian, jednak trzecia: „Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego", zdecydowanie burzyła ich teologię. Zgodnie ze średnim platonizmem Logos był pojmowany jako „drugi Bóg" (deuteros theos), który ma swój udział w Boskości Ojca, ale pozostaje stworzeniem. Zdaniem C. Schönborna wszystkie trzy wypowiedzi soborowe „zawierają w swej treści jedyne i wyjątkowe odniesienie Jezusa do Ojca. Podobnie jak »z substancji Ojca« powinno nam powiedzieć coś ważnego na temat pochodzenia Syna, tak też »współistotność« ma nam powiedzieć coś istotnego na temat samej istoty Chrystusa, akcentując wyraźnie – wbrew myśli o udziale – Boskość, równość w swej istocie z Ojcem". Chociaż dla arian termin „homoousios" nadmiernie podkreślał nie jedność, lecz identyczność Ojca i Syna, „niwelując tym samym realność samodzielnego istnienia Syna", cel wprowadzenia tego terminu do credo jest zrozumiały. Chodziło mianowicie o wykluczenie jakiejkolwiek pomyłki w obrazowym wyjaśnianiu relacji Ojca do Syna: „»Bóg z Boga, światłość ze światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego« – wszystko to należy rozumieć w pełnym tych ujęć znaczeniu. Natomiast dwa dodatki: »zrodzony, a nie stworzony« i »współistotny Ojcu«, odnoszą się dialektycznie do siebie. Pierwszy ma wykluczyć możliwość traktowania Syna jako stworzenie, drugi z kolei ma uniemożliwić jakiekolwiek stopniowanie w Bogu, jakoby było w Nim czegoś mniej lub więcej. Perspektywa jest zawsze biblijno-egzegetyczna. Wypowiedzi o Bóstwie Chrystusa nie będą rozumiane zgodnie z Pismem, jeśli odczyta się »z Ojca« inaczej niż »współistotny Ojcu«".

Konflikt z arianizmem przyczynił się do sprecyzowania nauki pierwotnej w nowej, niebiblijnej szacie językowej

Konflikt z arianizmem przyczynił się do sprecyzowania nauki pierwotnej w nowej, niebiblijnej szacie językowej. Proces ten dokonał się „nie po to, by porzucić Tradycję i zastąpić słowo biblijne, lecz by chronić je w jego objawiającej treści".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl a82608b277

„Jestem biskupem, więc będę mówić!”

Ewa Polak-Pałkiewicz

„Pobyt dwóch belgijskich biskupów jako wizytatorów w Écône wzburzył środowisko seminaryjne; pozwalali sobie na uwagi, które zostały odebrane jako prowokacje; mówili, że zniesienie celibatu to kwestia niedługiego czasu, że nie wierzą w niezmienną prawdę, powątpiewali w realność Zmartwychwstania” – fragment książki Ewy Polak-Pałkiewicz „Ekscelencja jest szalony! Arcybiskup Marcel Lefebvre i czasy, które przewidział”

Valais ze stolicą w Sion to jeden z największych alpejskich kantonów w Szwajcarii, część kraju, która oparła się reformacji i jest do dziś ostoją katolicyzmu. Pomiędzy dwoma gminami kantonu, Saxon i Riddes, w dolinie Rodanu leży niewielka wioska Écône, której nazwa szybko stała się symbolem oporu wobec posoborowej rewolucji […]. Nad żyzną doliną wznosi się potężny masyw Mont Blanc i Przełęcz św. Bernarda. Tu znajdował się opustoszały klasztor Kanoników Regularnych św. Bernarda Wielkiego, okazały dziewiętnastowieczny gmach zbudowany z miejscowego kamienia. Kanonicy wykorzystywali go już tylko jako miejsce, gdzie hodowali i szkolili swoje psy. Po wystawieniu go na sprzedaż zgłosiła się organizacja komunistów, nie kryjąc, że zamierza zburzyć kaplicę poświęconą Matce Bożej Siewnej (Notre-Dame-des-Champs) wzniesioną w 1895 roku. Pięcioro przyjaciół, miejscowych katolików – wśród nich adwokat ze Sion, Roger Lovey – postanowiło kupić klasztor wraz z pięknym otoczeniem, by nie trafił w niepowołane ręce. Choć nie dysponowali żadnym kapitałem, to udało im się uzyskać pożyczkę z banku na zakup posiadłości. Żeby spłacić kredyt, założyli w Écône najpierw hodowlę cieląt, potem kurzą fermę i gospodarstwo ogrodnicze; winna latorośl i drzewa morelowe owocowały tak obficie, że pożyczka została spłacona, a dawny dom zakonny czekał już tylko na swoją historyczną chwilę. Dzięki temu, że arcybiskup miał bliskich znajomych także wśród miejscowych proboszczów, a w nieodległym Fryburgu organizował właśnie zalążek międzynarodowego seminarium, w marcu 1969 roku doszło do jego spotkania z nowymi właścicielami Écône. Od pierwszej chwili nikt z nich nie wątpił, że dawny klasztor kupiony został przez nich właśnie po to, by abp Lefebvre zainicjował jego drugą młodość.

> **Mało kto w Watykanie wiedział, że Arcybiskup osobiście usuwał z Écône ludzi, którzy odmawiali modlitw za papieża**

Podczas uroczystego obiadu w miejscowej gospodzie Alphonse Pedroni, członek grupy (jego brat Marcel, człowiek o bardzo twórczej i praktycznej jednocześnie osobowości, został wkrótce jednym z najbliższych przyjaciół i współpracowników Arcybiskupa), dotąd tajemniczo milczący, wstając nagle, wypowiedział słowa, które okazały się prorocze:

– Cóż, Ekscelencjo! Mówię Ekscelencji, że o seminarium w Écône będzie się mówić na całym świecie!

Wspaniałomyślny gest przekazania posiadłości w ręce Arcybiskupa sprawił, że historia Écône zaczęła toczyć się z wyraźnym przyspieszeniem […]. Wieść o powstającym seminarium rozchodziła się lotem błyskawicy. Do Arcybiskupa zgłaszali się księża chcący z nim współpracować. On sam obawiał się tylko, że w tak odludnym miejscu trudno będzie znaleźć stałą pomoc w sprawach codziennego funkcjonowania domu seminaryjnego. Tymczasem dominikanki prowadzące szkołę i dom opieki dla dzieci, które miał pod swoją pieczą o. Berto w Pontcalec, same przybyły, by zająć się w Écône kuchnią i pralnią […].

Seminarium w Écône już w drugim roku swego istnienia zrzeszało 60 studentów. Stało się oficjalnym międzynarodowym seminarium Bractwa św. Piusa X. Spartańskie warunki nikogo nie odstraszały. Refektarz i pralnia znalazły swoje miejsce w starej piwnicy na beczki z winem. W roku 1971/1972, wspominanym jako „heroiczny”, część seminarzystów sypiała w magazynie elektrowni, zwanym „kawalerką”, nieopodal seminarium. Szybko wzniesiono nowy budynek. Dawną stodołę zaadaptowano na kaplicę. Jeden z jej witraży został poświęcony św. Stanisławowi Kostce i uwieńczony napisem: „Stanislaus angelico pane reficitur” („Święty Stanisław Kostka karmiony anielskim chlebem”). Przez dwadzieścia lat Bractwo czekało na pozwolenie na budowę nowego kościoła w stylu romańskim, którego projekt był już gotowy w połowie lat 70. Wzniesiony został z kamienia, który ofiarował Alphonse Pedroni, właściciel pobliskiego kamieniołomu […].

„DZIKIE” SEMINARIUM KOLE W OCZY

Tymczasem we Francji spadek powołań stał się drastyczny; wyświęcano rocznie zaledwie około setki księży (przed soborem było ich kilka razy więcej), seminaria ziały pustkami, zamykano je. Écône, séminaire sauvage („dzikie”), jak mówiono, rozkwitające i coraz bardziej

eprasa.pl a82608b277

popularne także wśród tych, którzy rozgoryczeni opuszczali inne seminaria, kłuło w oczy francuskich biskupów. Uzgodnili więc, że nie będą inkardynować absolwentów uczelni abp. Lefebvre'a w swoich diecezjach. Watykan wysłał w listopadzie 1974 roku do Écône dwóch belgijskich biskupów jako wizytatorów. Ich trzydniowy pobyt wzburzył środowisko seminaryjne; pozwalali sobie na uwagi, które zostały odebrane jako prowokacje; mówili, że zniesienie celibatu to kwestia niedługiego czasu, że nie wierzą w niezmienną prawdę, powątpiewali w realność Zmartwychwstania. Arcybiskup zareagował ostrym komentarzem potępiającym sianie zamętu w umysłach młodych ludzi przez wysłanników Rzymu. I choć ocena wizytatorów była dla szwajcarskiego seminarium w sumie pozytywna, wypowiedź wzburzonego abp. Lefebvre'a trafiła szybko do obiegu publicznego, nie bez wyostrzającego retuszu, i stała się upragnionym przez francuską hierarchię dowodem na jego wrogość wobec Stolicy Apostolskiej. Prasa liberalna nie przebierała w słowach, zniekształcając fakty i fałszując przy tej okazji biografię Marcela Lefebvre'a. Skandal miał na celu zdyskredytowanie uczelni, która jak magnes przyciągała młodych ludzi nie tylko z Francji.

Niedługo po rozpętaniu kampanii prasowej przeciwko Écône pojawiły się także akty zastraszania. Dwóch mężczyzn włamało się do seminarium i wtargnęło do sypialni jednego z seminarzystów. Krzyk zaalarmował jego sąsiada, Bernarda Tissiera de Mallerais'a (niedawnego skauta), który ruszył w pogoń za napastnikami […]. Arcybiskup coraz wyraźniej uświadamiał sobie, że jest faktycznym oparciem dla wszystkich księży, nie tylko w Szwajcarii czy we Francji, którzy postanowili stawić opór reformie liturgicznej i – za wysoką nieraz cenę – odprawiali jedynie Mszę św. Piusa V. Stanowczo nie wyraził zgody, by w jego seminarium sprawowano Mszę według zmienionej po soborze liturgii. A przecież dla wielu księży i biskupów podobna odmowa oznaczała dramat nieposłuszeństwa i wywoływała konflikt sumienia […].

Na polecenie Rzymu biskup diecezji lozańskiej, Pierre Mamie, następca bp. François Charrière'a, zamierzał odmówić prawnego umocowania Bractwa. W Rzymie pojawiła się komisja trzech kardynałów, która miała rozpatrzyć kwestię. Udział w niej kard. Garrone'a, prefekta Kongregacji ds. Edukacji Katolickiej i osobistego wroga Arcybiskupa, był wymowny – to on odpowiadał podczas soboru za to, że bezprawnie pominięto poprawki abp. Lefebvre'a i innych ojców do konstytucji „Gaudium et spes". Kardynał Wright, drugi z jej członków, ugiął się pod naciskiem i odstąpił od dotąd życzliwego poparcia dla Bractwa (był autorem listu pochwalnego do Arcybiskupa w związku z jego powołaniem). Kardynał Tabera nie zabierał głosu.

EWA POLAK-PAŁKIEWICZ „EKSCELENCJA JEST SZALONY! ARCYBISKUP MARCEL LEFEBVRE I CZASY, KTÓRE PRZEWIDZIAŁ" WYDAWNICTWO FRONDA, WARSZAWA 2025

GDY OPINIA PUBLICZNA STAJE SIĘ SĄDEM

„Sam arcybiskup przybył na spotkanie nieświadomy nowych zwyczajów panujących w Rzymie – komentuje Henry J.A. Sire. – Oczekiwał kurtuazji stosownej dla spotkań książąt Kościoła, zastał zaś atmosferę pokoju przesłuchań odpowiednią dla któregoś z pośledniejszych posterunków policji z Marsylii; w trakcie rozmowy kard. Garrone posunął się do nazwania go szaleńcem. Pisząc relację z tego spotkania, abp Lefebvre zwrócił uwagę na rażące naruszenia procedury: »Nie uczyniono niczego, aby pomóc mi w osiągnięciu porozumienia czy też znalezienia polubownego rozwiązania. Nie przedstawiono mi na piśmie żadnych sprecyzowanych zarzutów, żadnego upomnienia. Przez pięć godzin dyskusji przypominano mi jedynie o obowiązku posłuszeństwa, obrażano mnie i grożono«". Nie uzyskał kopii stenogramu ani nagrania tej zgoła niecodziennej wymiany zdań. W prasie przedstawiono jej zmanipulowany przebieg.

Cztery miesiące później aprobata dla Bractwa została cofnięta przez bp. Mamie. Arcybiskup, zgodnie z przysługującym mu prawem, odwołał się do Trybunału Sygnatury Apostolskiej, ale wniosek został odrzucony. Musiał zatem odwołać się do wyższej instancji – Najwyższego Trybunału Sygnatury. Nie odpowiedziano mu nawet słowem, jakby był nikim, a Bractwo jakimś przywidzeniem. Tymczasem to właśnie komisja przesłuchujących go kardynałów była enigmatyczna, nie znano jej uprawnień, nie postawiła także Arcybiskupowi żadnych formalnych zarzutów. Otrzymał tylko list od Pawła VI, w którym papież podtrzymuje decyzję o likwidacji Bractwa. Wszystkie te działania, jak podkreśla Henry J.A. Sire, łącznie z odebraniem statusu prawnego Bractwu, były zaprzeczeniem praworządności Stolicy Apostolskiej i należało je uznać za „niekanoniczne i nieważne". Podczas gdy Arcybiskup domagał się w listach respektowania elementarnego porządku prawnego, dwukrotnie odmówiono mu audiencji u Pawła VI. Znalazł się w istocie poza prawem, bez prawa do obrony. Sire podkreśla, że „było czymś niesłychanym, aby na biskupa nakładano sankcje bez stosownego procesu przed Kongregacją ds. Biskupów lub Świętym Oficjum czy też ogłaszano wyrok w imieniu papieża, bez możliwości stawienia się oskarżonego przed swoim sędzią".

[…] Tak naprawdę cały „problem abp. Marcela Lefebvre'a", który rósł i potężniał w głowach watykańskich urzędników, w dużym stopniu inspirowanych przez jego francuskich współbraci w biskupstwie, zawierał się w tym, że on już dawno o wszystkim postanowił głośno mówić. Był jak kard. Pie, który w dniu ingresu w Poitiers wołał: „Jestem biskupem, więc będę mówić!".

[…] W tym samym roku prawie trzydzieści procent francuskich katolików zadeklarowało solidarność z nim. We Mszy, którą w sierpniu odprawił na terenie międzynarodowych targów w Lille, uczestniczyło siedem tysięcy ludzi. Miesiąc później Paweł VI przyjął go na audiencji w Castel Gandolfo, której mu tak długo odmawiał, i już przy powitaniu zapytał, patrząc z niepokojem na Arcybiskupa: „Kogo przyjmujemy, brata czy wroga papieża?". Informacje, jakie uzyskał od Arcybiskupa na temat seminarium w Écône, zburzyły karykaturalny obraz tego miejsca (mało kto w Watykanie wiedział, że Arcybiskup osobiście usuwał z Écône ludzi, którzy odmawiali modlitw za papieża).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

Nie tylko Miller

Filip Memches

Przebieg zmian, które przeorały dawnych komunistów w byłych państwach bloku wschodniego, zależał od lokalnych uwarunkowań. Nie stała za nimi jakaś jedna uniwersalna ideologia. Tej bowiem w tym przypadku nie było i nie ma

Leszek Miller wymyka się podziałom politycznym w Polsce i nieraz wprawia w konsternację uczestników czy obserwatorów polskiej debaty publicznej. Z jednej strony, od roku 2023 przy różnych okazjach wyrażał poparcie dla Donalda Tuska (a nawet mówił, że jego rząd jest niedostatecznie stanowczy w zwalczaniu PiS), z drugiej – formułuje opinie, które nie mieszczą się w dyskursie obozu lewicowo-liberalnego. Tak jest wtedy, gdy opowiada się za asertywną polityką Polski wobec Ukrainy, sugerując, że Ukraińcom jako ofiarom napaści Rosji nie należy się żadne traktowanie na specjalnych warunkach. Ponadto Miller chwali pokojowe inicjatywy Donalda Trumpa, które polscy progresiści uważają za przejawy postawy kapitulanckiej w stosunku do Kremla. Wreszcie były premier Polski – wbrew, narzucanej społeczeństwom Zachodu przez środowiska lewicowe, politycznej poprawności – oznajmia, że płcie są tylko dwie.

A przecież Miller nie zadeklarował zmiany poglądów. Tymczasem jeszcze niedawno, bo w latach 2019–2024, zasiadał w Parlamencie Europejskim jako deputowany frakcji socjaldemokratycznej. Można powiedzieć, że nie wyrzekł się swoich politycznych korzeni, czyli tego, że był długo w Polsce przywódcą socjaldemokratów. Ich proweniencja sięga zaś bądź co bądź PRL. Wywodzą się z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – ugrupowania, którego Miller był prominentnym politykiem. I tu dochodzimy do kwestii tego, w co się tak naprawdę przekształcały formacje komunistyczne w państwach dawnego bloku wschodniego.

W Polsce i na Węgrzech po roku 1989 drogi komunistów były zbieżne. Przedzierzgnąwszy się w socjaldemokratów, i jedni, i drudzy postanowili przyciągnąć wyborców brutalnie dotkniętych skutkami reform kapitalistycznych. Ci zaś oczekiwali od państwa bezpieczeństwa socjalnego i byli podatni na hasła, w których pobrzmiewała nostalgia za czasami realnego socjalizmu. Jednocześnie – co jest bardzo istotne – polscy i węgierscy towarzysze skonstatowali, że Zachód wygrał zimną wojnę dlatego, że górował nad blokiem wschodnim rozwiązaniami polityczno-ekonomicznymi. Dlatego, gdy rządzili w nowych warunkach, nie bacząc na swoje propagandowe umizgi do ludzi rozczarowanych transformacją ustrojową, kontynuowali reformy kapitalistyczne, a zdarzało się nawet, że je intensyfikowali (czego przykładem może być wprowadzenie na początku XXI w. przez gabinet Millera podatku liniowego dla samozatrudnionych).

RESPEKT DLA KONSERWATYZMU OBYCZAJOWEGO

Tym, co w Polsce i na Węgrzech wyróżniało socjaldemokratów – czy raczej postkomunistów – od prawicy, było przede wszystkim stanowisko w sprawach kulturowych. Dokonano wyboru lewicowości „cywilizowanej" na modłę zachodnioeuropejską. Sojusz Lewicy Demokratycznej i Węgierska Partia Socjalistyczna z jednej strony odrzuciły model „dyktatury proletariatu" i gospodarki centralnie planowanej, z drugiej zaś postawiły na emancypację grup społecznych występujących przeciw konserwatywnej części społeczeństwa. Jak wiadomo, walka SLD o prawo do aborcji, przywileje dla mniejszości seksualnych, ograniczenie wpływu Kościoła katolickiego na Polaków torowała tej partii drogę na europejskie salony polityczne. Komunistyczny rodowód Sojuszu nie miał już znaczenia.

Odmienną ścieżką poszli jednak komuniści w innych państwach bloku wschodniego. Można tu wskazać choćby przypadek Czechosłowacji, która w roku 1993 rozpadła się na dwa państwa. Zarówno w Czechach, jak i na Słowacji dał o sobie znać postkomunizm, który można określić mianem narodowego. W kręgach postkomunistycznych obu państw zachowała się niechęć do Zachodu postrzeganego jako ośrodek nie tylko wyzysku kapitalistycznego, lecz także kolonializmu kulturowego, oddziałującego na społeczeństwa Europy Środkowej i Wschodniej moralnie deprawująco.

Zacznijmy od Słowacji. Ważną rolę na tamtejszej scenie politycznej odgrywa SMER (Kierunek). Ugrupowanie to zostało założone w roku 1999 przez obecnego premiera Słowacji Roberta Ficę. Polityk ten w latach 1987–1990 należał do Komunistycznej Partii Czechosłowacji (KSČ). Rzecz jasna, to jeszcze nie świadczy o tym, że Fico był szczerym komunistą. Za jego przynależnością do KSČ mógł stać zwykły koniunkturalizm.

Choć SMER programowo deklaruje, że jest formacją socjaldemokratyczną, to z dużym respektem odnosi się do konserwatyzmu obyczajowego cechującego społeczeństwo słowackie. W roku 2023, po wyborach parlamentarnych na Słowacji, stronnictwo Ficy zawiązało koalicję rządową z bliskim sobie ideowo ugrupowaniem Hlas (Głos) oraz – bynajmniej nielewicową – Słowacką Partią Narodową

eprasa.pl a82608b277

Od lewej: Andrej Babiš i Robert Fico podczas posiedzenia Rady Europejskiej w Brukseli, 15 grudnia 2017 r.

FOT. OLIVIER HOSLET/EPA/PAP

(SNS). I na uwagę zasługuje drugi z tych koalicjantów. SNS podaje w wątpliwość prozachodni wektor polityki słowackiej. Kontestuje Unię Europejską, zarzucając jej, że ta próbuje zmusić Słowację do masowego przyjmowania imigrantów spoza Starego Kontynentu. Słowacka Partia Narodowa oskarżana jest też o szerzenie „mowy nienawiści" wobec mniejszości narodowych i obyczajowych (występuje przeciw agendzie LGBT). Znamienne, że lewicowo-nacjonalistyczna (jeśli tak to można ująć) koalicja rządowa na Słowacji doprowadziła do tego, że w roku 2025 w konstytucji tego państwa zapisano – prewencyjnie, żeby zapobiec ewentualnemu genderystowskiemu gmeraniu w słowackim ustawodawstwie – że są wyłącznie dwie płcie. Nic zatem dziwnego, że tuż po zawarciu przez SMER koalicji z SNS formacja Ficy została wykluczona z frakcji socjaldemokratów w Parlamencie Europejskim.

Lewica postkomunistyczna zawiązała koalicję rządową z nacjonalistami również na Litwie. W roku 2024 w wyniku wyborów parlamentarnych wyłonił się układ z udziałem Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej oraz formacji Świt Niemna, która bywa przez swoich antagonistów dezawuowana wręcz jako ugrupowanie „faszystowskie". Przy czym warto podkreślić – i to zakrawa na sprzeczność – że litewscy postkomuniści w latach 90. obrali kurs na progresywny europeizm.

Tematem, który dzieli lewicę w Europie, jest wojna na Ukrainie. Fico – inaczej niż mainstreamowi socjaldemokraci w Polsce – definiuje siebie jako polityka „antywojennego" (ktoś mógłby dodać, że oznacza to zwolennika opcji prorosyjskiej). Opowiada się więc za nieangażowaniem się w pomoc wojskową dla Ukrainy. Zgłaszał również zastrzeżenia do nałożonych przez Zachód na Rosję sankcji ekonomicznych i serwował przekaz, z którego wynikało, że NATO sprowokowało Rosjan do zaatakowania państwa ukraińskiego.

Podobne stanowisko w polityce wschodniej jak premier Słowacji zajmuje Komunistyczna Partia Czech i Moraw (KSČM). Została ona utworzona w roku 1990. Wywodzi się z Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Dziś nie ma ona w Czechach znaczącej pozycji, jest poza parlamentem, ale niegdyś wprowadzała do niego swoich przedstawicieli. W roku 2018 to właśnie ich głosy przyczyniły się do udzielenia wotum zaufania „populistycznemu" rządowi (choć samo ugrupowanie nie weszło do gabinetu), na którego czele stał Andrej Babiš (też w przeszłości członek Komunistycznej Partii Czechosłowacji i przy okazji tajny współpracownik czechosłowackiej służby bezpieczeństwa – StB). KSČM odwołuje się do czegoś, co można określić jako czeski plebejski patriotyzm, w którym obecne są krytyczne akcenty wobec UE, globalizacji i neoliberalizmu.

Narodowa wersja postkomunizmu daje o sobie znać również we wschodnich landach Niemiec. Tam wyrazicielem tego nurtu politycznego stał się bazujący na nastrojach antyimigranckich i „antywojennych" Sojusz Sahry Wagenknecht.

„PRAWOSŁAWNY ATEIZM"

I wreszcie dochodzimy do „słowiańskich" republik byłego Związku Sowieckiego. Po rozpadzie czerwonego imperium narodowy postkomunizm wtopił się w ich pejzaż polityczny. Przy czym trzeba podkreślić, że na Ukrainie od co najmniej roku 2014 zjawisko to postrzegane jest jako przejaw wpływów rosyjskich, więc państwo je tam zwalcza. W roku 2015 zakazana została działalność Komunistycznej Partii Ukrainy. Natomiast na Białorusi cechy narodowego postkomunizmu wykazuje dyktatura Aleksandra Łukaszenki. Kiedyś polityk ten powiedział o sobie, że jest „prawosławnym ateistą". Z kolei w Rosji relacje reżimu Władimira Putina z narodowym postkomunizmem są złożone. Aż do wkroczenia rosyjskich „zielonych ludzików" na Krym i do Donbasu w roku 2014 gospodarz Kremla był postponowany przez szeroką gamę środowisk łączących lewicowość z rosyjskim paradygmatem imperialnym. Przyprawiały one Putinowi gębę patrona oligarchów i pachołka Zachodu. Potem się to zmieniło, bo prezydent Rosji zapunktował u nich agresywną polityką wobec Ukrainy i antyzachodnim zwrotem. W roku 2022 poparły one rosyjską „wojskową specoperację". A wśród nich trzeba wskazać utworzoną w roku 1993 Komunistyczną Partię Federacji Rosyjskiej (KPRF). To ugrupowanie opozycyjne, ale koncesjonowane przez Kreml, więc ma swoich deputowanych w parlamencie rosyjskim.

Podstawą działalności KPRF zawsze były żywe wśród Rosjan tęsknoty za potęgą ZSRS. Dlatego w wielu kwestiach formacja ta jawi się jako relikt czasów sowieckich. Nie oznacza to jednak, że pozostała ona wierna dziedzictwu marksizmu-leninizmu. Kilkanaście lat temu jej ówczesny przywódca Giennadij Ziuganow – do rozpadu czerwonego imperium aparatczyk Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego – wyznał, że wyżej ceni Biblię i Koran niż rozprawy ideologów komunizmu. Stwierdził, że objawione księgi chrześcijaństwa oraz islamu odwołują się do duchowego wymiaru człowieczeństwa. I wymienił Kazanie na Górze, czyli osiem błogosławieństw adresowanych do tych – jak to ujął – którzy są przegrani, odrzuceni, ubodzy, ostatni. Przy czym z tych rozważań Ziuganowa nie wynika bynajmniej, że stał się on człowiekiem religijnym.

Okazuje się zatem, że przebieg zmian, które przeorały dawnych komunistów w byłych państwach bloku wschodniego, zależał od lokalnych uwarunkowań historycznych, kulturowych, geograficznych, politycznych. Nie stała za nimi jakaś jedna uniwersalna ideologia. Tej bowiem w tym przypadku nie było i nie ma. Ale przede wszystkim narodowy postkomunizm świadczy o tym, że podział „prawica – lewica" coraz bardziej się deaktualizuje. W jego poprzek występuje dychotomia „suwerenizm – globalizm". I to do niej należy przyszłość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

Kulisy wprowadzenia dekretu o stanie wojennym

Grzegorz Majchrzak

Pierwsze rozprawy na podstawie nowych przepisów rozpoczęły się jeszcze 17 grudnia 1981 r. Początkowo w sądach – podobnie jak w prokuraturach, co potwierdziło śledztwo pionu śledczego Instytutu Pamięci Narodowej – posługiwano się egzemplarzami powielaczowymi dekretu o stanie wojennym i skazywano na podstawie prawa, które nie zostało prawidłowo opublikowane

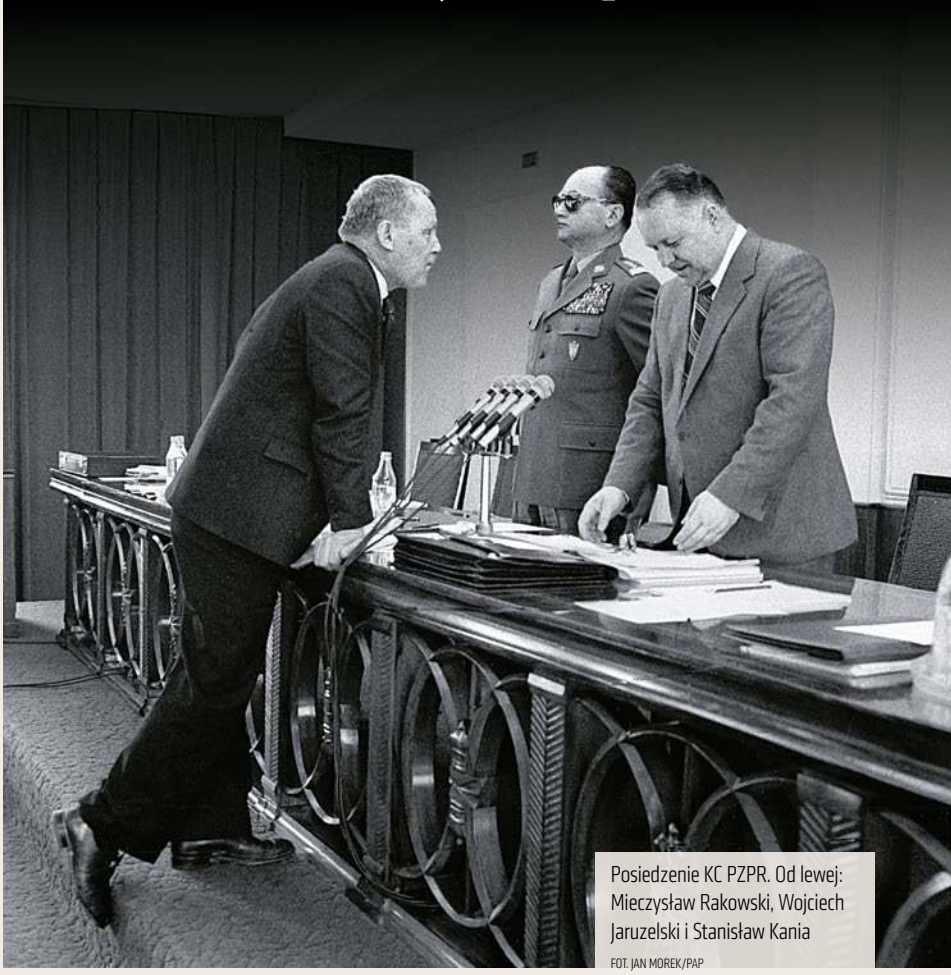

Posiedzenie KC PZPR. Od lewej: Mieczysław Rakowski, Wojciech Jaruzelski i Stanisław Kania

FOT. JAN MOREK/PAP

O ile sam dekret o stanie wojennym – przynajmniej ta jego wersja opublikowana w Dzienniku Ustaw – jest powszechnie znany, o tyle niezwykle ciekawe kulisy jego powstania już zdecydowanie mniej. Decyzja polityczna w sprawie jego przygotowania – na wypadek konieczności siłowej pacyfikacji niepokornej części polskiego społeczeństwa – zapadła oczywiście na forum Biura Politycznego Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Po raz pierwszy była o nim mowa 8 listopada 1980 r., a niespełna trzy tygodnie później – 26 listopada 1980 r. – na tym samym gremium I sekretarz KC PZPR Stanisław Kania, omawiając sytuację w kraju, konkludował: „Rozpatrzyć sprawę przygotowania dekretu o stanie wojennym i wynikające z jego wprowadzenia wszystkie konsekwencje".

Nie był to jednak bynajmniej początek prac nad tym dekretem, zalecano je już co najmniej dwa tygodnie wcześniej, 12 listopada, podczas posiedzenia Komitetu Obrony Kraju (organu Rady Ministrów odpowiedzialnego za kwestie obronności i bezpieczeństwa). Punktem wyjścia w pracach nad nim stał się dekret o ochronie bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego. Pod koniec 1978 r. przygotowano go w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych na wypadek wojny, a dwa lata później postanowiono go wykorzystać – jak to określano – „w sytuacji zagrożenia wewnętrznego". Był to krótki dokument, składający się zaledwie z 19 artykułów. Pracę nad nim w tzw. solidarnościowym karnawale przejął Komitet Obrony Kraju, a dokładniej Sekretariat KOK. Według Lecha Kowalskiego za przygotowanie dokumentacji związanej z planowanym stanem wojennym odpowiadali tam przede wszystkim pułkownicy: Mieczysław Borejsza, Stanisław Frunze, Kazimierz Gorczyca, Mieczysław Jasiczek, Tadeusz Malicki, Zdzisław Malina, Franciszek Piwowar, Henryk Raczak i Zbigniew Sabat. Jak relacjonował – na bieżąco – sekretarz KOK Tadeusz Tuczapski: „Dokumentację

eprasa.pl a82608b277

stanu wojennego najpierw doprecyzowywano w poszczególnych zespołach z MON, MSW, KC PZPR, Ministerstwa Sprawiedliwości, Komisji Planowania przy Radzie Ministrów itd. Każdy z tych zespołów działał w granicach wyznaczonych mu kompetencji i na określonych płaszczyznach odpowiedzialności […]. Scalaniem tych spraw zajmował się Sztab Generalny". W przypadku dekretu o stanie wojennym były to – oprócz wspomnianego koordynatora, czyli Sztabu Generalnego Wojska Polskiego – MSW (głównie Biuro Śledcze) oraz Prokuratura Generalna PRL.

ZAGROŻENIE WEWNĘTRZNE

Podczas posiedzenia KOK 12 listopada 1980 r. przyjęto również harmonogram prac nad tym dekretem, który miał zostać dopracowany do końca tamtego roku, a do 15 stycznia 1981 r. planowano dokonać uzgodnień międzyresortowych w jego sprawie. Niestety, nie wiadomo, kiedy powstała pierwsza wersja dekretu o ochronie bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego w okresie obowiązywania stanu wojennego na wypadek jego wprowadzenia nie ze względu na zagrożenie zewnętrzne, lecz wewnętrzne. Najprawdopodobniej jednak nie dotrzymano tego harmonogramu. W materiałach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zachowała się wersja przesłana przez Sztab Generalny na Rakowiecką 4 kwietnia 1981 r. Fakt, że wpisano w niej nie tylko datę roczną (1981), lecz także miesięczną (marzec), wskazuje na to, że powstała ona właśnie w marcu tego roku – prawdopodobnie w związku z tzw. kryzysem bydgoskim spowodowanym pobiciem działaczy Solidarności, kiedy to władze PRL przymierzały się – po raz już kolejny – do wprowadzenia stanu wojennego. Tym razem zresztą przymiarki te były na tyle zaawansowane, że wydano nawet wytyczne na taki wypadek polskim placówkom zagranicznym (ambasadom). Wspomniany projekt był niezwykle zwięzły, zdecydowanie krótszy od wspomnianej wcześniej wersji na przypadek wojny – składał się zaledwie z 11 artykułów. Spotkał się on – m.in. ze względu na swoją zaskakującą wręcz łagodność – z ostrą krytyką resortowych prawników. Ci go punktowali, stwierdzając m.in., że jednym z jego braków jest również to, że nie było w nim przepisów o internowaniu czy – jak pisali – „godzinie policyjnej". Tak na marginesie: w przypadku internowania alternatywą, o której w tym czasie myślano przy Rakowieckiej, było nadanie Milicji Obywatelskiej uprawnień do prewencyjnych zatrzymań na czas dłuższy niż 48 godzin, dokładnie na „ściśle oznaczony czas", np. 7 czy 10 dni.

Niestety, nie wiadomo, na ile w kolejnym projekcie dekretu uwzględniono zastrzeżenia Biura Śledczego MSW. Został on jednak przygotowany w tempie wręcz ekspresowym, gdyż z Komitetu Obrony Kraju kolejną jego wersję do Sztabu Generalnego Wojska Polskiego przesłano już 15 kwietnia 1981 r. Był on omawiany – wraz z innymi projektami przepisów prawnych stanu wojennego – podczas posiedzenia KOK dwa miesiące później (19 czerwca). Tak na marginesie, to najprawdopodobniej wtedy ostatecznie przeważył – wśród autorów stanu wojennego – pogląd, że może on zostać wprowadzony decyzją Rady Państwa, a nie Sejmu PRL. Jak poinformował wówczas uczestników tego posiedzenia wiceminister obrony narodowej Florian Siwicki: „Zasadnicze dokumenty związane z działaniem w razie zagrożenia bezpieczeństwa państwa zdeponowane są w Sztabie Generalnym WP", a „dokonywana w ostatnim okresie czasu analiza treści i formy tych dokumentów przez właściwe organy wykazała dobre ich przygotowanie, z wyjątkiem materiałów dotyczących propagandowego oddziaływania".

DRAKOŃSKIE ZAOSTRZENIE KAR

Nie oznaczało to jednak zakończenia prac nad prawem stanu wojennego. Na początku sierpnia 1981 r. gotowa była kolejna wersja dekretu – już nie o ochronie bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego w okresie obowiązywania stanu wojennego, lecz o stanie wojennym. Został on przesłany 4 sierpnia z Sekretariatu KOK do Szefa Sztabu Generalnego WP i wiceministra obrony narodowej Siwickiego wraz z informacją, że „stosownie do ustaleń przyjętych na ostatnim posiedzeniu Komitetu Obrony Kraju […] został opracowany w taki sposób, aby jego postanowienia można było stosować zarówno w przypadku wprowadzenia stanu wojennego na całym, jak i na części terytorium PRL, a także w przypadku wprowadzenia stanu wojennego nie tylko ze względu na bezpieczeństwo państwa, ale również ze względu na jego obronność". Najprawdopodobniej to właśnie podczas tego gremium zdecydowano się na zmianę tytułu dekretu. Był on – przynajmniej pod względem objętości – bliski wersji ostatecznej, gdyż składał się z 57 artykułów, podczas gdy jego wersja przedstawiona w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. członkom Rady Państwa do zatwierdzenia zawierała ich 61.

Tyle też (61 artykułów) miała wersja przygotowana najprawdopodobniej na początku października 1981 r., a rozesłana 7 października. Między wersjami sierpniową a październikową różnice nie ograniczały się jedynie do liczby artykułów czy wielu drobnych zmian redakcyjnych. W niektórych, pojedynczych przypadkach szły one zdecydowanie dalej. Tak było m.in. w przypadku internowania, gdzie wiele kwestii doprecyzowano. Największe i najważniejsze zmiany dotyczyły jednak kar za działania z motywów politycznych w okresie stanu wojennego – część czynów, które w poprzednim projekcie potraktowano jako wykroczenia, w nowej uznano już za przestępstwa. Kary za nie zaostrzono, niekiedy wręcz drakońsko. I tak np. w wersji z sierpnia znalazł się zapis: „Kto rozpowszechnia nieprawdziwe wiadomości mogące wywołać niepokój publiczny, podlega karze aresztu do 3 miesięcy albo karze grzywny", natomiast w wersji niespełna dwa miesiące późniejszej i ostatecznej, w nieco zresztą zmienionej postaci: „Kto rozpowszechnia fałszywe wiadomości, jeżeli może to wywołać niepokój publiczny lub rozruchy, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 5". Ponadto penalizacji poddano czyny, które nie miały być nią objęte jeszcze niespełna dwa miesiące wcześniej – w nowym projekcie dekretu znalazł się m.in. zapis: „Kto uczestniczy w strajku albo akcji protestacyjnej, podlega karze aresztu do 3 miesięcy albo karze grzywny do 2.500 złotych" czy inny: „Kto w celu przeprowadzenia strajku lub akcji protestacyjnej niszczy, uszkadza lub czyni niezdatnym do użytku zakład lub urządzenie albo uniemożliwia lub utrudnia prawidłowe funkcjonowanie zakładów, urządzeń lub instytucji, podlega karze

eprasa.pl a82608b277

pozbawienia wolności od roku do lat 10 i karze grzywny". W wersji z początku października z kolei zrezygnowano z niektórych zapisów sprzed dwóch miesięcy. Wśród nich znalazły się m.in. te dotyczące kompetencji Rady Państwa w okresie stanu wojennego. Chodzi tu o art. 6, który początkowo brzmiał: „1) W czasie obowiązywania stanu wojennego Rada Państwa wydaje dekrety z mocą ustawy również w okresach między posiedzeniami Sejmu, przedstawiając je Sejmowi na najbliższym posiedzeniu do zatwierdzenia; 2) Rada Państwa może wydawać dekrety z mocą ustawy także w sprawach należących do wyłącznej właściwości Sejmu, z wyjątkiem zmiany Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej".

Dekret o stanie wojennym podlegał również zmianom po jego uchwaleniu, a tak prawdę mówiąc, po „przyklepaniu" przez Radę Państwa. Nad prawem stanu wojennego, do którego notabene do 16 grudnia mogli zgłaszać uwagi członkowie Rady Ministrów, zasiedli 14 grudnia rano w Urzędzie Rady Ministrów „główni legislatorzy", czyli radcowie prawni z URM, redaktor Dziennika Ustaw oraz dyrektor Biura Prawnego Urzędu Rady Ministrów Kazimierz Siarkiewicz (łącznie niewielka grupa siedmiu–ośmiu osób). I to oni przygotowali ostateczną, opublikowaną w Dzienniku Ustaw, wersję dekretów. Jak zeznała potem Janina Biernat, która była wówczas radcą prawnym w URM: „Otrzymaliśmy zakaz opuszczania gabinetu dyrektora i polecono nam włączenie się do takiej kontroli legislacyjnej tych przepisów, która w zasadzie nie mogła zmieniać ich treści". W rzeczywistości było jednak nieco inaczej. W przypadku samego dekretu o stanie wojennym takich zmian, poprawek – w większości drobnych, o charakterze redakcyjnym – było blisko 20. Chyba najpoważniejszą zmianą zwiększającą – przynajmniej potencjalną represyjność – była zmiana w ust. 1 art. 15, czyli dopisanie „innych ważnych przyczyn", jako podstaw do zawieszenia działalności stowarzyszenia, związku zawodowego, zrzeszenia albo organizacji społecznej lub zawodowej.

Nie była to jednak największa zmiana w dekrecie o stanie wojennym. Tej dokonano pod naciskiem Kościoła, którego prawnicy mieli okazję zapoznać się z nim przed jego opublikowaniem i zgłosili do niego zastrzeżenia, a PRL-owskie władze – zgodnie z zasadą, że nie walczy się na dwa fronty – zdecydowały się na ukłon w jego stronę i rezygnację z antykościelnych przepisów, będących powrotem do czasów stalinowskich. Uczynił to jednoosobowo Kazimierz Barcikowski (członek Rady Państwa, a także Biura Politycznego KC PZPR, a co najważniejsze – jeden z najbliższych współpracowników „głównego architekta" stanu wojennego Wojciecha Jaruzelskiego, stojącego na czele partii i państwa), który podczas spotkania z przedstawicielami strony kościelnej zadzwonił do URM i nakazał wykreślić z „uchwalonego" – nie było nad tym aktem prawnym zresztą formalnego głosowania – przez RP dekretu stosowny artykuł. Tak na marginesie: żaden z przesłuchiwanych w sprawie okoliczności powstania prawa stanu wojennego prawników z Urzędu Rady Ministrów nie zapamiętał tego „szczegółu". Podobnie zresztą jak propozycji poprawek nadsyłanych do 16 grudnia 1981 r. z poszczególnych ministerstw – te zgłosiła do kilku dekretów np. Prokuratura Generalna PRL.

Kościół zapoznał się z dekretem o stanie wojennym i zgłosił do niego zastrzeżenia. PRL-owskie władze – zgodnie z zasadą, że nie walczy się na dwa fronty – zdecydowały się zatem na ukłon w jego stronę i rezygnację z antykościelnych przepisów, będących powrotem do czasów stalinowskich

DZIENNIK USTAW DOTARŁ Z OPÓŹNIENIEM

Druk Dziennika Ustaw, który zawierał m.in. dekret o stanie wojennym, rozpoczął się 17 grudnia 1981 r. w godzinach porannych. Odbywał się on w Zakładach Graficznych „Tamka" w Warszawie, do godzin porannych 18 grudnia. Na osobiste polecenie Jaruzelskiego dziennik ten został antydatowany na 14 grudnia. 17 grudnia 1981 r., po wydrukowaniu pierwszych egzemplarzy, rozpoczęto jego kolportaż. Miał on trwać do 23 grudnia. Tak na marginesie: na nietypowy sposób jego kolportażu władze PRL zdecydowały się w przypadku sądów. Otóż Dziennik Ustaw z prawodawstwem stanu wojennego – w liczbie 300 egzemplarzy – został dostarczony na konferencję prezesów sądów wojewódzkich, która odbywała się w piątek 18 grudnia. Tam im je przekazano. Oznaczałoby to, że do sądów dotarł on najwcześniej dzień później (w sobotę), a z dużym prawdopodobieństwem – przynajmniej w przypadku części z nich – dopiero 21 grudnia.

Tymczasem – co należy w tym miejscu przypomnieć – pierwsze rozprawy w stanie wojennym w oparciu o jego przepisy rozpoczęły się jeszcze 17 grudnia 1981 r. – według prof. Andrzeja Paczkowskiego „prawdopodobnie najszybszy był Sąd Rejonowy w Lubinie". Oznacza to, że przynajmniej początkowo również w sądach – podobnie jak w prokuraturach, co potwierdziło śledztwo pionu śledczego Instytutu Pamięci Narodowej – posługiwano się egzemplarzami powielaczowymi dekretu o stanie wojennym i skazywano na podstawie prawa, którego de facto jeszcze nie było, gdyż nie zostało ono prawidłowo opublikowane. Od tej niechlubnej reguły zdarzały się również wyjątki. I tak np. sąd w Olsztynie na początku 1982 r. uniewinnił działacza Solidarności, powołując się w uzasadnieniu wyroku na to, że prawo stanu wojennego w momencie popełnienia przez niego czynu „przestępczego" nie mogło jeszcze obowiązywać, gdyż nie zostało prawidłowo (tzn. w Dzienniku Ustaw) opublikowane. Powszechna praktyka była jednak zupełnie inna. I to mimo że kwestię – szczególnie w odniesieniu do działań oskarżonych z dni 13 i 14 grudnia 1981 r. – wielokrotnie podnosili obrońcy w procesach politycznych. Poza represjami wobec nich nie przynosiło to zresztą efektu. Ale to już oddzielna kwestia, podobnie jak działania – nieraz kuriozalne czy wręcz haniebne – podejmowane w III RP przez środowisko sędziowskie w celu obrony tych, którzy w stanie wojennym łamali fundamentalną zasadę, że prawo nie działa wstecz…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl a82608b277

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Niezbędnicy w UB

Jak powstawała Polska Ludowa? Skąd brała kadry do wojska, służb, administracji, sądownictwa, a nawet do nauki? O wszystkim decydowała całkowita lojalność, natomiast poziom moralny i wykształcenie były na dalszych miejscach. Przez pierwsze lata było jeszcze miejsce dla starych kadr, ktoś musiał bowiem przyuczać pośpiesznie awansowanych oficerów, urzędników, sędziów i prokuratorów, naukowców. Ale to trwało stosunkowo krótko. Rozprawa z przedwojennymi elitami praktycznie została dokonana w 1948 r. Przedwojenni oficerowie byli eksterminowani, a w najlepszym razie wyrzucani z wojska. Urzędnicy byli degradowani i traktowani jak element zbędny, kontrrewolucyjny. Sędziowie i prokuratorzy otrzymywali stanowiska bez formalnego wykształcenia, byli zwalniani ze szkolenia i przestrzegania pragmatyki służbowej. Matura? Była wprawdzie przydatna, ale najlepiej z nowego, „socjalistycznego" naboru. Funkcjonariusz musiał być bezwarunkowo dyspozycyjny, inne kryteria były mniej ważne. Przykładem może być sędzia z pośpiesznego awansu, który skazał oskarżonego „wroga ludu" na karę wyższą, niż to było możliwe. Tłumaczył to w ten sposób, że chciał, aby nie obejmowały go kolejne amnestie… Dostał ustną naganę i pisemną pochwałę za to, że wykazał się wyjątkową czujnością.

Do urzędów bezpieczeństwa przyjmowano nawet niepełnosprawnych umysłowo i analfabetów. I tak dobrze, że na podrzędne stanowiska. Ale aż tak podrzędne to one nie były. Przykładem mogą być „grupy do zadań specjalnych", zwane też „brygadami realizacyjnymi". Tworzył je głównie wiceminister bezpieki Natan (Menasche) Grünspan Kikiel – znany jako Roman Romkowski. Można przypuszczać, że były powoływane do pozaprawnego, niejawnego pozbywania się przeciwników politycznych i wszelkich „wrogów ludu", prawdziwych i wyimaginowanych. Ślady takich brygad (pozastrukturalnych zespołów egzekucyjnych) można odnaleźć w wewnętrznej korespondencji resortu bezpieczeństwa. Nadzwyczaj często dopiero po wykonaniu zbrodniczych rozkazów i zwalniania funkcjonariusza do cywila, z opinią, że jest on „na niskim poziomie umysłowym". Zdarzają się też takie opinie: „Czytać i pisać to on nie umie, ale na reakcji zna się jak mało kto".

Niewątpliwie to na nich wzorował się Czesław Kiszczak, powołując nieformalną grupę przeznaczoną do zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki (i innych kapłanów) oraz zwalczania „ekstremistów" Solidarności. To może być wyjaśnienie, dlaczego nie można znaleźć dokumentów resortu z tego zakresu – polecenia i rozkazy wydawano wyłącznie ustnie. Prawie żaden z nich nie został osądzony. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Śmierć Bohdana Piaseckiego

W styczniu 1957 r. w Warszawie porwano 15-letniego syna szefa PAX. Chłopiec zakończył lekcje w liceum i na ulicy podeszli do niego dwaj mężczyźni w kapeluszach. Pokazali legitymacje milicyjne i zaprosili go do stojącej w pobliżu taksówki.

Wieczorem porywacze zażądali wysokiego okupu i przez pięć dni zwodzili szefa PAX – Bolesława Piaseckiego – i milicję. Jedynym efektem podjętych poszukiwań było odnalezienie buta Bohdana przy moście kolejowym na Wale Miedzeszyńskim.

W tym czasie ustalono, że dysponentem taksówki był Ignacy Ekerling – człowiek związany ze środowiskami żydowskimi. Jednak tego dnia w ogóle nie siedział za kierownicą swojego pojazdu, o czym poinformował pracownik kiosku znajdującego się w pobliżu miejsca porwania. Oznaczało to, że Ekerling musiał dobrze znać bandytów, skoro użyczył im taksówki. Nieszczęsny kioskarz jednak nic więcej już nie zeznał, bo został ciężko pobity przez „nieznanych sprawców". Napad na świadka oznaczał też, że porywacze byli doskonale wprowadzeni w szczegóły śledztwa.

Funkcjonariusze SB popełniali zresztą niewytłumaczalne błędy. Ginęły dowody rzeczowe, źle zapisywano nazwiska, mylono adresy. Wszystko to sprawiało wrażenie rozmyślnego zacierania śladów, tak by sprawcy nie zostali wykryci. Ciało Bohdana Piaseckiego odnaleziono 8 grudnia 1958 r. w piwnicy domu przy ul. Świerczewskiego 88A (obecnie al. Solidarności). Znajdowało się ono w jednym z sanitariatów, do którego drzwi zabito gwoździami. Z piersi ofiary sterczał sztylet o drewnianej klindze, a sekcja zwłok wykazała, że chłopiec został ogłuszony ciosem w głowę, a potem dobity ciosem sztyletu.

Od samego początku poszlaki wskazywały na powiązania zbrodniarzy ze środowiskami żydowskimi. Potwierdzał to nawet charakter zabójstwa, które nosiło cechy mordu rytualnego. Zabicie najstarszego syna, pozostawienie sztyletu w ciele, wypisanie na ścianach ubikacji jakichś tajemniczych znaków… Być może powodem zbrodni była zemsta za przedwojenną i okupacyjną przeszłość prezesa PAX. Uważano, że jest on odpowiedzialny za morderstwa na Żydach w czasach działalności partyzanckiej, ale nie wiadomo, czy Bohdana samowolnie zamordowali esbecy żydowskiego pochodzenia czy też decyzja zapadła na wyższym szczeblu. Istnieją uzasadnione podejrzenia, że bezpośredni sprawcy zbrodni zaraz po jej dokonaniu wyjechali do Izraela.

Większość najważniejszych akt IPN dotyczących sprawy do dzisiaj pozostaje w zbiorze zastrzeżonym niedostępnym dla badaczy. Jakie są tego przyczyny, trudno jednoznacznie odpowiedzieć… ©℗

eprasa.pl a82608b277

Z Piotrem Legutką, pisarzem i dziennikarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Marian Dąbrowski dzięki własnym talentom stał się bardzo znaczącą figurą II Rzeczypospolitej, nie tylko na rynku medialnym. Fotografia z roku 1928

FOT. NAC

Milioner prasowy

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: „Self-made man" – ten amerykański termin pasuje do Mariana Dąbrowskiego?

PIOTR LEGUTKO: Jak najbardziej. Wszystko, co w życiu osiągnął, a było tego niemało, zawdzięczał sobie. Własnym talentom: operatywności, dalekowzroczności, przebojowości, zdecydowaniu, intuicji, profetyzmowi. Stał się bardzo znaczącą figurą II Rzeczypospolitej. I nie mam tu na myśli wyłącznie rynku prasowego. Zasłużył się na wielu rozmaitych polach.

Dlaczego zatem został zapomniany?

Mówiąc najkrócej, z przyczyn politycznych. Podzielił los wielu wpływowych przedsiębiorców z naszego interbellum. Polska Ludowa nakładała na takie postacie anatemę. Konfiskowano ich majątki, nierzadko więziono, usiłowano pozbawiać dobrego imienia. Dąbrowski, związany z elitami rządowymi międzywojnia, doskonale wpisywał się w fałszywy wizerunek kapitalisty krwiopijcy, nachalnie lansowany przez PRL-owską propagandę.

Z jakiej rodziny się wywodził?

Średnio zamożnej. Przyszedł na świat i dorastał w Mielcu. Franciszek – kancelista – i Apolonia Dąbrowscy, jakbyśmy dziś powiedzieli, inwestowali w swoje potomstwo. Wszystkie ich dzieci zdobyły gruntowne wykształcenie. Marian studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Żurnalistyka stanowiła jego pierwszy wybór życiowy?

Nie. Za młodu uprawiał konkurencje lekkoatletyczne, gimnastykę oraz zapasy. I to z powodzeniem! Był wyraźnie zafascynowany ideą wychowania patriotycznego poprzez sport, propagowaną przez dr. Henryka Jordana. Doświadczył też pracy pedagogicznej. Handlował dewocjonaliami na odpustach. Ale te etapy nie trwały długo.

Zanim założył swój produkt flagowy, praktykował w innych redakcjach?

Terminował w „Ilustracji Polskiej", tyleż nowoczesnym, co efemerycznym tygodniku wydawanym u progu zeszłego stulecia w Krakowie. Następnie podnosił kwalifikacje zawodowe w „Głosie Narodu", dzienniku o prawicowej opcji.

Aż w końcu powołał do życia „Ilustrowany Kurier Codzienny", który szybko zdeklasował konkurencję.

Przede wszystkim szybkością informacji oraz dystrybucją. Pismo ekspediowano w paczkach na krakowski dworzec kolejowy. Tam trafiały one do pociągów jadących we wszystkie regiony Galicji, gdzie „IKC-a" natychmiast kolportowano. Skądinąd często zamieszczano w nim korespondencję z terenu, wkrótce założono też redakcyjne agendy w miastach wojewódzkich. Zabiegano o łączność z czytelnikami. Choćby poprzez formalną apolityczność, konkursy z atrakcyjnymi nagrodami czy druk powieści w odcinkach.

Do narodzin „IKC-a" wydatnie przysłużył się lukratywny ożenek redaktora naczelnego?

Owszem, z Michaliną Dobijanką, córką bogatego rzemieślnika z Podgórza, stworzyli bardzo trwały i szczęśliwy związek. A fakt, że przy okazji panna młoda otrzymała w posagu 20 tys. koron, wówczas kwotę bajońską, na pewno pomógł w uruchomieniu medialnego biznesu. Niebawem bliskimi współpracownikami Dąbrowskiego zostali jej bracia – Kazimierz i Mieczysław.

„IKC" nie był jedynym periodykiem w – używając współczesnego języka – portfolio Dąbrowskiego.

Spektakularny sukces gazety zrazu umożliwił powiększenie jej objętości.

eprasa.pl a82608b277

PIOTR LEGUTKO „MAGNAT Z PAŁACU PRASY" WYDAWNICTWO ESPRIT 2025

Z biegiem lat utworzono dodatki kurierowe: Literacko-Naukowy, Gospodarczy, Filmowy, Ogrodniczo-Hodowlany, Techniczny, Turystyczno-Zdrojowy, Komunikacyjny, Lekarski, Prawno-Sądowy, Radiowy, Sportowy oraz Kobiecy. Wydawca przeszedł do dziejów naszego dziennikarstwa jako pionier segmentacji krajowego rynku prasowego. Kolejne tygodniki trafiające na rynek adresowano do konkretnych odbiorców. „Na Szerokim Świecie" koncentrował się na tematyce zagranicznej, „Światowid" – społeczno-kulturalnej, „Wróble na Dachu" – humorystycznej, „Raz, Dwa, Trzy" – sportowej. Firma zatrudniała ponad 1,4 tys. pracowników! Zajmowała specjalnie przystosowany do pracy dziennikarskiej gmach w centrum Krakowa.

Dlaczego jej szef musiał zamknąć poczytnego „Tajnego Detektywa"?

To chyba jedyny przypadek, gdy postąpił wbrew własnej woli. Uznał, że konflikt z krakowskim arcybiskupem Adamem Sapiehą, duchownym otoczonym powszechnym mirem, a zarazem osobistością wpływową, przyniesie koncernowi niepowetowane straty. Kurię raziło nagromadzenie zła na łamach tego „Ilustrowanego Tygodnika Kryminalno-Sądowego", jak głosił podtytuł.

Ponadto właśnie dzięki opisom występków i zbrodni momentalnie zyskał on niemal 100-tysięczny nakład. Niewątpliwie w zdobywaniu rzeszy czytelniczej pomogła Temida. W chwili startu periodyku doszło do ciągle niewyjaśnionego zabójstwa w Brzuchowicach pod Lwowem. Reporterzy pisma drobiazgowo opisywali śledztwo toczące się w tej enigmatycznej sprawie i wnikliwie relacjonowali procesy poszlakowe Rity Gorgonowej, oskarżonej o zamordowanie córki inż. Henryka Zaremby, swego konkubenta – bodaj najgłośniejsze rozprawy sądowe tamtej epoki. Pierwsza odbywała się przed sądem lwowskim, druga w Krakowie.

Bohatera pańskiej książki cechował oportunizm?

Bez wątpienia wyróżniał jego poczynania polityczne. Zawsze był orientacji prawicowej, lecz także sytuował się przy obozach sprawujących władzę. Najpierw kibicował Wincentemu Witosowi, z listy PSL Piast trafił do Sejmu, a po zamachu majowym posłował, przystępując do Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, wspierającego piłsudczyków. W annałach parlamentarnych nie figuruje, gdyż głos zabierał incydentalnie. Ze sztuką oracji był na bakier. Żartowano, że jego mowy pogrzebowe stanowiły dla żałobników katorgę.

Ufundował teatr?!

Melpomena również znajdowała się w kręgu jego zainteresowań. Bagatela – bo tak nazwał placówkę fundator – funkcjonowała przez sześć sezonów. W roku 1970 teatr pod tą samą nazwą i adresem ponownie otworzył podwoje. Tyle że nosi imię Tadeusza Boya-Żeleńskiego. W PRL patronat Mariana Dąbrowskiego nie wchodził w rachubę.

A z jakich przyczyn zyskał miano Honorowego Obywatela Zakopanego?

Ukochał to miasto, spędzał w nim każdą wolną chwilę. Podziwiał przyrodę, krajobrazy, aktywnie uczestniczył w życiu towarzyskim – systematycznie zasiadając przy stoliku brydżowym w restauracji Trzaski, modnej pośród socjety. Lobbing prasowy spowodowany przez Dąbrowskiego zainspirował wytyczenie Zakopianki, szosy łączącej kurort z Krakowem. Regularnie nią jeździł, którymś ze swych samochodów renomowanych marek. Nadto współfinansował budowę kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Powstała w rekordowym tempie – śpieszono się, by ukończyć prestiżową inwestycję na otwarcie FIS, czyli narciarskich mistrzostw świata zimą roku 1939. Za to wsparcie dostał dożywotni bilet darmowy na przejazdy. Niestety, obroty koła historii sprawiły, że go nie wykorzystał.

W sercu nosił także Kraków.

Był wieloletnim radnym. Wspierał finansowo budowę nowego gmachu Muzeum Narodowego. Sfinansował – incognito, chociaż niebawem stanowiło to tajemnicę poliszynela – pomnik Nieznanego Żołnierza przy pl. Grunwaldzkim. Podsunął pomysł zorganizowania wykopalisk archeologicznych na kopcu Krakusa. Kibicował lokalnych klubom futbolowym, chyba bardziej Wiśle niż Cracovii czy Garbarni.

Jaką genezę miała jego antypatia czeska?

Uwidoczniła się już u schyłku c.k. monarchii, kiedy „IKC" napotkał trudności w dystrybucji na Zaolziu, w większości zamieszkanym wówczas przez Polaków (przeszło 100 tys.!). Kiedy po pierwszej wojnie światowej Czesi przyłączyli ten bogaty gospodarczo obszar do swego państwa – dyskontując fakt, że Polska toczyła bój z bolszewikami – w Dąbrowskim uprzedzenie antyczeskie narosło. Odzyskanie Zaolzia przez Polskę jesienią roku 1938 uznał za sprawiedliwość dziejową.

Druga wojna światowa zupełnie go zaskoczyła?

To zdumiewające! Nie pojmuję, jak osoba tak doskonale rozeznana w geopolityce, wielokroć wykazująca się trafnymi prognozami, mogła dać się aż w takim stopniu zaskoczyć. Bo proszę sobie wyobrazić, że 27 sierpnia 1939 r. wyjechał – drogą morską – na urlop do Nicei. Zabierając ze sobą jedynie tyle pieniędzy, żeby pokryć koszty parotygodniowego wypoczynku na Lazurowym Wybrzeżu. Może przewidywał, że kolejny konflikt zbrojny będzie przypominał ten z lat 1914–1918? I powróci do Krakowa, aby wydawać – nawet w jakiejś kadłubowej formie – „IKC-a"?

Na obczyźnie mu się nie powiodło?

Europę opuścił w roku 1941, płynąc statkiem z Portugalii do USA, gdzie usiłował zarobić w biznesie… drobiarskim. Niestety, epidemia położyła kres kurzej farmie. Stracił wigor. Pod koniec życia – zmarł w dniu 80. urodzin – utrzymywał go zięć, nieźle prosperujący w branży hotelarskiej na Florydzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Legutko – absolwent polonistyki na UJ, dziennikarz („Czas Krakowski", „Dziennik Polski", TVP), autor książek, m.in.: „Jad medialny", „Dlaczego zawiedliśmy?", „W potrzasku historii i geografii. Rozmowa z prof. Andrzejem Nowakiem" oraz najnowszej – „Magnat z Pałacu Prasy".

eprasa.pl a82608b277

FOT. JIM WATSON AND FEDERICO PARRA/AFP/EAST NEWS

Trump kontra Maduro

Jacek Przybylski

Amerykański przywódca publicznie zagroził, że USA wkrótce przestaną się ograniczać do ataków na wenezuelskie statki i rozpoczną operację lądową. Donald Trump dał też wenezuelskiemu przywódcy szansę na bezpieczne opuszczenie kraju wraz z rodziną. Czy jeśli z niej nie skorzysta, zobaczymy amerykańską wersję „specjalnej operacji wojskowej"?

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", nowa wojna jeszcze nie wybuchła, ale napięcie między Waszyngtonem a Caracas dynamicznie rosło. U wybrzeży Wenezueli czekała zaś potężna armada amerykańskich okrętów wojennych, w tym największy i najnowocześniejszy lotniskowiec świata, USS „Gerald R. Ford" (mierzy 337 m długości, posiada napęd atomowy i transportuje ponad 75 samolotów i śmigłowców). Na rozkaz prezydenta do ataku na cele w Wenezueli czekało w gotowości również kilkanaście tysięcy żołnierzy, w tym komandosi z sił specjalnych. Do akcji – jak podały zachodnie media na podstawie analiz zdjęć satelitarnych – gotowe były także samoloty F-35 Lightning II, bombowce B-52 Stratofortress oraz B-1 Lancer, śmigłowce MH-6M Black Hawk, amfibie, potężne drony MQ-9 Reaper oraz niemal dwie setki śmiercionośnych pocisków typu BGM-109 Tomahawk. Tak wielkich amerykańskich sił na Karaibach nie było ponad pół wieku, czyli od kryzysu kubańskiego w roku 1962. Po co to wszystko? Krótka odpowiedź brzmi: Bo

eprasa.pl a82608b277

Donald Trump chce się pilnie pozbyć Nicolása Maduro i jego lewicowego reżimu. A długa odpowiedź? To reszta poniższego tekstu.

NARKOBLEF

Oficjalnie celem prezydenta jest walka z narkotykami i potężnymi kartelami, które zbijają fortuny na tragedii swych uzależnionych klientów. Z oficjalnych danych wynika, że co roku ponad 100 tys. Amerykanów umiera z powodu przedawkowania narkotyków. Te zaś do Stanów Zjednoczonych trafiają w dużej mierze szlakiem wiodącym z krajów Ameryki Południowej.

Mimo to walka z narkotykami to wyjątkowo słaby argument na uzasadnienie interwencji zbrojnej akurat w Wenezueli. Co prawda, reżim w Caracas przymyka oko na regularne transporty nielegalnych substancji, ale w samej Wenezueli wcale tak dużo narkotyków się nie produkuje. Dużo ważniejszymi krajami na liście największych producentów kokainy, heroiny czy marihuany są Meksyk, Kolumbia, Peru czy Boliwia. Również koszmarny fentanyl, który zmienia Amerykanów w niebezpieczne „zombie", pochodzi w większości z Meksyku.

O co więc naprawdę chodzi? Oczywiście o złoża ropy. Przede wszystkim gospodarz Białego Domu potrzebuje jednak nowej wojny na użytek polityki wewnętrznej. Afera związana z Epsteinem wciąż nie znika z czołówek portali. Jednocześnie zarówno notowania samego prezydenta, jak i Partii Republikańskiej wyraźnie spadają: pod koniec listopada odsetek Amerykanów, którzy popierają działania Trumpa, spadł do zaledwie 36 proc., a udział osób, które krytycznie oceniają jego rządy, wzrósł do 60 proc. To fatalne dane. Gorzej było jedynie pod koniec jego pierwszej kadencji, gdy po ataku na Kapitol odsetek popierających Donalda Trumpa Amerykanów wynosił 34 proc.

Aby nie stracić Kongresu (obecnie republikanie mają nie tylko prezydenta, lecz także większość w Izbie Reprezentantów i w Senacie), prezydent musi pokazać siłę i skuteczność walki z „obcymi", którzy zgodnie z retoryką obecnej administracji odpowiadają za wszelkie zło, które trapi Stany Zjednoczone. A znany na świecie, lewicowy Nicolás Maduro – który władzę w Wenezueli sprawuje nieprzerwanie od roku 2013 – to świetnie dobrany przeciwnik. Na trzecią sześcioletnią kadencję został zaprzysiężony w styczniu obecnego roku. Opozycja uznała jednak wybory prezydenckie za sfałszowane. Z jej wyliczeń wynika bowiem, że wybory zdecydowanie wygrał jej lider Edmundo González, otrzymując 67 proc. głosów. González został jednak zmuszony do tego, aby po zeszłorocznych wyborach opuścić Wenezuelę i zamieszkać w Hiszpanii, gdzie otrzymał azyl polityczny. Fatalna sytuacja w rządzonym przez lewicowego dyktatora kraju doprowadziła do wyjazdu z Wenezueli ok. 8 mln osób, czyli co czwartego mieszkańca.

Unia Europejska, Stany Zjednoczone, Kanada, Urugwaj, Argentyna i Kostaryka nie uznają więc Maduro za prawowitego prezydenta. A USA, UE i Wielka Brytania nałożyły na jego reżim sankcje. Co więcej, władze amerykańskie ogłosiły już w styczniu, że zwiększyły do 25 mln dol. nagrodę za schwytanie Maduro. Ten zaś publicznie skarżył się w wenezuelskich mediach, że „siły zewnętrzne" próbowały zakłócić jego zaprzysiężenie, „zamieniając je w wojnę światową".

DOKTRYNA „DONROE'A"

Podejście Trumpa do Wenezueli jak w soczewce pokazuje, jak obecny prezydent USA podchodzi do kwestii stosunków międzynarodowych. I nie chodzi nawet o pokazanie światu, że przywódcy różnych państw mogą albo posłusznie wykonywać polecenia Donalda Trumpa, albo spodziewać się „usunięcia" z urzędu przez amerykańskie wojsko, sankcje itd.

Już podczas pierwszej kadencji Trumpa Wenezuela jawiła się jako poważny problem, ale też jako okazja do zbicia dużego politycznego kapitału. Duży lewicowy kraj, leżący w amerykańskiej strefie wpływów i będący w sojuszach z komunistyczną Kubą, a także z Chinami, Rosją czy Iranem, był niczym cierń w oku.

Gdy Donald Trump – zagorzały miłośnik amerykańskich prezydentów doby XIX w. – rozpoczął drugą kadencję, reaktywował znaną od roku 1823 doktrynę Monroe'a. Zgodnie z nią Waszyngton uznawał za swoją strefę wpływów zachodnią półkulę i jasno dawał do zrozumienia władzom w europejskich stolicach, od których terenów mają się już trzymać z daleka (w ramach tej koncepcji Amerykanie odkupili więc od Francuzów Luizjanę, a od Rosjan Alaskę).

Trump o doktrynie Monroe'a mówił z podziwem na Forum ONZ już we wrześniu 2018 r. Podczas drugiej kadencji wdraża jednak jej własną wersję. „New York Post" 8 stycznia 2025 r. opublikował zatem na pierwszej stronie Donalda Trumpa z mapą Ameryki Północnej i symbolicznym tytułem „The Donroe Doctrine" („Donroe" powstało z połączenia słów „Donald" i „Monroe"). Ta okładka tak bardzo spodobała się Trumpowi, że umieścił jej zdjęcie na swoim profilu w mediach społecznościowych. Wówczas chodziło m.in. o plany przekształcenia Kanady w 51. stan USA, przejęcia kontroli nad Grenlandią czy o zmianę nazwy Zatoki Meksykańskiej na Zatokę Amerykańską (która nastąpiła w styczniu 2025 r. na podstawie rozporządzenia wykonawczego prezydenta Stanów Zjednoczonych i jest widoczna dla amerykańskich użytkowników takich aplikacji jak Mapy Google czy Apple Maps).

Na celowniku znów znaleźli się także Maduro i jego lewicowy reżim w amerykańskiej strefie wpływów. Zanim jednak w 2025 r. gospodarz Białego Domu wysłał w kierunku Wenezueli potężne wojskowe siły, najpierw posłał tam swojego człowieka. Richard Grenell podczas rozmów z przywódcą Wenezueli miał osiągnąć porozumienie, które dałoby amerykańskim firmom dostęp do gigantycznych wenezuelskich złóż ropy naftowej oraz wymusiłoby podjęcie przez reżim bardziej zdecydowanych działań wobec narkotykowych gangów. Grenell szybko doprowadził do uwolnienia przez wenezuelski reżim sześciu Amerykanów i do wznowienia lotów z deportowanymi z USA nielegalnymi migrantami. Po zaprzysiężeniu Donalda Trumpa w Ameryce błyskawicznie zaczęto bowiem masowe zatrzymania. W ręce służb wpadło również wielu wenezuelskich gangsterów – tych jednak Waszyngton zamiast do Wenezueli woli odsyłać do Salwadoru, gdzie tamtejszy prezydent błyskawicznie zrobił porządek na ulicach, wprowadzając w więzieniach nowe reguły traktowania bandytów (np. umieszczając w celach o powierzchni 100 mkw. każda ok. 100 przestępców, w tym wielu z rywalizujących ze

eprasa.pl a82608b277

sobą gangów) i lekceważąc lewicowe narzekania o „nieludzkim", „okrutnym" i „poniżającym" traktowaniu gwałcicieli, morderców i innych wyrzutków.

O dużo ostrzejsze podejście do reżimu w Caracas zabiegał jednak u prezydenta USA szef amerykańskiej dyplomacji i były senator z Florydy Marco Rubio. On sam żywi zrozumiałą odrazę wobec socjalistów. Wie także, jak wielu wyborców pochodzenia wenezuelskiego czy kubańskiego oczekuje od Waszyngtonu, że obali wreszcie lewicowego dyktatora, który nie tylko zezwala na działalność wielkich narkotykowych gangów, lecz także jest głównym powodem, dla którego do USA płynie fala nielegalnych migrantów z Wenezueli.

Obalenie Maduro mogłoby też uruchomić w regionie antylewicowe domino i – być może – doprowadzić do uwolnienia od lewactwa takich krajów jak Kuba czy Nikaragua. We wrześniu obecnego roku amerykański prezydent zaczął zezwalać na ataki z powietrza na łodzie u wybrzeży Wenezueli, na których pokładzie mogą znajdować się narkotyki lub członkowie narkotykowych gangów. I chociaż od tego czasu w ponad 20 amerykańskich atakach zginęło ponad 80 osób, to władze w Waszyngtonie nie przedstawiają żadnych dowodów na to, że zabici bez sądu rzeczywiście mieli jakikolwiek związek z narkobiznesem. Organizacje broniące praw człowieka zwracają też uwagę na to, że dobijanie rozbitków za pomocą drugiego uderzenia z powietrza to jawna zbrodnia wojenna.

A przecież akcje z powietrza to tylko jeden z elementów prowadzonej już operacji. Wiadomo, że prezydent Trump upoważnił również CIA do prowadzenia tajnych działań na terenie Wenezueli. Spekuluje się, że jedna z misji może polegać na próbie fizycznego wyeliminowania Maduro. Sześćdziesięciotrzyletni wenezuelski przywódca zwiększył swoją kubańską ochronę (aby zredukować ryzyko zdrady przez Wenezuelczyków) i – jak donosi „New York Post" – popadł w taką paranoję, że śpi w różnych miejscach i co chwilę zmienia telefony komórkowe, aby utrudnić zabicie go w wyniku bombardowania lub zastrzelenia przez wynajętego przez CIA snajpera. Nie wygłasza już tak często przemówień na żywo, zamiast tego wysyła reżimowym telewizjom nagrane wcześniej przesłania.

Obalenie przywódcy Wenezueli mogłoby uruchomić w regionie antylewicowe domino

OPERACJA „POŁUDNIOWA WŁÓCZNIA"?

Paranoja Maduro nie wzięła się znikąd. „Do wszystkich linii lotniczych, pilotów, dilerów narkotyków i handlarzy ludźmi: proszę, uznajcie przestrzeń powietrzną nad Wenezuelą i wokół niej za zamkniętą w całości. Dziękuję za uwagę!" – taki wpis prezydent USA zamieścił w należącym do niego serwisie społecznościowym Truth Social 29 listopada.

Po czerwcowym bombardowaniu Iranu takiego posta prezydenta USA linie lotnicze nie mogły zlekceważyć. Dzień później podczas rozmowy z dziennikarzami prezydent nie wyjaśnił powodów takiego komunikatu. Potwierdził jednak doniesienia mówiące o tym, że rozmawiał telefonicznie z przywódcą Wenezueli. I choć odmówił podania szczegółów, to według informacji podanych przez dzienniki „Wall Street Journal" czy „New York Times" 21 listopada, podczas połączenia trwającego niecały kwadrans amerykański prezydent, miał dać przywódcy Wenezueli siedem dni na bezpieczne opuszczenie kraju wraz z całą rodziną. I zagrozić, że jeśli Maduro nie zrzeknie się władzy dobrowolnie, to zostanie obalony siłą. Maduro miał jednak odmówić ucieczki. Prezydenci USA i Wenezueli mieli również poruszyć temat ewentualnej amnestii dla Maduro i jego współpracowników. Trump miał jednak odmówić amnestii, zniesienia sankcji, a także zakończenia postępowania przeciw wenezuelskiemu przywódcy przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym (chodzi o zarzuty popełnienia przez podlegające Maduro wenezuelskie służby bezpieczeństwa zbrodni przeciw ludzkości).

Rzecznik Pentagonu ogłosił zaś w zeszłym tygodniu, że amerykańska armia jest gotowa na każdy scenariusz, w tym na oddanie władzy przez Maduro. Pod koniec listopada władze Dominikany potwierdziły, że zezwoliły amerykańskiej armii na tankowanie samolotów oraz transport sprzętu i żołnierzy do stref zamkniętych, aby pomóc w „walce z handlem narkotykami". Jeszcze przed publikacją prezydenckiego wpisu o „zamknięciu" wenezuelskiej przestrzeni powietrznej ostrzeżenie (NOTAM) dla pilotów lecących nad Wenezuelą wydała jednak amerykańska Federalna Administracja Lotnictwa (FAA).

Oczywiście ewentualnej akcji zbrojnej administracja Trumpa nie nazywałaby wojną. Byłaby to kolejna na świecie „operacja specjalna". Już w połowie listopada szef Pentagonu Pete Hegseth ogłosił zresztą rozpoczęcie operacji „Południowa Włócznia", której oficjalnym celem jest walka z „narkoterrorystami". Oficjalnie władze w Caracas poczynania Donalda Trumpa określiły mianem „kolonialnego zagrożenia" dla suwerenności kraju. Oświadczyły też, że Wenezuela nie ugnie się przed groźbami ze strony innych państw, i wezwały Amerykanów do zaprzestania naruszania prawa międzynarodowego i poszanowania dla przestrzeni powietrznej kraju.

Wbrew buńczucznym zapewnieniom Maduro w razie ataku ze strony najsilniejszej armii świata wenezuelskie siły nie przetrwałyby zapewne więcej niż kilka dni. Wenezuelski dyktator zdaje sobie jednak sprawę, że Amerykanie doskonale wiedzą, iż niekontrolowany upadek jego reżimu mógłby doprowadzić do trudnego do zapanowania chaosu w regionie.

Być może dlatego, chociaż termin na ucieczkę Maduro upłynął, to według niepotwierdzonych informacji w ubiegłym tygodniu wciąż toczyły się rozmowy dotyczące przeprowadzki wenezuelskiego prezydenta do Kataru. Teoretycznie lewicowy dyktator mógłby też wraz z rodziną szukać schronienia w Rosji, Chinach lub na terenie Turcji (Erdoğan i Maduro od lat mają bardzo bliskie relacje).

Realizacji „doktryny Donroe" bacznie przyglądają się też władze wielu innych krajów. Skoro bowiem Ameryka wraca do egzekwowania stref wpływów, a jej prezydent granicę między USA a Kanadą nazywa „sztuczną linią, która została narysowana linijką wiele lat temu", to to samo mogą chcieć zrobić regionalne mocarstwa w innych częściach świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

Krajobraz po Jermaku

Maciej Pieczyński

Afera korupcyjna zachwiała karierą „nadprezydenta" Ukrainy. Zełenski może pójść jego śladem. Albo zyskać nowy polityczny oddech

Od lewej: Andrij Jermak (jeszcze jako szef Biura Prezydenta) oraz Wołodymyr Zełenski

FOT. VIOLETA SANTOS MOURA/REUTERS/FORUM

Zdaniem ukraińskiego politologa Wadyma Denysenki nie ma większego znaczenia, kto zostanie nowym szefem Biura Prezydenta. „Naszym problemem nie są personalia, tylko kryzys systemu zarządzania. Zamiana Andrija Jermaka na kogoś innego nie zmieni tego systemu" – pisze Denysenko na Facebooku, cytowany przez portal telewizji Espreso. W jego ocenie dojdzie jedynie do wzmocnienia lub osłabienia pewnych grup wpływu. Przy czym, co akurat istotne, tymczasowo obniży się poziom napięcia w społeczeństwie.

„Nadprezydent" był niemal od zawsze krytykowany za politykę wewnętrzną. Zarzucano mu, że manipuluje Wołodymyrem Zełenskim. Albo że wykonuje ogrom pracy organizacyjnej zamiast głowy państwa, tym samym zyskuje niewspółmierny do swojego stanowiska poziom wpływów politycznych, sprawując faktyczną władzę w kraju. Ukraiński dziennikarz i analityk think tanku Info-Napalm Anton Pawłuszko porównał Jermaka do… Stalina. W tej alegorii Zełenski jest Leninem – wodzem, pierwszą osobą w państwie po zwycięskiej rewolucji.

GWÓŹDŹ DO POLITYCZNEJ TRUMNY

Początkowo „Stalin" odgrywa rolę drugorzędną. Stopniowo jednak zaczyna pokonywać wszystkich oponentów. Nie dzięki okrucieństwu (na to przyjdzie czas później), ale dzięki umiejętności gry w „biurokratyczne szachy partyjne". „Stalin" usuwa całą „leninowską gwardię" (czytaj: współpracowników Zełenskiego, którzy otaczali go w zwycięskim roku 2019) i wysuwa się na pierwszy plan. „Lenin" chciałby temu zapobiec, ale cudem przeżył zamach, jest stary i chorowity, a jego dni na politycznej (a może i życiowej) scenie są policzone. I na tym – jak przyznaje Pawłuszko – historyczne analogie się kończą. Bo „leninowska gwardia" została niemal całkowicie wyeliminowana, jednak sam „Lenin" nadal żyje. Nie oznacza to jednak, że pozbył się „Stalina". Pawłuszko, podobnie jak wielu innych ekspertów, prognozuje, że Jermak wcale nie musi być politycznie skończony. Eksponowane stanowisko stracił, ale wpływy już niekoniecznie. W Biurze Prezydenta wciąż pracują jego ludzie. W tym Ołeh Tatarow, który budził i budzi kontrowersje nawet większe niż Jermak (w przeszłości również zamieszany w aferę korupcyjną, a ponadto pracownik MSW za czasów późnego Wiktora Janukowycza, współodpowiedzialny za rozprawę z Euromajdanem). Człowiekiem Jermaka jest premier Julia Swyrydenko. W momencie, gdy piszę te słowa, jej nazwisko jest rozpatrywane w gronie kandydatów na nowego szefa Biura Prezydenta. Jednak kolejna zmiana premiera w krótkim czasie jest mało prawdopodobna. Dlatego na giełdzie nazwisk wyżej stoją notowania szefa Głównego Zarządu Wywiadu (HUR) Ministerstwa Obrony Ukrainy Kyryły Budanowa, ministra obrony (byłego premiera) Denysa Szmyhala, wicepremiera Mychajły Fedorowa czy obecnego wiceszefa BP Pawła Palisy.

Oczywiście gwoździem do politycznej trumny Jermaka była korupcja. Z jednej strony, był (jeszcze nie wiadomo, w jakim dokładnie stopniu) zamieszany w największą aferę czasów Zełenskiego. Z drugiej strony, to właśnie on odpowiadał za próbę podporządkowania władzy niezależnych instytucji antykorupcyjnych – Narodowego Antykorupcyjnego Biura Ukrainy (NABU) i Specjalistycznej Prokuratury Antykorupcyjnej (SAP). Kroplą, która przelała czarę, było przeszukanie mieszkania Jermaka

eprasa.pl a82608b277

przez funkcjonariuszy NABU i SAP. Według doniesień „Ukraińskiej Prawdy" presja na Zełenskiego, by odwołać Jermaka, narastała od dwóch tygodni ze strony sporej części obozu władzy przy poparciu opozycji i opinii publicznej. Swojego szefa miał się wyrzec nawet wspomniany Tatarow. Jeśli wierzyć akurat tym rewelacjom, to „zielony kardynał" (jak nazywano wszechwładnego szefa BP) stracił swoje „owieczki". Problemem była nie tylko korupcja (tu akurat chciałoby się powiedzieć: niech pierwszy rzuci kamieniem ten ukraiński polityk, który nigdy nie miał nic do czynienia z łapówkami), choć oczywiście skala afery sprawiała, że trudno było ją zamieść pod dywan i robić dobrą minę do złej gry z zachodnimi partnerami – którzy nie chcą, by ich pieniądze, przelewane na kijowskie konta, były rozkradane. Największy kłopot stanowiła wspomniana wszechwładza Jermaka. Każdy, kto chciał mieć dostęp do Zełenskiego, musiał najpierw porozmawiać z „nadprezydentem". Nawet z technicznego punktu widzenia taka praktyka raczej osłabiała Ukrainę, niż ją wzmacniała. Faktyczne skupienie zarządzania całym krajem w rękach jednej osoby utrudniało funkcjonowanie aparatu państwowego.

Czy Jermak sterował Zełenskim czy Zełenski Jermakiem? Być może tworzyli zwyczajnie dobrze zgrany duet. Prezydent błyszczał na salonach, wypowiadał się publicznie, nagrywał swoje słynne odezwy do narodu, a tymczasem ogrom czarnej, zakulisowej, biurokratycznej roboty wykonywał „nadprezydent". Uzupełniali się niczym gwiazda filmowa i jej menedżer czy producent. To porównanie, użyte przez Arletę Bojke, wydaje się o tyle trafne, że przecież obaj weszli do polityki z show-biznesu, gdzie takie właśnie odgrywali role. Niemniej Jermak nie mógł się pogodzić z odejściem. Według „Ukraińskiej Prawdy" dymisję poprzedziła ostra, półgodzinna rozmowa z prezydentem, pełna wyzwisk, wzajemnych oskarżeń i histerii – tej akurat ze strony „zielonego kardynała".

O ile w polityce wewnętrznej najbliższy współpracownik Zełenskiego był w zasadzie od zawsze na cenzurowanym, o tyle po wybuchu wojny powstał wokół niego mit sprawnego dyplomaty, umiejętnie prowadzącego politykę zagraniczną Kijowa. Prezydent ufał mu w tej sprawie – dlatego nawet po wybuchu afery wysłał go na negocjacje do Genewy. Okazuje się jednak, że i na polu dyplomacji szef BP nie pomagał Ukrainie. Jermak został zwolniony tuż przed rozmowami w Miami, gdzie miał reprezentować Kijów. Tymczasem za oceanem krytykowano byłego już szefa Biura Prezydenta Ukrainy. Amerykanie ponoć nie chcieli widzieć go przy stole rozmów. Tak przynajmniej przekonuje ukraińska publicystka Julia Zabielina. Obecna amerykańska administracja oczekuje od Kijowa konkretnych, pragmatycznych, konstruktywnych rozmów. „Jermak tym oczekiwaniom nie potrafił sprostać, m.in. dlatego że słabo zna język angielski. Często nie rozumiał dyplomatycznych aluzji" – mówi Zabielina w rozmowie z telewizją Kanał 24. Również Amerykanie naciskali na dymisję Jermaka. Można podejrzewać, że stworzone z pomocą zachodnich sojuszników Ukrainy instytucje antykorupcyjne działały z błogosławieństwem Waszyngtonu, który oczekiwał utopienia nielubianego urzędnika. Wszechwładza Jermaka szkodziła również w dyplomacji. Trudno było efektywnie rozmawiać z Kijowem, wiedząc, że wszelkiego rodzaju ustalenia muszą przejść przez jedną i tę samą osobę. To tylko wydłużało proces. Demonopolizacja polityki zagranicznej usprawni ten proces.

Załużny nie będzie zatem przed Putinem kapitulował, ale może zgodzić się na jakiś czasowy zgniły kompromis

CZARNE CHMURY NAD PREZYDENTEM

Jermak zapowiedział, że pójdzie walczyć na front. Jednak, jak przekonują ukraińscy komentatorzy, ogłoszenie zarzutów pod jego adresem w związku z aferą korupcyjną jest kwestią czasu. Niezależnie jednak od tego, czy zdoła zachować choć część swoich wpływów z tylnego fotela czy też jest całkowicie skończony, nad Zełenskim zbierają się czarne chmury. Po pierwsze, stracił współpracownika, któremu najwyraźniej bezgranicznie ufał i który w wielu sprawach go wyręczał. Monopolizacja władzy w rękach Jermaka spowalniała tryby funkcjonowania państwa, ale dawała Zełenskiemu poczucie kontroli nad sytuacją polityczną. Po drugie, prezydent nie jest w stanie całkowicie odciąć się od afery korupcyjnej, która – przynajmniej na razie i przynajmniej oficjalnie – pogrążyła jego prawą rękę. Nic nie budzi większej złości zarówno samych Ukraińców, jak i zachodnich sojuszników niż politycy, którzy rozkradają pieniądze przeznaczone na wsparcie walczącego na wojnie kraju. Po trzecie, z Jermakiem w pakiecie czy bez niego to właśnie Zełenski, jako obdarzony ogromną władzą prezydent, odpowiada za wszystko, co przez trzy lata konfliktu działo się nad Dnieprem. Będzie musiał się tłumaczyć ze wszystkich niepowodzeń. Również z niewystarczającego – zdaniem wielu komentatorów – przygotowania kraju do wojny. Skoro stał się de facto wojennym dyktatorem, skoro sprowadził parlament do roli maszynki do głosowania na „tak" nad swoimi projektami, skoro uczynił z telewizji organ rządowej propagandy, to trudno mu będzie podzielić się odpowiedzialnością za zarządzanie krajem z kimkolwiek. Nie pomoże nawet oskarżanie zachodnich sojuszników o to, że zbyt mało pomagają.

Paradoksalnie, im dłużej trwa wojna, tym lepiej dla Zełenskiego. Oczywiście gdyby zakończyła się rezultatem, który dałoby się sprzedać medialnie jako zwycięstwo Ukrainy, prezydent mógłby odetchnąć. I być spokojny albo o kolejną kadencję, albo o to, że nie zostanie obalony w kolejnym Majdanie. Trudno jednak sobie wyobrazić tak optymistyczny dla Kijowa rezultat. Prędzej czy później trzeba będzie się pogodzić z utratą części terytorium, za co winą trzeba będzie obarczyć Zełenskiego. Na szczęście dla obecnego prezydenta opozycja nie chce wyborów podczas wojny. Nikt nie chce brać na siebie odpowiedzialności za podpis pod niekorzystnym porozumieniem pokojowym. O ile takowe w ogóle pojawi się na stole. Na razie bowiem widać wyraźnie, że Władimir Putin gra na czas – mami Donalda Trumpa perspektywą pokoju, aby uniknąć poważniejszych sankcji, a tymczasem kontynuuje wojnę. Bo wie, że mu dobrze idzie, co też nie jest

eprasa.pl a82608b277

dobrym prognostykiem ani dla Ukrainy, ani dla Zełenskiego.

ZWYCIĘSTWO DZIĘKI BŁĘDOM RYWALA?

Jednak pogłoski o politycznej śmierci „sługi narodu" są może nie mocno, ale dość przesadzone. Poparcie dla Zełenskiego sięgnęło zenitu w pierwszym roku wojny, ale potem zaczęło systematycznie spadać, by znowu wzrosnąć po awanturze z Trumpem w Gabinecie Owalnym. Potem było raz lepiej, raz gorzej. Spośród czynnych polityków jednak Zełenski wciąż cieszy się największą popularnością. „Efekt flagi" nadal działa. Opozycja pozostaje w cieniu. Gdyby w wyborach startowali jedynie zawodowi politycy, Zełenski nie miałby z kim przegrać. Żaden z nich nie zdołał w warunkach wojny przekonać Ukraińców, że może być lepszym przywódcą niż aktualnie sprawujący władzę prezydent. Ale już mundurowi mogą Zełenskiemu zagrozić. Przede wszystkim, rzecz jasna, mowa o gen. Wałeriju Załużnym. Jedne sondaże pokazują, że obaj idą łeb w łeb, inne – że Zełenski pierwszą turę wygra, ale drugą już przegra, jeszcze inne wskazują na sporą przewagę byłego wojskowego nad byłym komikiem. Tak czy inaczej, w przypadku wyborów druga tura w takim właśnie składzie wydaje się wielce prawdopodobna.

Załużny dowodził armią w czasie, gdy ta jeszcze odnosiła spektakularne sukcesy. Nie obciążają go późniejsze porażki. Uważany jest za bohatera narodowego. Nie wiadomo jednak, jak poradziłby sobie w kampanii wyborczej. Konkurenci z pewnością staraliby się przypisać mu konkretne błędy w dowodzeniu. Trudno sobie jednak wyobrazić, aby znalazło się ich więcej niż w przypadku Zełenskiego.

Generał wciąż jest ambasadorem Ukrainy w Wielkiej Brytanii, ale niedawno przyjechał do kraju i uaktywnił się medialnie. Już nazajutrz po dymisji Jermaka opublikował artykuł na portalu Liga.net. „Powiedzmy uczciwie: zwycięstwem [dla nas] byłby rozpad Imperium Rosyjskiego, porażką – okupacja całej Ukrainy […]. Cała reszta oznacza kontynuację wojny" – pisze Załużny. Jego zdaniem trwały pokój można osiągnąć jedynie poprzez twarde gwarancje bezpieczeństwa dla Kijowa, w tym wejście do NATO, rozmieszczenie broni jądrowej nad Dnieprem lub dużego kontyngentu wojskowego zdolnego przeciwstawić się agresorowi. Przyznaje jednak, że to wszystko mrzonki. A skoro nie będzie pokoju, to Ukraina musi być gotowa na kontynuację wojny. Załużny skrytykował kulejącą mobilizację. Jego zdaniem ukraińskim władzom brakuje woli, aby właściwie zdefiniować polityczny cel wojny. „Pokój, nawet w oczekiwaniu na kolejną wojnę, daje szansę na zmiany polityczne, na głębokie reformy, pełnowartościową odbudowę [kraju], wzrost gospodarczy i powrót obywateli" – zaznaczył Załużny. Zatem z jednej strony możliwy przyszły prezydent Ukrainy nie ma złudzeń co do Rosji, z drugiej zaś bierze pod uwagę czasowe porozumienie z Moskwą, które, choć nietrwałe, pozwoliłoby Ukrainie odetchnąć i przygotować się na kontynuację konfliktu.

Załużny nie będzie zatem przed Putinem kapitulował, ale może zgodzić się na jakiś czasowy zgniły kompromis. Na przykład na taki, jaki zaproponowała strona europejska w swojej korekcie tzw. planu pokojowego. Zamiast całkowitego zrzeczenia się okupowanych terenów – rezygnacja z ich odzyskiwania drogą militarną. Do tego potrzeba jednak dobrej woli Moskwy, a przede wszystkim – faktycznego zwycięstwa Załużnego nad Zełenskim. To drugie jest o wiele bardziej realne.

Ukraińska politolog Kateryna Roszuk uważa, że Załużny wygrałby nie dlatego, że jest politycznym geniuszem, ale dzięki błędom swojego rywala. Po pierwsze, biorąc pod uwagę perspektywę wyborów, Zełenski zaczął brutalnie pozbywać się potencjalnych konkurentów, w tym odbierając Załużnemu dowództwo nad armią i zsyłając go do Londynu, aby nie robił sobie PR na froncie. „Mamy rok 2025, kiedy uchylanie się od służby w armii jest bardziej popularne niż prezydent Zełenski. Trump próbuje nas sprzedać Rosji, żeby zdobyć pokojowego Nobla. USA nie dają nam pieniędzy, Europie jest coraz ciężej nam pomagać" – analizuje Roszuk. I dodaje: „Gdyby Zełenski nie zwolnił do tej pory Załużnego, to mógłby zrobić to teraz, czyniąc go odpowiedzialnym za brak zwycięstwa i wtedy Załużny nie byłby dla Zełenskiego żadnym konkurentem […]. Ale charyzmatyczny aktor, który […] oczarował świat heroizmem, nie stał się mądrym politykiem. Zamiast neutralizować konkurentów, dając im władzę, żeby potem móc im przypisywać własne błędy, skoncentrował w swoich rękach całą władzę, a zarazem całą odpowiedzialność". Ekspertka wspomina, jak podczas decydującej debaty kampanijnej 2019 r. Zełenski powiedział do Petra Poroszenki: „Nie jestem pańskim przeciwnikiem, jestem pańskim wyrokiem". Zdaniem Roszuk niebawem to samo może usłyszeć od Załużnego. Trudno się nie zgodzić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl a82608b277

Porozumienie mimo różnic

Robert Bogdański

Bliski Kremlowi politolog Siergiej Karaganow przedstawił dokument, który ma rezonować w środowiskach konserwatywnych w USA. W tekście krytykowane są wynaturzenia współczesnej demokracji. Zdaniem autora opanowana jest ona przez oligarchię i transnarodowe plutokracje. Rosjanin wspomina o amerykańskim Deep State

Operację Siergieja Karaganowa można ochrzcić jako „Syreni Śpiew"

FOT. ARIF HUDAVERDI YAMAN/AA/AFP/EAST NEWS

Mało kto pewnie zwrócił uwagę, zajęty zastanawianiem się nad szczegółami rozmaitych wersji planów pokojowych i analizowaniem, kto którą wersję przygotował, kto kogo podsłuchał i w jakim celu, że Rosjanie podjęli w ostatnich miesiącach próbę zbudowania czegoś w rodzaju ideologicznego modus vivendi, który – jak mogliby sądzić – wydawałby się atrakcyjny dla amerykańskiej prawicy. W świetle ujawnionych niedawno przez „Wall Street Journal" kulisów negocjacji pokazujących, jak silnie Rosja próbuje użyć wobec środowiska Donalda Trumpa zachęt biznesowych, oba te działania wydają się komplementarne. Ponieważ wiele napisano o Stevie Witkoffie i jego biznesach, a ten drugi aspekt pozostał niezauważony, chciałbym tu zająć się wyłącznie nim. Pokazuje on bowiem, jak rosyjskie elity wykorzystują sposób myślenia politologicznej szkoły amerykańskich „realistów", mając nadzieję na to, że do rosyjskiego sposobu myślenia uda się przyciągnąć nowy prawicowy narybek, który będzie stanowił otoczenie następnego prezydenta po Trumpie. Użytecznym lewarem przy dostarczaniu tego ideologicznego przekazu byłby zapewne Tucker Carlson, człowiek cieszący się wielką popularnością wśród „ludu MAGA", ostatnio w niełasce u Donalda Trumpa, ale nadal potrafiący wpływać na sposób myślenia wyborców.

WZBUDZIĆ SZACUNEK AMERYKANÓW

W czasie przygotowań do szczytu Trump-Putin na Alasce i bezpośrednio po nich grupa osób skupionych wokół Siergieja Karaganowa, wpływowego w kręgach kremlowskich elit politologa, znanego przede wszystkim z wezwań do stosowania broni jądrowej dla podporządkowania Europy, wydała długi dokument opisujący rodzaj ideologii, który ich zdaniem powinien zapanować w Rosji. Jego tytuł brzmiał: „Rosyjska żywa idea-marzenie", a podtytuł wyjaśniał, że chodzi o „Ideologiczne podstawy rosyjskiego państwa cywilizacji". Na początku listopada natomiast w anglojęzycznym rosyjskim Internecie ukazał się tekst Karaganowa pt. „Zachód stracił swą duszę – Rosja pragnie zachować własną", który można określić mianem „bryku" streszczającego na trzech stronach obszerny dokument, którego leniwi ludzie Zachodu (a lenistwo intelektualne jest jednym z zarzutów stawianych przez Rosjanina zachodniej cywilizacji) mogliby nie zechcieć przeczytać w całości.

Operacja, którą można by ochrzcić kryptonimem Syreni Śpiew, polega na pokazaniu ideologicznych fundamentów państwa rosyjskiego w taki sposób, aby wzbudzić szacunek amerykańskich partnerów i przekonać ich, że co prawda na kontynencie eurazjatyckim nie leży mocarstwo im przyjazne (takie zresztą przekonywanie byłoby w oczywisty sposób sprzeczne z faktami), to jednak jest to mocarstwo, które w gruncie rzeczy kieruje się podobnymi wartościami i ma podobnych ideologicznych wrogów oraz podobne cele. W ten sposób Rosja i Stany Zjednoczone byłyby niczym „dwa na słońcach swych przeciwnych – Bogi". Skłonienie choćby części amerykańskiej opinii publicznej do takiego myślenia byłoby ogromnym sukcesem Kremla.

Co interesujące, chociaż ten sam Karaganow już przed trzema laty ogłosił ostateczne odejście od zwrotu dokonanego przed 300 laty przez Piotra I w stronę Zachodu i odwrócenie się Rosji ku Syberii i Azji, to w obecnym dokumencie można bez trudu odnaleźć inspiracje pomysłami amerykańskimi. Dwa lata przed wyborami prezydenckimi środowisko konserwatywnej fundacji Heritage przedstawiło słynny dokument „Projekt 2025. Mandat do rządzenia", czyli program przyszykowany dla Donalda Trumpa, wzorowany na tak samo zatytułowanym dokumencie sformułowanym dla Ronalda Reagana

eprasa.pl a82608b277

w roku 1980. „Projekt 2025" wzbudził przerażenie wśród środowisk postępowych w USA, bo opierał się na pomyśle rozmontowania budowanej przez nie z takim sukcesem ideologicznej konstrukcji i na powrocie do tradycyjnych wartości: rodziny, małżeństwa jako związku mężczyzny i kobiety, ochronie dzieci i młodzieży, zatrzymaniu niekontrolowanej imigracji, obronie suwerenności. Autorzy amerykańskiego dokumentu obficie odwoływali się do wiary i do prawa naturalnego, deklarując walkę ze wszystkim, co było z nim sprzeczne. Trump na użytek wyborczy się od tego dokumentu odciął, ale po swojej inauguracji zaczął intensywnie realizować przedstawiony w nim program. Teraz po departamentach DEI (Diversity-Equality-Inclusion) w rządowych agendach nie ma śladu. Być może ten sukces sprawił, że Rosjanie uznali za ciekawe, by pokazać podobieństwa swojej ideologii do koncepcji, które stały za działaniami podjętymi przez republikanów w Ameryce.

Karaganow oczywiście nie przedstawił swojego dokumentu jako programu oferowanego prezydentowi Putinowi do realizacji, bo coś takiego nie mieści się w rosyjskim paradygmacie sprawowania władzy. Nie zajął się także skonkretyzowaniem swoich pomysłów, zresztą jego materiał jest mniej obszerny niż materiał amerykański, i ta różnica dotyczy właśnie projektowania konkretnych działań i polityk. Zajął się tym, co najlepiej rezonuje w jego umyśle i w umysłach rosyjskich elit: czystą ideologią. Uznał, że w miejscu, które dawniej zajmowane było przez religię albo przez coś, co określił mianem „kodeksu moralnego budowniczych komunizmu", panuje w umysłach rosyjskich „niebezpieczna pustka". Społeczeństwo jest tym samym narażone na to, co podpowiadają mu „atlantyckie liberalno-globalistyczne elity". Jeżeli wziąć pod uwagę to, że rosyjskie państwo zrobiło ostatnio naprawdę wiele, aby fizycznie odciąć swoich obywateli od wpływu tychże elit, można przypuszczać, iż adresatem wzmianki o czyhających na rosyjską duszę liberalnych globalistach była jednak amerykańska prawica, a przekaz brzmiał: mamy tego samego wroga.

Innym punktem wspólnym jest wielkość. Rosja jest „wielkim narodem". I jako taki nie może się obyć bez „wielkich, zwróconych w przyszłość idei". Co więcej, Rosja, nawet gdy prowadzi wojnę, jak ta przeciw Ukrainie, ma w istocie na myśli dobro ludzkości, bo wojnie przyświecają także „wyższe cele": zapobieżenie globalnej wojnie termonuklearnej, to, by mężczyźni pozostali mężczyznami, a kobiety kobietami, nie zaś „bezmyślnymi, nastawionymi na konsumpcję zwierzętami", do czego ich prowadzi współczesna cywilizacja. Krytyka „posthumanistycznej moralności i ideologii" przynosi jedyną w dokumencie Karaganowa wzmiankę o Trumpie. Oczywiście pozytywną. Trump jawi się jako ten, którego otoczenie chce odejść od owej „postępowej ideologii". Czyli jest funkcjonalnym sojusznikiem. W innym miejscu, przy okazji krytyki wynaturzeń współczesnej demokracji, która jest w przeświadczeniu Karaganowa w istocie opanowana przez oligarchię i transnarodowe plutokracje, Rosjanin wspomina o amerykańskim Deep State. Nie rozwodzi się nad istotą tej koncepcji, która ma przecież wiele znaczeń, uznaje po prostu za oczywiste, że jej znaczenie jest zgodne z tym, jak rozumie je amerykańska alt-prawica, czyli że chodzi o grupę ludzi cienia wpływających na działania państwa i posiadających niczym niekontrolowaną władzę, a odpowiadających „tylko przed sobą".

WE ARE ARMED PEACEKEEPERS

Opis charakteru rosyjskiego ludu jest także skrojony tak, aby wzbudzić sympatię u innego „wielkiego narodu", co podkreśla generalne powoływanie się na ich odmienność od reszty świata, wynikającą ze skali. Naród liczny i wielki swoją ideą jest w naturalny sposób wojowniczy, ale jego celem jest wprowadzanie pokoju. „We are armed peacekeepers" – pisze Karaganow. Zostawiam ten cytat po angielsku, bo ten język najlepiej oddaje lapidarność przekazu. Doskonale pasuje to do tego, co mówi i czyni Donald Trump, który lubi podkreślać potęgę militarną Ameryki i jednocześnie chwalić się tym, ile wojen zakończył. Nawiązaniem do pojęć rezonujących w amerykańskiej przestrzeni mentalnej jest też użycie sloganu „pokój przez siłę", dzięki któremu Ronald Reagan wygrał zimną wojnę ze Związkiem Sowieckim. Skoro jednak taki slogan może się przydać współcześnie, to któż będzie dbał o to, skąd on się w istocie wziął? Następny passus jest równie smaczny, gdyż Karaganow określa Rosjan jako „pacyfistów gotowych w każdej chwili pójść na bagnety". Komukolwiek znającemu historię i teraźniejszość trudno to komentować inaczej niż bez ironii, ale ten obraz doskonale będzie rezonował wśród ludzi pozbawionych elementarnej wiedzy, a jednocześnie zapatrzonych w subkulturę, w której najpopularniejszy rewolwer Dzikiego Zachodu został nazwany „Peacemaker". Gdy posłuchać słynnego wywiadu Tuckera Carlsona z Nickiem Fuentesem, można dojść do przekonania, że to są właściwi adresaci przekazu Karaganowa.

To przekaz napisany poprawną angielszczyzną i budujący obraz narodu, który chce aktywnie (i „w imię ludzkości") sprzeciwiać się próbom powołania „rządu światowego" podejmowanym przez międzynarodową oligarchię, wielkie korporacje i NGO'sy. Chodzi o obraz narodu, którego najwyższymi wartościami, w których obronie „pójdzie na bagnety", są honor, godność, sumienie, miłość ojczyzny, miłość mężczyzny i kobiety, szacunek dla starszych i ochrona dzieci. Także wiara w Boga. Godny szacunku zestaw o tyle, o ile tylko nikt nie zada sobie pytania, jak się on ma do rzeczywistości. Nick Fuentes i jego zwolennicy na pewno nie.

Jak można ocenić skuteczność operacji „Syreni Śpiew"? Oczywiście trzeba wziąć pod uwagę, że była to operacja prowadzona w tle i jako taka nie miała na celu natychmiastowych efektów, a tylko stopniową zmianę nastawienia w amerykańskich elitach, aby pewne idee stały się możliwe do zaakceptowania. Z tego punktu widzenia zaoferowane Moskwie w ostatnich propozycjach pokojowych partnerstwo gospodarcze i polityczne można uznać za sukces, choć czy był to akurat sukces Karaganowa, tego się nigdy nie dowiemy. Operacje tego typu mają bowiem to do siebie, że trwają długo i nigdy nie kończą się ani pełnym sukcesem, ani całkowitą klęską, a ich skutki objawiają się w długiej perspektywie. Wolno zatem sądzić, że sączenie takiego przekazu przez rosyjskie elity w kierunku amerykańskich elit prawicowych będzie trwało. Przekaz zachęca do tego, żeby „armed peacekeepers" z obydwu półkul żyli ze sobą w zgodzie i pokoju, podporządkowując sobie mniej istotne narody.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

Teresa Stylińska

Jak ratować europejską Europę

Burka, muzułmański strój kobiecy, nie jest ani ubiorem religijnym, jak katolickie habity czy pomarańczowe szaty mnichów buddyjskich, ani politycznym, związanym z pełnioną funkcją, jak strój Spikera brytyjskiej Izby Gmin. A jednak może stanowić przejaw wiary i budzić gorące kontrowersje, niezależnie, czy noszenia burki się zakazuje czy też, przeciwnie, taki zakaz się wyklucza

Australia. Senator Pauline Hanson, szefowa antyimigranckiej partii One Nation, na posiedzenie izby przychodzi szczelnie okryta burką. Nie jest muzułmanką, co więcej – przestrzega przed napływem muzułmanów do Australii. Burkę założyła, bo parlament właśnie odmówił zajęcia się jej wnioskiem, by zabronić noszenia strojów zakrywających twarz. „Jeżeli nie chcą, żebym burkę nosiła, to niech jej po prostu zakażą" – tak na Facebooku skomentowała krytykę ze strony kolegów polityków.

Włochy. Od paru miesięcy trwają prace nad przygotowaniem ustawy zakazującej noszenia burki. I nie tylko – także wszystkiego, co sprzyja tworzeniu się islamskich struktur wymykających się władzy państwa włoskiego (o czym dalej).

Bywa oryginalnie. Latem 2018 r. projektant mody Reza Etemadi, Irańczyk z pochodzenia i obywatel Danii, urządził pokaz damskiej mody islamskiej. Modelkom, odzianym w burki i nikaby, towarzyszyli modele w roli policjantów. Pokaz stanowił wizualny komentarz do wejścia w życie ustawy zakazującej noszenia strojów całkowicie zasłaniających twarz. Kobiety, jak autor wyjaśniał mediom, mają prawo ubierać się tak, jak chcą, i żaden mężczyzna nie może im niczego narzucać.

BEZ PAŃSTWA W PAŃSTWIE

Irańsko-duński projektant postrzegał problem w kategoriach swobód osobistych. Ale to tylko jeden z wielu punktów widzenia. Dla większości ludzi najważniejsze jest bezpieczeństwo, bo pod burką ukryć może się każdy, również terrorysta. Tym przede wszystkim kierują się władze państw, które wprowadziły podobne jak Dania zakazy. Inny aspekt stanowią sprawy związane z integracją społeczną. Radykalnie odmienny ubiór jest jak przesłona, która oddziela dwie społeczności – miejscowych i imigrantów. Feminizm z kolei w zasłanianiu twarzy widzi przejaw opresji, formę zniewolenia kobiet – chociaż, jeżeli wierzyć deklaracjom muzułmanek, wcale nie musi tak być. A skoro muzułmański ubiór to także widomy przejaw uczuć religijnych, to zakaz może dyktować zasada świeckości państwa.

W Europie noszenie burek w miejscach publicznych jest zabronione w kilkunastu krajach, m.in. we Francji, w Austrii, Holandii, Belgii, Bułgarii, od początku tego roku w Szwajcarii). Włoskie plany legislacyjne idą jednak o wiele dalej. Zapowiadana ustawa ma być wymierzona w – jak brzmi jej nazwa – „separatyzm islamski". Chodzi o uregulowanie tego wszystkiego, co wiąże się z obecnością ludzi, którzy wyrośli w innej kulturze i choć teraz żyją w Europie, to chcieliby przenieść tu swe własne zasady i obyczaje. Ustawa takim próbom ma położyć kres.

Projekt jest więc pomyślany szeroko: od spraw obyczajowych, takich jak przymusowe małżeństwa, do kwestii finansowania meczetów i innych instytucji muzułmańskich. Będą one musiały ujawnić, z jakich źródeł zagranicznych otrzymują środki na prowadzenie działalności. Do władz należeć będzie dokonanie oceny, czy owe źródła mogą stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa Włoch.

Muzułmanie – zwracają uwagę inicjatorzy ustawy – muszą respektować włoską konstytucję, włoskie prawo, zasady i wartości. Fakt, że część muzułmanek nosi stroje zasłaniające twarz, to tylko ułamek problemu. Niemniej, według autorów projektu, jest to jeden z trzech jej najważniejszych punktów, obok kwestii

eprasa.pl a82608b277

Pauline Hanson, australijska senator i liderka partii One Nation, założyła burkę podczas posiedzenia parlamentu w Canberze FOT. MICK TSIKAS/AP/EAST NEWS

meczetów i małżeństw przymusowych. Burek i nikabów nie będzie wolno nosić w budynkach publicznych, szkołach, na uczelniach i w sklepach, a naruszenie przepisów będzie zagrożone karą sięgającą nawet 3 tys. euro.

W tej sprawie jest zresztą podwójny precedens. Już w 1975 r. przyjęto we Włoszech, w ramach walki z szalejącym wówczas terroryzmem, ogólne przepisy zabraniające zasłaniania twarzy. Od 10 lat taki zakaz, już wymieniający wprost burki, obowiązuje w Lombardii, gdzie z zasłoniętą twarzą nie wolno wchodzić do budynków publicznych i szpitali.

Projekt został już złożony w parlamencie, trudno jednak powiedzieć, kiedy ustawa zostanie przyjęta czy choćby trafi pod obrady. Nie wydaje się jednak, by władze miały z tym zwlekać. Obecność tysięcy ludzi, którzy wprost z innych kultur przybyli do Europy, stała się problemem ponad miarę dotkliwym i Włochy pod tym względem nie stanowią wyjątku. Masowy napływ imigrantów nielegalnych, z wielu powodów trudny do opanowania, sytuację dramatycznie pogarsza, ale obecność tych, którzy we Włoszech przebywają legalnie, też ma swoje minusy z przyczyn kulturowych i społecznych.

OD BURKI DO BURKINI

Jeszcze nie tak dawno temu niewielu ludzi, poza specjalistami od świata islamu, miało minimalne choćby pojęcie o subtelnościach muzułmańskich ubiorów. W użyciu było właściwie tylko słowo „czador". Wiadomo było, że muzułmanki noszą czadory, że są to stroje długie, luźne i najczęściej czarne, i na tym mniej więcej wiedza się kończyła. Jeśli kobieta nie nosiła czadoru, to czymś tam, o bliżej nieznanej nazwie, przynajmniej okrywała włosy, jak nakazywała jej wiara.

Burka, nikab, abaja, hidżab – nie tylko nie wiedziano tego, czym się one różnią, lecz także że istnieją. Kiedy to się zmieniło? Być może zabrzmi to dziwnie, ale chyba dopiero wojna w Afganistanie sprawiła, że w naszym słowniku pojawiło się – jako pierwsze – słowo „burka".

Burki trudno nie rozpoznać i nie zapamiętać, bo jest to ubiór szokujący. Żaden inny nie zakrywa kobiety przed wzrokiem postronnych tak szczelnie. Burka jest jak szeroki namiot okrywający całą jej postać, od stóp do głów, wraz z twarzą. Nikab, w formie podobny, jest mimo wszystko odrobinę swobodniejszy, pozostawia bowiem niewielką szparę na oczy. To stwarza pole do nawiązania kontaktu. Oczu kobiety w burce nie widać wcale, bo zasłania je kratka.

Boris Johnson, ekscentryczny ekspremier Wielkiej Brytanii, parę lat temu ściągnął na siebie gniew zarówno muzułmańskiej, jak postępowej europejskiej opinii publicznej, gdy napisał, że kobiety w burkach wyglądają jak skrzynki na listy. Na domiar złego dodał, że przypominają rabusiów napadających na banki. Co szczególnie ciekawe, wszytko to zamieścił w artykule, którego wymowa wcale nie była burkom nieprzychylna. Nawet jeśli kobiety prezentują się tak, jak to opisał, to noszenia burek nie należy zabraniać.

Najpopularniejszy jest hidżab. Nie zakrywa twarzy – podobnie jak abaja, rodzaj płaszcza – okrywa tylko włosy i szyję, za to szczelnie. Masowa imigracja sprawiła, że hidżab jest dziś noszony nie tylko na Bliskim Wschodzie i w innych islamskich regionach, lecz także w Europie. Przez muzułmanki i – może bardziej jeszcze, bo hidżab traktują jak wyznanie wiary – przez konwertytki. Przed olimpiadą w Paryżu stał się jednak przyczyną gorących sporów. Władze francuskie zabroniły reprezentantkom Francji występowania w hidżabach, bo narusza to zasadę świeckości państwa. Obrońcy praw człowieka dowodzili, że decyzja władz narusza swobody religijne.

Jak się jednak okazuje, nawet w świecie muzułmańskim moda damska nie stoi w miejscu, a potrzeba jest matką wynalazków. Prawdziwą inwencją na tym polu błysnęła australijska projektantka Aheda Zanetti, która 20 lat temu wymyśliła burkini. Nietrudno się domyślić, że semantycznie stanowi ono skrzyżowanie burki i bikini, choć nie jest ani jednym, ani tym bardziej drugim. Z burki zapożyczyło szczelne okrycie od stóp do głów; odkryte pozostają, zgodnie z zasadami Koranu, tylko twarz i dłonie. Z bikini wzięło przeznaczenie: na plażę

eprasa.pl a82608b277

i do pływania. Dzięki burkini nawet pobożne muzułmanki mogą swobodnie pływać i uprawiać sport.

NIE OWIJAJĄC W BAWEŁNĘ

Od rozwiązań z innych krajów odróżnia włoski projekt nie tylko szeroki zakres planów. Znamienne jest to, że ich autorzy niczego nie owijają w bawełnę, mówiąc otwarcie, jaką politykę i dlaczego Włochy zamierzają prowadzić. A przecież do tej pory wszystko, co dotyczyło muzułmanów, w państwach europejskich raczej kamuflowano, tworząc przepisy sformułowane tak, by można je było odnieść nie tylko do muzułmanów. Nietrudno dociec dlaczego: nikt nie chciał narazić się na zarzut, że wyznawcy Mahometa doświadczają dyskryminacji.

Cofnijmy się do roku 2004, gdy we Francji przyjęto przepisy zakazujące uczennicom przychodzenia do szkoły w hidżabach. Zakaz podciągnięto pod potrzebę respektowania świeckości państwa, a to jest we Francji rzecz święta. Zabroniono więc demonstrowania widocznych oznak wiary – przecież nie, uchowaj Boże, noszenia muzułmańskich strojów! Ofiarą superostrożności padły zatem oznaki innych wyznań: chrześcijańskie krzyże, żydowskie jarmułki i sikhijskie turbany i nikt nie zważał na to, że – w przeciwieństwie do hidżabów – dwie pierwsze są w Europie u siebie. Gdy zaś w 2011 r. zakazano noszenia burek, uzasadnienie stanowiły – niezaprzeczalne przecież – względy bezpieczeństwa.

Jedynie władze Danii wykazały się odwagą. Nie tylko wprowadzono tam restrykcyjne przepisy dotyczące przyjmowania i traktowania imigrantów, lecz także bez ogródek, tak jak teraz we Włoszech, mówiono, o co chodzi. A chodziło o to, że państwo ma prawo i obowiązek kontrolować napływ imigrantów i to, jak sobie w Danii poczynają. Władze duńskie od początku stawiały sprawę jasno: nie każdemu Dania musi zaoferować pobyt, nie każdego musi utrzymywać, a jeśli ktoś chce w Danii zostać, to musi sobie na to zasłużyć. O stały pobyt może się starać dopiero po ośmiu latach pobytu w Danii. Nigdzie w Europie nie trzeba czekać tak długo – chyba że rekord pobije Wielka Brytania, której władze rozważają aż 20 lat.

Najwięcej kontrowersji wzbudziło „prawo getta" i „prawo biżuteryjne". Pierwsze zezwala władzom lokalnym na wyburzanie domów i osiedli, jeśli imigrantów jest w nich za dużo, bo stanowią ponad połowę mieszkańców. Drugie umożliwia konfiskowanie przybyłym biżuterii, telefonów i innych cennych rzeczy, jeżeli je mają, na pokrycie kosztów pobytu.

Europa z początku nie posiadała się z oburzenia. Teraz nie posiada się z zazdrości. Odwaga (tak, tak!) i determinacja Duńczyków przyniosły tak dobre rezultaty, że Dania stała się wzorem do naśladowania. Nie ma problemów, których doświadczają inni – niepomni tego, że ich władze zwyczajnie sparaliżowała poprawność.

ZAMIESZKI, GANGI I SZARIAT

Podczas gdy dawniej przybyszom z innego świata z reguły zależało na wtopieniu się w społeczność miejscową, dzisiejsi imigranci coraz śmielej uzurpują sobie prawa mieszkańców Europy. Skoro w wielu szkołach w Niemczech, we Francji czy w Holandii znaczną część uczniów stanowią mali muzułmanie, to dlaczegóż by ich rodzice nie mieli się domagać, by szkolne stołówki przygotowywały posiłki halal? I one to robią, czasem nawet eliminując wieprzowinę, bo skoro większość jej nie je... Tylko czekać, aż żądania sięgną programów. Czy francuscy królowie, wojny religijne w Niemczech czy powstanie Kościoła anglikańskiego muszą obchodzić nowych obywateli Europy?

Imigrantów jest dużo, za dużo, a liczebność przekłada się na roszczenia

Właściwie nie powinno to dziwić. Po pierwsze: imigrantów jest dużo, za dużo, a liczebność przekłada się na roszczenia. Społeczność kilkumilionowa oczekuje dla siebie więcej niż kilka tysięcy ludzi, jak przed laty. Nie zamierza pokornie czekać. Po drugie: winne są pospołu europejskie rządy, bo w sprawie imigracji popełniły wszelkie możliwe błędy, na czele z kardynalnym, którym jest łączenie rodzin. Społeczność islamska rozrastała się zbyt szybko, by mogła się skutecznie asymilować. Z własnej i nieprzymuszonej woli Zachód stworzył zalążki problemów, które dziś z wielkim trudem próbuje rozwiązać. Po trzecie wreszcie: roszczenia imigrantów zawsze podsycała lewica, która w imię praw ludzkich gotowa była wszystko tłumaczyć i wszystko akceptować.

A to nie wszystko. Obecność rzeszy muzułmanów rodzi problemy, które przed laty trudno było sobie wyobrazić. Zamieszki uliczne, gdy uznano, że proroka Mahometa spotkała obraza. Wielożeństwo, wcale nie tak rzadkie. Drobne problemy obyczajowe: muzułmanka nie poda ręki przełożonemu mężczyźnie. Wkraczanie szariatu – nawet jeśli sądy koraniczne rozstrzygają tylko sprawy muzułmanów. Zwykła przestępczość. To wszystko dla Europejczyków jest nie mniej dokuczliwe niż obawa przed zamachami czy wojnami imigranckich gangów.

Lars Lokke Rasmussen, były duński premier, a obecnie szef dyplomacji, parę dni temu opowiadał o doświadczeniach swego kraju brytyjskiemu dziennikowi „Daily Telegraph". Premierzy małej, spokojnej Danii, kraju bez wstrząsów i nieszczęść, nie należą do najbardziej rozchwytywanych rozmówców. Z Rasmussenem jest inaczej, bo to za jego rządów zainicjowano politykę, która może zainspirować innych. On sam w rozmowie podkreślił, że dzięki niej w Danii zmniejszyła się przestępczość, imigranci lepiej się integrują, a skrajna prawica traci wpływy. Ten ostatni sukces dla wielu wcale nim nie jest, Rasmussen jednak, przypomnijmy, ma punkt widzenia socjaldemokraty.

Duński ekspremier wspomniał o jeszcze jednym aspekcie, który zawsze pozostawał w tle polityki imigracyjnej, choć jest w istocie pierwszoplanowy. Chodzi o wartości, zasady i styl życia. Duńczycy chcieli chronić swój kraj i swoje życie – to, co przez wieki stworzyli. Bali się, że obecność rzeszy imigrantów stanie się takim ciężarem, że to, co najbardziej cenią, rozsypie się i zniknie. Nie były to obawy bezpodstawne i Włosi też je żywią. Inne narody może również powinny, bo europejska Europa jak nigdy potrzebuje pomocy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

FOT. THE SUPREME COURT OF MISSOURI

PRESLEY W TODZE

Matthew Thornhill, sędzia okręgowy hrabstwa St. Charles w stanie Missouri, przeszedł dobrowolnie na przedwczesną emeryturę. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie powody tej decyzji. Thornhill stanął przed komisją dyscyplinarną, która zarzuciła mu, że w ramach sędziowskich obowiązków m.in. dawał wyraz słowem i wyglądem swojej fascynacji Elvisem Presleyem. Przewodnicząc rozprawom, zakładał perukę i przeciwsłoneczne okulary, żeby upodobnić się do króla rock and rolla.

GROŹNY MIŚ

Gadający pluszowy miś Kumma został wycofany ze sprzedaży po tym, gdy się okazało, że porusza kontrowersyjne tematy. Zabawka dla dzieci jest wyposażona w sztuczną inteligencję. Grupa badaczy z USA odkryła, że miś rozmawia o seksie, w tym o praktykach sadomasochistycznych. Udziela także groźnych dla dzieci porad – takich jak ta, gdzie znaleźć ostre narzędzie w domu. Producent z Singapuru obecnie przeprowadza wewnętrzny audyt bezpieczeństwa.

KOKAINA W PLUSZAKACH

W Argentynie, podczas rutynowej kontroli policyjnej autokaru, zatrzymano kobietę, w której bagażu wykryto prawie 3 kg kokainy. Narkotyk był ukryty w pluszowych zabawkach Pokémon i Stitch. Każda z nich wydawała się bardzo ciężka. Stróże prawa trafili na trop białego proszku za sprawą psa policyjnego, który od razu zainteresował się bagażem obywatelki Boliwii.

FERALNA ATRAKCJA

Dramatyczny finał przybrał rodzinny posiłek na zawieszonej platformie restauracji w stanie Kerala (Indie). Urządzenie utknęło 36 metrów nad ziemią. Na górze znaleźli się czworo klientów (dwoje dorosłych i dwoje dzieci) oraz pracownik restauracji. Przyczyną tego, co się stało, okazała się awaria hydraulicznego systemu dźwigu. Po prawie czterech godzinach ratownicy bezpiecznie sprowadzili całą piątkę na dół. Nikt nie odniósł obrażeń.

KATASTROFA NA TORACH

Osiemdziesięciodwuletnia kobieta za kierownicą przeżyła horror, gdy jej samochód osobowy był przez ok. 400 metrów pchany po torach przez pociąg towarowy. Do wydarzenia doszło w South Brunswick w stanie New Jersey. Kobieta zatrzymała auto przy przejeździe kolejowym, bo zobaczyła migające światła ostrzegawcze. Nie zauważyła jednak, że stoi na torach. Miała dużo szczęścia, bo w wyniku katastrofy doznała tylko urazu nogi, z którym trafiła do szpitala. ©℗

Filip Memches

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Młody Polak podbija świat

Mateusz (Mati) Staniszewski, zaledwie 30-letni Polak, trafił w ubiegłym tygodniu na okładkę amerykańskiego wydania magazynu „Forbes". To nie pierwsze tak prestiżowe wyróżnienie młodego Polaka. We wrześniu Mati Staniszewski trafił na „TIME100 AI, czyli listę najbardziej wpływowych osób na świecie w sektorze sztucznej inteligencji.

O CEO i współtwórcy start-upu ElevenLabs wiele osób w Dolinie Krzemowej z respektem mówi już bowiem od lat. To właśnie on wraz z kolegą z liceum, Piotrem Dąbkowskim, w 2022 r. założył firmę, która nie tylko z sukcesem wykorzystuje algorytmy sztucznej inteligencji, lecz także potrafi już na AI dobrze zarabiać (a akurat ta sztuka w branży udaje się wyłącznie najlepszym).

Start-up, do którego założenia zainspirowała twórców fatalna jakość dubbingu w zachodnich filmach emitowanych w polskiej telewizji, zarabia krocie na wykorzystywaniu sztucznej inteligencji do tworzenia automatycznego dubbingu i generowaniu mowy niemal niemożliwej do odróżnienia od ludzkiego głosu oraz naturalnie brzmiących dźwięków w ponad 30 różnych językach.

Efekt? W styczniu 2024 r. start-up wart był ponad 1 mld dol. Na początku 2025 r., w trzeciej rundzie pozyskiwania finansowania, ElevenLabs pozyskał kolejne 180 mln dol. Jego wycena wzrosła wówczas do 3,3 mld dol. Już w styczniu 2025 r. firma założona przez Staniszewskiego i Dąbkowskiego była więc najwyżej wycenianym przez rynek polskim start-upem.

Gdy zaś we wrześniu obecnego roku szefowie ElevenLabs dali pracownikom zgodę na sprzedaż akcji firmy, wycena start-upu wyniosła... 6,6 mld dol. I oby tak dAIlej...

eprasa.pl a82608b277

Niebezpieczny SAFE

FOT. ADOBE STOCK

Jakub Wozinski

W ramach unijnego programu Security Action for Europe Polska ma otrzymać na wydatki zbrojeniowe nawet 45 mld euro niskooprocentowanych pożyczek. Prawdziwa nazwa funduszu powinna jednak brzmieć UNSAFE, bo horrendalnie zadłużone polskie państwo wikła się we wspólny dług i pogłębia zależność od Brukseli

Tuż po krótkiej wizycie Ursuli von der Leyen w Polsce rząd Donalda Tuska ogłosił swój rzekomy wielki sukces. Niemka miała zapewnić rządzących, że nasze państwo otrzyma największą spośród wszystkich krajów członkowskich kwotę na rozbudowę swojej armii. Wicepremier i minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz informował, że dzięki temu polskie wojsko wzmocni obronę powietrzną, przeciwrakietową oraz systemy artyleryjskie, a także dokona wielkich zakupów amunicji, dronów i systemów antydronowych. Donald Tusk przekonywał nawet, że cały program SAFE został ustanowiony dzięki intensywnym zabiegom jego rządu. Umożliwić to miało polskie przewodnictwo w Radzie UE.

POLITYCZNY TEATR

W sprawczość Tuska wolno co najmniej powątpiewać. Można natomiast mieć absolutną pewność co do tego, że kierowana przez Ursulę von der Leyen Komisja Europejska cynicznie i instrumentalnie wykorzystuje zagrożenie ze strony Rosji do budowy unijnego superpaństwa. W politycznym teatrze wyreżyserowanym przez eurokratów politycy likwidujący stopniowo niezależność polskiego państwa mogą występować w roli zatroskanych o losy kraju, natomiast skrajnie niebezpieczny dla bezpieczeństwa narodowego fundusz został po orwellowsku nazwany SAFE (czyli: bezpieczny).

Uwagę zwraca przede wszystkim ekspresowe tempo prac nad programem SAFE. Po tym, jak w czerwcu 2021 r. Komisja Europejska wyemitowała swoje pierwsze, upragnione obligacje w ramach Funduszu Odbudowy, okazało się, że kraje członkowskie nie chcą iść za ciosem. „Hamiltonowski moment" Europy, do którego walnie przyczynił się Mateusz Morawiecki, nie pociągnął za sobą kolejnych wielkich programów umożliwiających wspólne zadłużanie.

Sytuację zmienił dopiero wybór Donalda Trumpa na urząd prezydenta USA. Wzbudzona w związku z tym medialno-polityczna histeria okazała się bardzo skutecznym zabiegiem, gdyż posłużyła jako grunt do osiągnięcia kolejnego przełomu w zakresie budowy europaństwa. Ostatniego dnia lutego w Białym Domu podburzony przez europejskich liderów Wołodymyr Zełenski celowo obraził Trumpa. Zaledwie dwa dni później na „spontanicznym" spotkaniu w Londynie europejscy przywódcy ogłosili swój manifest chęci wzięcia kwestii bezpieczeństwa w Europie wyłącznie na własne barki. 4 marca von der Leyen ogłosiła plan ReArm Europe, a już kilka dni później przedstawiono wstępny zarys funduszu SAFE.

SAFE zostało ostatecznie zatwierdzone przez Radę Unii Europejskiej 29 maja. 23 czerwca opublikowano zaś harmonogram emisji wspólnego długu, zgodnie z którym pierwsze obligacje w ramach programu dozbrajania unijnego państwa pojawiły się w sprzedaży już 20 października. Łączna wartość nowego wspólnego długu ma wynieść 150 mld euro.

FUNDUSZ IM. ZEŁENSKIEGO

Biorąc pod uwagę to, jak bardzo ukraiński prezydent przyczynił się do kolejnego kamienia milowego w dziele

eprasa.pl a82608b277

budowy unijnego państwa, fundusz SAFE mógłby nawet nosić jego imię. Zełenski z wyraźną satysfakcją podjął się odegrania roli męczennika, którego rzekome cierpienie miało uzasadnić zwiększenie puli wspólnego długu.

Warto zauważyć, że zanim zastosowano fortel z prezydentem Ukrainy, eurokraci dwoili się i troili, aby znaleźć odpowiednie uzasadnienie dla dalszego zadłużania całej Unii. Raport Maria Draghiego z jesieni 2024 r. wzywał do regularnej emisji kolejnych transzy wspólnego długu, ale apel ten spotkał się z dość opieszałą reakcją. W ostatnim czasie proponowano więc, aby rolę unijnych obligacji odgrywały specjalne pakiety obligacji krajów członkowskich, funkcjonujące jako osobny instrument finansowy. Przez pewien czas mówiło się także o tym, aby pretekstem dla wspólnego zadłużenia stał się Fundusz Krytycznych Technologii lub zwyczajnie polityka klimatyczna. Za każdym razem brakowało jednak zgody wystarczającej liczby państw, a w szczególności tych, które z rezerwą spoglądały na emisję długu wycenianego drożej niż ich własny.

Wszystkie te propozycje są oczywiście dalej w grze i niewykluczone, że wkrótce zostaną wykorzystane do kolejnych ofensyw na rzecz budowy superpaństwa. Dotychczasowe doświadczenie pokazuje jednak, że najłatwiej zamierzony rezultat osiągnąć przy pomocy odpowiednio przekierowanej histerii. Histerię tę udało się wywołać po raz pierwszy przy okazji koronawirusa. Pretekstu do wywołania kolejnej dostarczyły seans zbiorowej nienawiści względem Trumpa oraz roztoczenie nierealnej na dziś wizji wycofania się Stanów Zjednoczonych z Europy.

WIELE POWODÓW DO NIEPOKOJU

Niebezpieczeństwo związane z SAFE jest dużo większe, niż się na pozór wydaje. Po pierwsze, wydatkowanie środków na bezpieczeństwo, które powinno pozostawać w pełnej gestii władz polskiego państwa, zostaje podporządkowane Brukseli, zatwierdzającej nasz krajowy plan inwestycyjny. Po drugie, czynnikiem krępującym nasze pole manewru są ograniczenia związane z koniecznością wydawania co najmniej 65 proc. środków z SAFE w krajach UE, na Ukrainie, Islandii, w Norwegii lub Liechtensteinie. Po trzecie, narzucone przez Brukselę parametry przy ubieganiu się o środki na uzbrojenie w sposób jawny faworyzują głównie niemiecki i francuski przemysł zbrojeniowy.

Powodów do niepokoju jest znacznie więcej, jeśli dodatkowo uwzględni się zagrożenia natury finansowej czy też gospodarczej. Program SAFE będzie spłacany aż do 2070 r. Obecnie może się wydawać, że Unia zapewnia Polakom niezwykle tani kredyt na pilne potrzeby zbrojeniowe, ale cena tego kredytu może drastycznie wzrosnąć choćby przy okazji nadchodzącego wielkimi krokami kryzysu zadłużenia w strefie euro. Tak jak w przypadku Funduszu Odbudowy polskie państwo zadłuża się wraz z państwami, którym grozi niewypłacalność. Francja już teraz jest praktycznie bankrutem, a wkrótce podobny status może uzyskać choćby Hiszpania. Przy tego rodzaju partnerach trudno jest myśleć o niskich odsetkach.

NIEMCY STOJĄ Z BOKU

Program SAFE tworzy także ogromne niebezpieczeństwo związane z zadłużaniem państw członkowskich poza tradycyjnymi regułami fiskalnymi. Cały proceder, tak jak w przypadku Funduszu Odbudowy, jest oparty na księgowej sztuczce polegającej na przypisywaniu długu unijnemu superpaństwu. Formalnie Unia Europejska wywalczyła sobie już nawet część dochodów własnych oraz prawo nakładania własnych podatków, ale nie jest przecież państwem dysponującym innym terytorium i ludnością niż wszystkie państwa członkowskie. Oznacza to, że rząd Donalda Tuska, stojąc w obliczu rekordowego zadłużenia i rekordowego deficytu budżetowego, zaserwował Polakom jeszcze więcej długu i wydatków.

Średnia rentowność obligacji NextGenerationEU wynosiła w ostatnim roku ok. 3 proc., co stanowi wynik gorszy niż rentowność niemieckich obligacji (ok. 2,75 proc.). I właśnie dlatego Niemcy nie zdecydowali się ubiegać nawet o 1 euro z programu SAFE. Kraje takie jak Polska, które zadłużają się po wyższych kosztach, mogą żywić złudną nadzieję, że dostęp do tańszego kredytu jest na ich korzyść – w szczególności gdy chodzi o kwestie obronne. W świecie polityki międzynarodowej nikt nie rozdaje jednak darmowych obiadów, a już na pewno nie robią tego Niemcy. Użyty przez niemiecką Unię wabik finansowy to tak naprawdę sposób na upokorzenie Polski, która jako główny beneficjent programu pożyczkowego będzie miała tym samym największy wkład w swoje własne zniewolenie.

Zapośredniczenie wydatków na obronność przez unijne instytucje otwiera także Brukseli kolejną przestrzeń do politycznego szantażu. W razie zmiany władzy w Warszawie Komisja Europejska powróci do dobrze znanego schematu blokowania należnych Polsce funduszy, zasłaniając się dowolnymi argumentami: rzekomym brakiem praworządności, prorosyjskością lub nierespektowaniem praw mniejszości seksualnych. W przeciwieństwie jednak do inwestycji w politykę klimatyczną i zrównoważony rozwój, którym podporządkowany jest Fundusz Odbudowy, wydatki na armię stanowią szczególnie istotną pozycję w państwowym budżecie. Postawa Brukseli może tym samym stworzyć fundamentalne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa.

Rozpatrując na chłodno szanse na ewentualne powstrzymanie procesu dalszego zwiększania puli wspólnego długu, można dojść do wniosku, że niestety największe nadzieje należy wiązać z ewentualnym europejskim kryzysem finansów publicznych. Część komentatorów w Europie coraz głośniej mówi o tym, że mamy do czynienia ze zwykłą piramidą finansową. Wspólne zadłużanie się zachowuje sens ekonomiczny jedynie przy stałym zwiększaniu ilości długu (co zwiększa płynność na rynku i atrakcyjność dla inwestorów), a to z kolei pociąga za sobą coraz większe zadłużanie państw członkowskich. W pewnym momencie ciężar długu może być już zwyczajnie zbyt wielki, aby Europa mogła sobie z nim poradzić.

Rząd Donalda Tuska wprowadził tym samym Polskę na bardzo niebezpieczną minę, z której uciec będzie niezwykle trudno. Teoretycznie za sprawą SAFE Polska ma się dozbroić, ale w następstwie przyłączenia się do tego programu jeszcze nigdy nie była równie bezbronna wobec centralistycznych zapędów Berlina.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a82608b277

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jak „pilnować" pensji lekarzy?

Ma rację Judyta Watoła, dziennikarka „Gazety Wyborczej" – pisząc o wysokich pensjach lekarzy – że nie powinno się ustalać ich górnej granicy (mówi się o, bagatela, 48 tys. zł miesięcznie), bo to „głupi pomysł", i to rodem „z czasów komuny". Lecz ma rację tylko „trochę", tylko „częściowo". Ma rację w tej mianowicie części, że rzeczywiście wysokości pensji lekarzy nie powinny „pilnować" żadne urzędowe limity. Ale za to powinny ich pilnować – i to mocno – mechanizmy rynkowe. Tak jak pilnują wysokości pensji nas wszystkich, którzy pracujemy w normalnym świecie, czyli na wolnym rynku.

Czy bowiem ktoś słyszał, żeby ci sami lekarze, którzy bez kłopotu „wyciągają" co roku milion złotych z państwowych szpitali – aż ponad 430 z nich zarabia ponad 100 tys. zł miesięcznie, czyli ponad 1,2 mln zł rocznie – tak samo wyśmienicie zarabiali (dorabiając na „drugim etacie") także w prywatnych? Czyli w tych – podkreślam: prywatnych – szpitalach i przychodniach, w których na straży ich budżetów, a zatem i wysokości pensji lekarzy, stoją zarządy tych medycznych firm, twardo pilnujące interesu ich właścicieli (a przy okazji klientów – pacjentów)?

No dobrze, ale skąd wziąć mechanizm wolnorynkowy lub choćby quasi-wolnorynkowy w przypadku owych w niemałym stopniu po prostu zawłaszczonych przez lekarzy niby-państwowych (bo formalnie państwowych) szpitali i przychodni? W sytuacji, gdy nie mają one prawdziwych właścicieli, którymi w żadnym stopniu nie są przecież ich „organy założycielskie", czyli jednostki samorządu terytorialnego czy ministerstwa?

Ano – dzięki powrotowi do systemu kas chorych, który już w Polsce, co prawda, krótko, bo tylko na przełomie lat 90. i 2000., istniał. I powoli się umacniał, lecz niestety, wskutek protestów pacjentów, podpuszczonych przez czujących pismo nosem „ludzi w białych fartuchach", obawiających się, że kasy chorych zaczną liczyć koszty szpitali i patrzeć im na ręce, został unicestwiony przez premiera Millera i zastąpiony koszmarnym monopolem NFZ. A to właśnie owe kasy chorych, jako jeden z trzech filarów trójkąta systemu ochrony zdrowia – obok państwowych i prywatnych szpitali i przychodni zabiegających o kontrakty z nimi oraz pacjentów płacących składki do wybranej przez siebie kasy chorych, pilnowałby – w interesie pacjentów, a swoich klientów (i własnym) – kosztów szpitali i przychodni, a więc – pośrednio – także wysokości pensji lekarzy.

A ponadto – jak to jest w niejednym kraju – i w Polsce lekarze nie powinni móc tak łatwo jak dziś u nas łączyć pracy w szpitalach i przychodniach państwowych oraz prywatnych, bo to rodzi doskonale znane nam patologie. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Putin wszechmocny

Odwołanie spotkania Karola Nawrockiego z Viktorem Orbánem było świetną ilustracją skutków, do jakich prowadzi irracjonalne zdominowanie polityki przez paranoicznie pojmowany motyw antyrosyjskości. Z pragmatycznego punktu widzenia nie miało to najmniejszego sensu. Uzasadnienie decyzji polskiego prezydenta wcześniejszym spotkaniem premiera Węgier z Władimirem Putinem musiałoby oznaczać, że głowa polskiego państwa nie spotka się już więcej z prezydentem USA, Francji, premierem Słowacji i wieloma innymi politykami, którzy ściskali lub ścisną rękę prezydenta Rosji. To absurd. Działanie prezydenta Polski było czczą demonstracją, obliczoną na rynek wewnętrzny, która i tak nic mu nie dała – dla koalicji i jej mediów Karol Nawrocki jest i pozostanie „sojusznikiem Putina", choćby osobiście przekradł się do Moskwy z bombą za pazuchą i chciał dokonać samobójczego zamachu na rosyjskiego prezydenta.

Porażająca jest łatwość, z jaką obóz konserwatywny, pozbywa się sojuszników w walce o kształt UE

Porażająca jest przy tym łatwość, z jaką obóz konserwatywny, w tym wypadku reprezentowany przez prezydenta, pozbywa się sojuszników w poważnej walce o kształt UE. Niedługo przed wizytą na Węgrzech prezydent był w Pradze, gdzie wygłosił celne wystąpienie, definiujące dobrze problemy UE oraz wskazujące, jak Polska, a przynajmniej stronnictwo suwerennościowe, chce do nich podejść. Zawarte w tym wystąpieniu tezy były niemal całkowicie zbieżne z tym, co od lat na temat funkcjonowania Unii mówi Viktor Orbán. Czy naprawdę polski obóz suwerennościowy stać na to, żeby przez antyrosyjską obsesję tracić ważnego sojusznika?

Być może faktycznie było tak, jak sugerował Sławomir Dębski, były szef Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych – że spotkanie z Nawrockim było węgierskiemu premierowi potrzebne jako element kampanii przed wiosennymi wyborami parlamentarnymi. Jeśli tak, to odmawiając go, Karol Nawrocki pomógł lewicowo-liberalnemu obozowi pod wodzą Pétera Magyara. Naprawdę Pałac Prezydencki woli mieć w Budapeszcie kolejnego przeciwnika niż sojusznika? Zaiste, Putin jest wszechmocny, skoro zarządza nawet programem wizyt zagranicznych polskiego prezydenta. ©℗

eprasa.pl a82608b277

REPUBLIKA

Michał Rachoń w swoim sztandarowym porannym programie dyskutuje z zaproszonymi gośćmi o bieżących wydarzeniach i najważniejszych tematach ostatnich godzin w polskiej polityce.

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl a82608b277

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Żwaniecka ugoda ostatniej szansy

JACEK KOMUDA

Ruiny zamku w Żwańcu na Ukrainie, położone malowniczo na wysokim wzgórzu w miejscu, gdzie do Dniestru wpada rzeczka Żwańczyk, mają ciekawą i dramatyczną historię związaną z dawną Rzecząpospolitą. Forteca położona jest nieco na północ od Chocimia, który jednak znajduje się już po wołoskiej stronie rzeki. Można by powiedzieć, że to kolejna para zamków, które powstawały na dawnych granicach. Niedaleko od Żwańca, na zachód, wzniesiono też Okopy św. Trójcy, tworzące dziś malowniczy zespół dawnych fortec dniestrowych.

Z zamku pozostały ruiny jednej baszty i ogólny, ledwie widoczny narys fortyfikacji oszpecony wciśniętym we wzgórze schronem bojowym z czasów, kiedy przechodziła tędy linia Stalina. Historia Żwańca wywodzi się z czasów, kiedy w roku 1469 miasteczko jako królewszczyzna zostało nadane Michałowi Buczackiemu. Wzniósł on nad Żwańczykiem pierwszą warownię obronną. Natomiast zamek w obecnym kształcie został zbudowany przez Walentego Aleksandra Kalinowskiego na początku XVII w., co znaczy, że był budowlą obronną, wyposażoną w bastiony połączone kurtynami, to znaczy prostymi odcinkami murów. Kolejnym właścicielem stał się Stanisław Lanckoroński, który zaślubił siostrę Kalinowskiego i otrzymał miasteczko jako wiano.

RYS. MART

Żwaniec odegrał bardzo ważną rolę w kampanii wojennej 1653 r. przeciwko Kozakom Chmielnickiego. Była to wielka wyprawa będąca konsekwencją wymordowania w poprzednim roku pod Batohem armii koronnej i zerwania przez kozackiego hetmana warunków ugody białocerkiewskiej. Jan Kazimierz zamierzał na początku rozpocząć wielką ofensywę zimową, która byłaby wielkim zaskoczeniem dla Kozaków, miał jednak kłopoty z powołaniem nowej armii, gdyż jak zwykle brakowało na nią pieniędzy. Wojsko stojące w Glinianach pod Lwowem buntowało się, czekając na wypłatę żołdu, podczas gdy Chmielnicki stał z głównymi siłami pod Zbarażem. Ostatecznie sytuację udało się opanować, jednak dopiero 29 sierpnia armia koronna wyruszyła na wschód, w okolice Kamieńca, chcąc odciąć Kozakom drogę do Mołdawii, i rozłożyła obóz pod Żwańcem. Tymczasem na południu odbywał się główny akt dramatu, a mianowicie oblężenie Suczawy, w której bronił się syn Chmielnickiego – Tymofiej. Ostatecznie padła ona 9 października oblężona przez wojska mołdawskie, wołoskie, siedmiogrodzkie i polskie. Trzy armie – polska, kozacka i tatarska – zaczęły wówczas szachować się samą obecnością, nie dążąc jednak do bezpośredniego starcia. Stojący pod Żwańcem Jan Kazimierz miał problemy z nieopłaconą armią i nie był w stanie zaatakować głównych sił Chmielnickiego, gdyż wówczas mógłby uderzyć na niego chan Islam Gerej stojący pod Szarogrodem. Z kolei atak na Tatarów był utrudniony z powodu ruchliwości ordy.

Sytuacja pogorszyła się, kiedy w połowie listopada chan postanowił dokonać demonstracji sił i minąwszy Kamieniec, stanął z ordą między Śniatyniem a Stanowem. W ten sposób znalazł się na głębokich tyłach armii koronnej. Sytuacja przypominała pat. Jan Kazimierz mógłby bez problemu uderzyć na Chmielnickiego i zapewne odniósłby zwycięstwo, a przynajmniej zamknąłby Kozaków w oblężeniu. Z kolei wspólna – kozacko-tatarska – akcja mogła doprowadzić do oblężenia armii koronnej i jej zniszczenia pod Żwańcem. Dlatego Chmielnicki chciał za wszelką cenę pozostawić przy sobie Tatarów gwarantujących przewagę nad armią polską.

Islam Gerej jednak nie zamierzał pomagać Chmielnickiemu i uderzać na króla, poza tym orda nie była przygotowana do kampanii zimowej. Dlatego chan wysłał pojednawczy list, proponując rokowania. Strona polska odpowiedziała pozytywnie i 4 grudnia zaczęły się rozmowy polsko-tatarskie, prowadzone nad głowami Kozaków, w czym omal nie przeszkodził starosta jaworowski Jan Sobieski, przyszły król, który… pochwycił w niewolę posła tatarskiego.

Ostatecznie w grudniu zawarto ugodę zwaną żwaniecką, której tekst się nie zachował, gdyż miała formę tylko ustną. Przywracała ona warunki ugody zborowskiej z 1649 r., nadając Kozakom szeroką autonomię w trzech województwach ukrainnych. Nie załatwiła jednak niczego i obowiązywała jedynie dwa miesiące. Dokładnie w tym bowiem czasie Moskwa postanowiła przyłączyć terytorium kozackie do swego państwa, spełniając „prośby" Chmielnickiego o wzięcie pod opiekę.

Żwaniec został stracony w 1672 r., w czasie wojny z Turcją. Odbili go żołnierze Sobieskiego w 1684 r. Oficjalnie powrócił do Rzeczypospolitej po pokoju w Karłowicach w 1699 r. i został odbudowany. Ostatecznie zniszczył go jednak najazd turecko-tatarski w czasie konfederacji barskiej w 1768 r. ©℗

eprasa.pl a82608b277

NISSAN ARIYA NISMO

FOT. JAP

Pięć sekund. Zaledwie tyle czasu elektryczny SUV Nissana z napędem na wszystkie cztery łapy potrzebuje na sprint od zera do pierwszej setki. Prędkość maksymalna tego auta wynosi zaś aż 200 km/h. Jego moc to 435 KM, a moment obrotowy wynosi 600 Nm. W końcu nazwa zobowiązuje – Nismo to zaś dział Nissana, który odpowiada za liczne sukcesy tej motoryzacyjnej marki w sportach motorowych.

Ariya Nismo robi wrażenie nie tylko mocą, lecz także wyglądem. Odróżnia się od standardowej wersji bardziej zadziornym charakterem, a także wieloma dodatkami. Tylny spojler, dyfuzor tylnego zderzaka, dedykowane felgi i specjalne progi boczne nie tylko dodają temu modelowi sportowego pazura, lecz także minimalizują opór powietrza, polepszając aerodynamikę.

Ariya Nismo prowadzi się też bardziej dynamicznie (dużo szybciej reaguje na dociśnięcie pedału gazu) oraz pewniej (m.in. dzięki zauważalnie precyzyjniejszemu układowi kierowniczemu – inżynierowie Nissana wyliczyli, że precyzja sterowania wzrosła o 12 proc.). Usportowiona Ariya jest też dużo bardziej zwinna (to z kolei zasługa przeprojektowanego zawieszenia – konstruktorzy zmienili stabilizatory oraz charakterystykę pracy sprężyn i amortyzatorów), a jednocześnie stabilna (nawet podczas szybkiego wchodzenia w zakręty ma się przyjemne poczucie kontroli nad ruchami nadwozia). Tryb znany jako SPORT w standardowej wersji modelu Ariya w odmianie Nismo zniknął i został zastąpiony właśnie nazwą NISMO. Kierowca ma też do dyspozycji zmodyfikowany zestaw cyfrowych zegarów.

Rasowo jest również w ciemnej kabinie. We wnętrzu dominują dwa 12,3-calowe ekrany. Wygodne i dobrze podtrzymujące ciało fotele są obite materiałem zamszopodobnym. Nie zapomniano też o detalach, jak np. o wyhaftowanym na fotelach logo NISMO. Ustawny bagażnik ma 415 l pojemności.

Niestety, konstruktorzy tej wersji popsuli nieco fajne auto, wyposażając Ariyę Nismo w za małą baterię (87 kWh), przez co ma ona mocno ograniczony zasięg w porównaniu z konkurencją. Maksymalnie na jednym ładowaniu teoretycznie można nią przejechać 420 km. Zimą przy spokojnej jeździe w cyklu mieszanym to ok. 390 km. Najlepsze średnie „spalanie", jakie uzyskałem, to 20,3 kWh/100 km. Tym modelem żal jednak jeździć spokojnie... Tymczasem dynamiczna jazda drogami szybkiego ruchu sprawia, że zasięg topnieje w oczach. Nie pomaga również pokładowy system odnajdywania ładowarek – gdy akumulator już ledwo dyszał, na ekranie systemu multimedialnego zobaczyłem komunikat, że żadna ładowarka nie znajduje się w zasięgu auta. Na szczęście w smartfonie mam własne mapy i w zasięgu były co najmniej dwie stacje szybkiego ładowania.

Testowany model ma też nieco za małe – jak na sportowego elektryka – możliwości błyskawicznego uzupełniania energii. Maksymalna moc ładowania prądem stałym to 130 kW, ale podczas zimowego testu na szybkich ładowarkach zbliżyłem się maksymalnie do wartości 110 kW. Na zwiększenie zapasu energii z 4 proc. do 90 proc. potrzebowałem więc 50 minut (w 10 minut wskazówka z 4 proc. podskoczyła do 21 proc.).

Nissan Ariya Nismo w promocji kosztuje 249,9 tys. zł.

REALME GT8 PRO

Rewelacyjny wyświetlacz, wysoka wydajność, świetne możliwości fotograficzne oraz oryginalne wzornictwo – to największe zalety „pogromcy flagowców" chińskiej marki realme, który 2 grudnia zadebiutował w Polsce.

Ekran OLED ma przekątną 6,79 cala, rozdzielczość 2K i maksymalną częstotliwość odświeżania na poziomie 144 Hz. Design jest nowoczesny i elegancki. Jest też specjalna wersja: Dream Edition – zielona obudowa z logo Aston Martin Aramco Formula One Team powinna się spodobać zwłaszcza fanom sportów motorowych, a także wszystkim tym, którzy chcą, aby ich telefon odróżniał się od miliona podobnych. Producent miło mnie zaskoczył: nawet szpilka do wyjmowania karty SIM ma w tej wersji kształt bolidu. Również interfejs (w tym ekran blokady, tapety oraz wygląd ikon) został odpowiednio zmodyfikowany.

Sercem testowanego realme GT8 Pro jest wydajny procesor Snapdragon 8 Elite Gen 5. Do dyspozycji jest też 16 GB pamięci RAM i 512 GB pamięci na dane. Największy skok jakościowy realme zrobiło jednak w sferze możliwości fotograficznych. W GT8 Pro do dyspozycji dostajemy zestaw trzech aparatów, w tym obiektyw główny (50 MP) oraz peryskopowy (200 MP). Jakość zdjęć robi wrażenie (może poza aparatem do selfie, który jest po prostu OK). W smartfonie realme pojawił się też tryb Ricoh GR, dzięki któremu ujęcia z ulicy przypominają bardziej fotografie wykonane legendarnym aparatem niż typowym smartfonem. Zarówno edycja limitowana, jak i normalna mają też wymienną wyspę aparatów fotograficznych (może być okrągła lub kwadratowa, więc gdy jeden wygląd się znudzi, to wystarczy śrubokręt, by szybko sprawić sobie coś nowego). Można też dokupić wyspy wykonane przez artystów lub zaprojektować coś samemu i zamówić wydrukowane w 3D.

Akumulator ma pojemność aż 7000 mAh, co przy umiarkowanym użytkowaniu pozwala podłączać telefon do prądu co drugi dzień. Energię można uzupełnić za pomocą szybkiej ładowarki 120 W. W testowanym modelu pojawiła się też wreszcie możliwość ładowania bezprzewodowego (z mocą 50 W). Błyskawicznie działa też ultradźwiękowy skaner linii papilarnych.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wady? Tryb Ricoh GR nie działa z teleobiektywem. Brakuje obsługi kart microSD. Szkoda też, że niemal cały blask specjalnej edycji niknie, gdy nałoży się na telefon jedno z dwóch etui znajdujących się w zestawie (przynajmniej je też wyróżnia jednak logo Aston Martin).

GT8 Pro w wersji 12/256 GB kosztuje 4199 zł, a 16/512 GB 4499 zł. Testowany wariant Dream Edition to wydatek 5499 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl a82608b277

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Książęcy pasztet

W ciekawej książce pt. „Staropolskie romanse" Donaty Ciepieńko-Zielińskiej znajdujemy opisy różnych wytwornych uczt, wspaniałych przyjęć i wystawnych obiadów, na które nasi przodkowie często wydawali fortuny. Dawne polskie przysłowie o polskich panach mówiło, że dobrze jest:

„Z Czartoryskim żyć
Z Radziwiłłem pić
Z Ogińskim jadać
Z Rzewuskim gadać".

W naszej rubryce musimy zatem bliżej się przyjrzeć Ogińskiemu i jego ucztom. Książę Michał Kleofas Ogiński (ten sam, który skomponował poloneza) osiadł wraz z żoną w Zalesiu na Litwie i tam urządzał regularnie uczty. Niektórzy z gości przebywali w dworze nawet kilka tygodni i codziennie mogli liczyć na obfite śniadania serwowane o godz. 13 i zbytkowne obiady skrapiane obficie kosztownym winem. Któregoś dnia jeden z gości opowiedział o tym, jak razu pewnego za granicą spróbował pasztetu sztrasburskiego i ten smakował mu tak bardzo, że pamięta go do dziś. Trzynaście dni po tym zdarzeniu książę ponownie zaprosił gości, ale obiadu nie podano. Książę z niecierpliwością wypatrywał czegoś za oknem. Aż w końcu ujrzał pędzący powóz – w nim prosto ze Sztrasburga przybył ów słynny pasztet. Ten kaprys kosztował Ogińskiego niemało, ale szmer podziwu pokwitował tę fanaberię i utrwalił opinię, że w dworze nie brakuje żadnych przyjemności i uciech, jakich mogło dostarczyć życie...

Znalazłyśmy dla was przepis na pasztet sztrasburski – być może mniejszym nakładem pieniężnym, ale za to za pomocą rąk własnych uda się wam postawić ten przysmak na świątecznym stole.

PASZTET SZTRASBURSKI

• 750 g wątróbek gęsich • 250 g wątróbek kaczych • 250 g słoniny • 1 szklanka mleka • 2/3 szklanki bulionu drobiowego • 100 g pieczarek • 1 duża cebula • 1 łyżeczka masła • 1/2 łyżeczki gałki muszkatołowej • szczypta zmielonego ziela angielskiego • sól • świeżo zmielony czarny pieprz

Wątróbkę gęsią i kaczą umyj, osusz i usuń błonki. Przełóż do miski i wlej mleko. Odstaw najlepiej na całą noc. Pieczarki obierz i pokrój w drobną kostkę. Cebulę pokrój w drobną kostkę. 3/4 słoniny pokrój w kostkę. Pozostałą słoninę pokrój w plastry i ułóż na dnie garnka średniej wielkości. Wątróbkę wyjmij z mleka i osusz. Na patelni roztop masło i krótko obsmaż wątróbkę. Patelnię zestaw z ognia. W garnku ze słoniną ułóż podsmażoną wątróbkę oraz pieczarki, cebulę i słoninę. Wlej bulion warzywny. Zagotuj, zmniejsz ogień i gotuj ok. 45 min. Piekarnik nagrzej do 200 st. C. Prostokątną formę wysmaruj masłem lub wyłóż papierem do pieczenia. Po ugotowaniu dwa razy zmiel wątróbkę, słoninę i warzywa. Masę dopraw solą, pieprzem, gałką muszkatołową i zielem angielskim. Dokładnie wymieszaj. Masę przełóż do prostokątnej formy. Wierzch wyrównaj. Wstaw do piekarnika i piecz ok. 30 min. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Buty do chodzenia

Może buty sportowe?" – zasugerowałam, gdyż prezenty są właśnie u nas aktualnym tematem, a nastolatków mamy w rodzinie kilkoro. „Buty w prezencie? No nie" – ofuknął mnie pan Bojańczyk, któremu pomysł wydał się idiotyczny.

Czyżby mąż działał w starym systemie, w którym buty każdy ma i na tym sprawa się kończy? Jak się zniszczą, kupuje się nowe i nie ma tematu.

O tyle, o ile. Dzięki Bogu bieda nas nie dotyczy. Buty sami posiadamy, nawet niejedne. Nie przyszłoby nam do głowy dawać ich w prezencie nawet komuś bliskiemu. Ale w krainie nastolatkizmu buty nie są tylko, jak w piosence Nancy Sinatry, „made for walking", tylko do chodzenia. Buty to nadbudowa, szaleństwo, oznaka statusu, przynależność do grupy, wyznanie ideowe. Część ubrania tak atrakcyjna, że bywa przedmiotem napadów, kradzieży, o zazdrości nie mówiąc. Nie biedacy napadają na ulicy i każą „wyskakiwać" z butów, to nastolatkowie, którzy „muszą to mieć".

W każdym sezonie inny model, marki znikają, pojawiają się nowe. Wskrzesza się dawne modele. Interes kręci się samoistnie, gdyż nike 14-latka po trzech miesiącach nadają się do wyrzucenia na skutek intensywnej eksploatacji.

Właśnie na nogach mojego wnuka zobaczyłam nieskazitelnej białości tenisówki, a wydawało mi się, że niedawno miał inne, również białe i również nieskalane. To przypomniało mi historię, która brzmi dziś jak podanie z czasów Mieszka i Dąbrówki.

Zdjęcie mojej pierwszej klasy ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Milanówku. Rok chyba 1959 albo 1960, może to jest nawet druga klasa. Jesteśmy powojennym wyżem, jest nas bardzo dużo. Chłopcy stoją z przodu, dziewczyny w tym wieku zazwyczaj są wyższe. Dzień jest wczesnojesienny – poznaję po krótkich spodniach chłopaków. Ale nogi chłopcy mają bose. Nie wszyscy, kilku z nich.

To chłopcy „zza górki", biedniejszego przedmieścia naszego miasteczka. Nie mają butów, bo są biedni, nie z żadnego innego powodu, którym dzisiaj można by to tłumaczyć.

Ja buty miałam i, o ile pamiętam, moje koleżanki z klasy także. Letnie i zimowe, ciepłe płaszcze na zimę. Nawet łyżwy, które wkręcało się w skórzaną podeszwę butów i dodatkowo mocowało paskiem.

Ale bieda była widoczna. Okrzyki Bieruta, że wspaniały mamy ustrój, nie pomogły. Biedni pozowali biedni, bogaci też zbiednieli.

Góralka ze wsi Zawoja opowiadała nam w czasie wakacji, że w latach 50. chodziły z siostrą do szkoły co drugi dzień, bo para butów była tylko jedna. A jak iść boso do szkoły?

Chłopcy z Milanówka mogli. ©℗

eprasa.pl a82608b277

PIOTR KOWALCZUK

PIECZEŃ RZYMSKA

Szaleństwo Franceski

Pani Albanese to włoska prawniczka pełniąca funkcję specjalnej sprawozdawczyni ONZ do spraw okupowanych terytoriów palestyńskich. Głównie jest jednak sfanatyzowaną, propalestyńską agitatorką polityczną. Agituje na wiecach, marszach (ostatnio w Genui wraz z boską Gretą szwedzką i podobnie nawiedzonym basistą Pink Floyd, Rogerem Watersem) i we wszystkich włoskich mediach. Jej płomienne publiczne występy, podobnie jak raporty dla ONZ, porażają brakiem choćby pozorów obiektywizmu. Wyznaje zespół poglądów, których nie powstydziłby się Trocki. Świetnie rymują się z wierzeniami włoskiej szajbolewicy. Honorowe obywatelstwo przyznały jej w tym roku m.in. Neapol, Florencja, Bolonia, Bari i Reggio Emilia. Ale teraz na wyścigi chcą je odbierać. Dlaczego?

28 listopada związki zawodowe zorganizowały strajk generalny przeciwko rzekomo „wojennej" ustawie budżetowej (zwiększone wydatki na obronę), a także przeciwko rządowi, który – zdaniem protestujących – utrzymując stosunki z Izraelem, wspiera ludobójstwo w Gazie. Gdy sprawozdawczyni wiecowała z Gretą i Watersem w Genui, ulicami Turynu przeszedł pochód kolektywów studenckich i anarchistów z legendarnego squatu Askatasuna („Wolność" w języku Basków). Palono kukły i zdjęcia, a na transparentach wypisano „syjonizm = nazizm". Gwieździe Dawida towarzyszyła swastyka. Kilkudziesięciu aktywistów włamało się do redakcji „La Stampa" (była pusta, bo dziennikarze też strajkowali) i ją zdemolowało pod hasłami „żurnalista – terrorysta", „»La Stampa« kłamie i wspiera ludobójstwo", „»La Stampa« wspólnikiem Izraela".

Był to atak idiotyczny, bo „La Stampa" jest lewicowym dziennikiem, całym sercem wspierającym sprawę palestyńską. Zapewne odezwał się atawistyczny gen zniszczenia. Włoska szajbolewica nie potrafi żyć bez przemocy. Naczelny dziennika był bardzo rozżalony: „Zapewne manifestanci nie czytali naszej gazety" [parafrazując: „Przecież my pisaliśmy dobrze, a taki despekt nas spotkał..." – dop. P.K.].

Nieuchronnie włoskie media zwróciły się z prośbą o komentarz do Franceski, a ta wypaliła: „Niech to będzie ostrzeżeniem dla dziennikarzy, żeby pisali prawdę i dobrze wykonywali swoją pracę". Naturalnie niewiasta jest przekonana, że posiada monopol na prawdę, a każdemu, kto myśli inaczej, można zniszczyć biuro, a może i w ramach reedukacji przyłożyć. Innymi słowy, kto ma rację, ten może stosować przemoc. Coraz więcej młodych Włochów w to wierzy. Przekonane były o tym też Czerwone Brygady, mordując ponad 80 osób. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

CUKRowanie Polski

Przed prezydentem Nawrockim kolejna próba. Po deklarowanym urealnieniu kursu wobec przybyszów z Ukrainy, polegającym na próbie pozbawienia ich (sic!) przywilejów przewyższających prawa Polaków, sprawa wraca. Prezydent najpierw odrzucił ustawę, a następnie, po wprowadzeniu do niej poprawki, że „800+" dostaną tylko pracujący rodzice, ustawę podpisał. Przedłużała ona każdemu Ukraińcowi ze statusem UKR prawo pobytu do 4 marca 2026 r.

Teraz przed prezydentem leży kolejna ustawa, tyle że o wiele dalej idąca. Chodzi o status CUKR, czyli ustawę, która automatycznie daje prawo uzyskania tymczasowego pobytu na następne trzy lata. Ludzi o statusie UKR jest w naszych rejestrach o wiele więcej, niż ich tu mieszka, dowolny Ukrainiec mógł go otrzymać wraz z PESEL-em na zgłoszenie. Mógł też – i wiele razy tak robiono – pojechać sobie z nim gdzieś na Ukrainę, do Europy czy w świat, teraz zaś, by uzyskać prawo pobytu na kolejne trzy lata, wielu gości ze Wschodu będzie musiało do nas zjechać, bo status CUKR daje prawo pobytu poza miejscem zamieszkania tylko na 90 dni ze 180.

Utrzymane zostaną, tym razem na trzy lata, w większości przywileje przyznane Ukraińcom, w tym dostęp do rynku pracy, edukacji, świadczeń zdrowotnych i socjalnych na dotychczasowych zasadach. To samo dotyczy dzieci. A więc to, co obiecywał nam prezydent Nawrocki, że zgadza się na przywileje Ukraińców na (ostatni) rok, może okazać się nieważne – jeśli Nawrocki ustawę o CUKR podpisze.

Moim zdaniem jest to osmotyczne przygotowanie do automatycznego przejścia setek tysięcy (milionów?) Ukraińców ze statusu tymczasowych gości do statusu obywateli Polski. Tak jak obietnica prezydenta, że „to tylko na rok" jest teraz omijana, tak jego projekt ustawy przewidujący, że na obywatelstwo trzeba będzie poczekać zamiast trzech lat – 10, może się tak samo skończyć. Na deklaracjach. Idziemy zatem w scenariusz przerabiany przez Zachód – najpierw powoli, z motywacją humanitarną wpuszczono migrantów, potem ich uprzywilejowano, następnie doszło do wybuchowej mieszanki demokracji i demografii, a scena polityczna w krajach goszczących się zmieniła. Przy zgubnych rachubach partii liberalnych, że goście „odwdzięczą się" głosami na partie proimigracyjne. Jak się kończą te kalkulacje – właśnie widzimy na Zachodzie.

Czy Polska powtórzy ten scenariusz? Czy plemienne partie zrównoważonego elektoratu będą chciały kokietować stworzony przez siebie nowy podzbiór suwerena, ukraiński „języczek u wagi"? Co by oznaczało, że Polak ani mądry po szkodzie, ani przed nią. ©℗

eprasa.pl a82608b277

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Na złotym tronie

Zdumiewających odkryć dokonać miano w przeszukiwanych apartamentach, należących do Timura Mindicza, do niedawna jednego z najlepszych i najstarszych przyjaciół prezydenta Wołodymyra Zełenskiego. Jak opisuje i dokumentuje zdjęciami poważany dziennik brytyjski „The Telegraph", oczom zdumionych śledczych ukazały się złota toaleta i złoty pisuar. Były one, jak można przypuszczać, w codziennym użytkowaniu przez domowników i gości apartamentu.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Idea „złotej toalety" od lat frapuje w kulturze wielkich artystów i złodziei. Często wchodzą sobie oni wzajemnie w drogę. Doświadczył tego włoski artysta, Maurizio Cattelan, który w 2016 r. sprzedał nowojorskiemu Muzeum Guggenheima dzieło zatytułowane „Ameryka", czyli w pełni funkcjonującą toaletę wykonaną ze złota. Toaleta, ważąca 103 kg, warta była „w kruszcu" 4 mln dol., a „w sztuce" co najmniej 6. Niestety, trzy lata później, podczas przygotowań do wystawy Cattelana w Pałacu Blenheim, złota „Ameryka" padła łupem złodziei. Ci przetopić ją mieli na sztabki, niszcząc, w swoim mniemaniu, na zawsze.

Co jeden złodziej zniszczy, to drugi złodziej odkupi. Fakt, że to akurat ukraiński oligarcha, utuczony na amerykańskich pieniądzach, zafundował sobie na osobisty użytek złotą kopię „Ameryki" Cattelana, wzbogaconą o pisuar („Kanada"?), rodzi wiele pytań. Czy Timur Mindicz naśladował twórczość Maurizia Cattelana świadomie? Rymować się on może z oskarżeniami formułowanymi wobec obalonego na Majdanie prezydenta Janukowycza, w którego rezydencji też znaleźć miano złotą toaletę. Odkryciem tym ekscytowały się, po porewolucyjnej euforii, zachodnie i ukraińskie media, stawiając złotą toaletę, obok hiszpańskiego galeonu, za dowód demoralizacji i korupcji ekipy Janukowycza. Jeśli ukraińskim władzom skarbowym udało się zachować oba zarekwirowane skarby, to są one zaczątkiem kolekcji, która na aukcjach sztuki śmiało konkurować by mogła z bijącymi teraz rekordy cenowe dziełami Cattelana. Rynek na takie wyroby jest, ceny złota dynamicznie idą w górę. Niedawno włoski artysta sprzedał drugą ze swoich złotych toalet, która na aukcji u Sotheby'ego znalazła nabywcę za 12 mln dol.

Skąd u ukraińskiej elity państwowej takie upodobanie do złotej lub grubo pozłacanej techniki sanitarnej, pozostaje dla komentatorów politycznych zagadką. Ten ekstrawagancki trend, znacznie podnoszący zapewne koszy wyposażenia kijowskich apartamentów, rozpowszechniony jest ponad podziałami politycznymi.

Piękną kolekcję niecodziennych przedmiotów, wykonanych ze złota, podziwiać można w zamienionych w muzea pałacach egipskiego króla Faruka I. Panował on w Egipcie w latach 1936–1952. Ozdobami królewskiej kolekcji broni są nowoczesne na owe czasy, bogato zdobione diamentami i złotem karabiny. Można tam m.in. podziwiać złote automaty Kałasznikowa. Były to prezenty dla króla od członków najbliższej rodziny, innych arabskich przywódców i władców. Wykonana z cennego kruszcu broń jest przecież ceremonialnym atrybutem władzy monarchy. W odróżnieniu od ukraińskich liderów łazienki króla Faruka urządzone były skromnie, choć z gustem.

Król Faruk i królowa Farida do dziś cieszą się w Egipcie ciepłą pamięcią i sympatią wielu Egipcjan. Królewska kolekcja broni została znacjonalizowana. Szeregi złotych karabinów, pistoletów i szabel zajmujące sale muzeów w Kairze i Aleksandrii dokumentują wizerunek króla jako symbol prestiżu armii i przykład patriotyzmu. Jeśli ukraińska elita ostatniego ćwierćwiecza pozostawi po sobie kolekcję wykonanych ze złota toalet, to symbolem jakiej postawy staną się one dla kolejnych pokoleń? Pomiędzy feudalnymi włodarzami zacofanego Egiptu a współczesnymi elitami demokratycznej Ukrainy próżno szukać łatwych porównań. W obu tych krajach wytworzyła się jednak feudalna, skłonna do korupcji elita, kontrolująca bogactwa kraju. W Egipcie pozostawiła ona po sobie złotą broń, na Ukrainie parę toalet ze złota oraz skandale korupcyjne. ©℗

eprasa.pl a82608b277

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Indianie z Małopolski

Drogi muszą powstawać, ludzie muszą się przemieszczać. To całkowicie jasne. Jeszcze nie tak dawno miarą postępu cywilizacyjnego była właśnie długość sieci autostrad i dróg szybkiego ruchu. Mało kto chce być przeciwko postępowi, rozwojowi technologicznemu.

Ale postęp ma ludzkości służyć. A jeśli tak, to nie może być wymierzony przeciwko człowiekowi. Żaden cel nie uświęca środków. Weźmy np. takie Badanie Tuskegee prowadzone w USA w latach 1932–1972, które obserwowało naturalny przebieg nieleczonej kiły u kilkuset czarnoskórych mężczyzn. Uczestnikom nie przekazywano informacji o ich stanie zdrowia, a skuteczne leczenie wstrzymywano nawet po upowszechnieniu penicyliny. Medycyna dokonała postępu w leczeniu innych, kosztem fundamentalnych praw człowieka.

Co ma to wspólnego z drogami? Otóż to, że aby jedni ludzie mogli poruszać się samochodami, inni muszą zostać eksmitowani, a ich domy muszą zostać zniszczone. Wiedzą państwo, co to znaczy stracić dom? Ziemię, na której się człowiek wychował? Całe sąsiedztwo, całą przeszłość i większość tożsamości? A w przypadku wielu ludzi obawiających się dziś budowy drogi S7 przez południe Krakowa i podmiejskie gminy to właśnie może stać się ich udziałem.

Nie poświęcę całego felietonu, szczegółowo opisując sprawę olbrzymiego buntu mieszkańców tych terenów, który być może nie dociera w ogóle poza lokalne media. Zachęcam, by doczytać, a media warszawskie – by pochyliły się i nad tym zjawiskiem występującym z dala od stolicy. Choćby we wsi Podstolice.

Jest wiele argumentów przeciwko drodze – dość standardowych. Ale poruszył mnie szczególnie jeden. Oto przeczytałem ogłoszenie parafialne właśnie z Podstolic: „Mszą św. rozpoczniemy CAŁONOCNE czuwanie ekspiacyjno-błagalne w związku z planami budowy trasy S7, co w praktyce oznacza likwidację nie tylko naszej ponad 700-letniej Wspólnoty Parafialnej, ale i Parafii Rzeszotary i wielu innych”.

Czy komuś przyjdzie do głowy ratować nie tyle zagrożonych Indian i ich wigwamy, ile zagrożonych katolików i ich parafie?

Droga zniszczy parafię. Zniszczy wspólnotę. Zniszczy to, co ludzie mieszkający tam od wielu pokoleń mają za swoje – nie tylko zabierze budynki, ojcowiznę, lecz także wspólnotę. Rozwali ją dokumentnie. Przetnie na pół. Wiele osób zostanie wysiedlonych, inni zaś, mający dziś np. do brata, siostry czy rodziców cztery minuty drogi pieszo, zostaną odeń odgrodzeni tak, że już nigdy nie dotrą tam na piechotę.

A wspólnoty ludzkie akurat na tych terenach należą do najtrwalszych, najbardziej tradycyjnych, najbardziej związanych z ziemią i ze sobą nawzajem. To zupełnie inna część tkanki społecznej niż w dzisiejszych miastach, gdzie niemal wszyscy są przyjezdni. To zupełnie inna grupa społeczna niż na tzw. Ziemiach Odzyskanych, gdzie mieszka wszak jedna trzecia Polaków, ale przecież zaledwie od trzech pokoleń.

Argumentów przeciwko drodze jest bardzo wiele – ale ten, wspólnotowy, parafialny, wydaje mi się najpiękniejszym i najważniejszym. Polska parafialna bowiem wciąż żyje, mimo że z wielu wielkich miast w ogóle jej nie widać. Nie widać jej w największych telewizjach, nie słychać o niej w radiostacjach. Ale trwa i nadal chce trwać. Na tamtej Mszy przepiękny kościółek pękał w szwach. Potem całą noc – jak w Wielki Piątek – ludzie błagali, by nie stracić siebie nawzajem.

Dzisiaj cały świat żałuje biednych Indian, którzy w procesie cywilizacyjnym, wskutek postępu, stracili swe ziemie i kulturę. Broni się ich za wszelką cenę, kręci się o nich hollywoodzkie filmy, próbuje się ocalić ich dorobek. A przecież takimi metaforycznymi Indianami środka Europy są teraz ludzie, którym próbuje się odebrać całe ich życie, dorobek, przeszłość i tożsamość. Kulturę i wspólnotę – poprzez postęp technologiczny.

W ich obronie powinni natychmiast stanąć wszelcy aktywiści chroniący klimat, przyrodę oraz kultury zagrożone wyginięciem w dobie globalizacji. Powinny zjechać się tam kamery wielkich warszawskich mediów. Nie mówiąc już o politykach.

Ale czy komuś przyjdzie do głowy ratować nie tyle zagrożonych Indian i ich wigwamy, ile zagrożonych katolików i ich parafie? ©℗

eprasa.pl a82608b277

AFGAŃCZYK

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Mam kumpla dyplomatę. Rozmowy z nim są pouczające. Gdy Amerykanie za czasów Joe Bidena wycofywali się z Afganistanu (w bałaganie i popłochu), Polska i inni sojusznicy zostali tym zaskoczeni. Ambasady, bazy wojskowe i inne placówki zwijały się z dnia na dzień, personel ewakuowano. Ten mój kolega powiedział mi wtedy, że moralnym obowiązkiem Polski jest przyjąć do naszego kraju wszystkich Afgańczyków, którzy dla nas pracowali.

To jest myślenie pospolite – ktoś dla nas pracował, to teraz jemu i jego rodzinie należy się bilet do Polski i prawo osiedlenia. A z jakiej racji się należy? Wojsko Polskie zatrudniało lokalnych tłumaczy. Podejmowali pracę dobrowolnie, dostawali pensje, a potem kontrakt wygasł i na końcu kontraktu nie były dopisane żadne gwarancje azylu. Ja też kiedyś pracowałem jako tłumacz dla Amerykanów i z tego faktu nie wynika żaden dodatkowy obowiązek Ameryki wobec mnie. Pracowałem, zapłacili i do widzenia.

Polska sprowadziła wtedy grupę Afgańczyków. Ilu ich było? Nie wiadomo. Gdzie teraz są i co robią? Nie wiadomo.

***

Myślenie pospolite jest też takie, że nie wypada mówić o wyższości naszej kultury nad innymi. Ale przecież widać gołym okiem, że jedne kultury są lepsze, inne gorsze. Zrobiłem odcinki „Boso przez świat" z Afryki i pokazywałem, jak Hotentoci i Buszmeni „myją się" piaskiem, bo mieszkają w prymitywnych warunkach na terenie pustynnym i szkoda im wody na mycie. No i siedzi goła Hotentotka w szałasie i okadza sobie pupę i okolice, paląc krowie placki z jakimiś ziołami. Fascynujące i ciekawe pooglądać w telewizji, jak sobie ludzie radzą, gdy wody brak, ale to nie oznacza, że ich cywilizacja bez wody jest równa naszej. Nasza JEST wyższa i tyle. I tak samo uważają te gołe Hotentotki siedzące w dymie, bo gdy wyjdą poza pustynię do cywilizacji wyższej, to z radością idą pod kran z wodą, zamiast myć ręce w krowich sikach.

Gdyby kultury były sobie równe, Afgańczycy nie chcieliby wyjechać do Polski. Bo po co, skoro w Afganistanie równie dobrze jak w RP? Nie chodzi o technologię, lecz o kulturę. Komputery można znaleźć także w Afganistanie, a broń mają najlepszą na świecie po tym, jak Joe Biden zostawił im ogromne zapasy amerykańskiego sprzętu wojskowego. Jednak ich kultura jest na poziomie VII w. naszej ery. W Afganistanie mają po kilka żon, które sobie kupują, niektóre z tych żon to dzieci, a dodatkowo, jak wieść niesie, nie gardzą też kozami. I ta wieść nie wzięła się znikąd. Kultura Afganistanu to barbarzyński prymityw.

***

Obrady sejmiku na Dolnym Śląsku kilka miesięcy temu: PiS apelował, by nie przyjmować imigrantów (cyniczna zmiana podejścia). Radni PO chcą przyjmować i „zapoznawać ich z naszą kulturą i historią". To bezcelowe. Muzułmanin gardzi kulturą chrześcijańską i nie ma potrzeby jej poznawać. A Afrykanin ma gdzieś każdą kulturę – w Czarnej Afryce przez tysiąclecia przed przybyciem białych kolonizatorów nie powstały żadne muzea, biblioteki i ogólnie nic trwałego.

My, ludzie biali, gromadziliśmy zbiory dzieł sztuki po przodkach, tworzyliśmy zapisy naszej historii i byliśmy dumni z naszej cywilizacji. W Afryce w tym czasie nie powstało nic, co oni sami uznaliby za warte zachowania dla potomnych. Jeszcze przed wydarzeniami na sejmiku liderzy Konfederacji zapewniali, że nie chcą straszyć Polaków imigrantami, lecz przestrzegać przed popełnieniem błędu Niemiec, Szwecji czy Wielkiej Brytanii, które zgodziły się na masową migrację, a dziś borykają się ze zwiększoną przestępczością, w tym na tle seksualnym.

A właśnie, że należy straszyć, bo islam to kulturowe zagrożenie i cofnięcie się do VII w. Najpierw będą się mnożyć na naszym terenie jak króliki, a potem za pomocą naszych mechanizmów demokratycznych, w głosowaniach i referendach, wprowadzą prawo szariatu.

***

Pod koniec listopada w USA pewien Afgańczyk, mieszkający w stanie Waszyngton, przejechał całe Stany Zjednoczone w poprzek – od oceanu do oceanu – aby w okolicy Białego Domu oddać strzały w stronę dwojga przypadkowych żołnierzy. Miał czas ochłonąć po drodze, bo to trasa na kilka dni jazdy po przekątnej przez całą Amerykę. Nie ochłonął, nie rozmyślił się. Kim był? Do USA przyjechał legalnie. Wcześniej, w Afganistanie, pracował dla CIA na zwyczajnym kontrakcie, a nie jako agent. Do USA trafił w ramach programu ewakuacji współpracowników. Ludzie Bidena sprowadzili w ten sposób ponad 50 tys. Afgańczyków. Inne dane mówią, że to było 100 tys. i nikt teraz nie wie ile ani gdzie ci wszyscy ludzie są. Czyli tak samo jak w Polsce.

Co ten człowiek robił po przeniesieniu się do USA? Nic. Wraz z rodziną całymi dniami siedział w domu, oglądał telewizję i grał w gry komputerowe. Pracy nie podejmował – nie przyjął żadnej oferty, bo wszystkie mu się nie podobały. Angielskiego się nie nauczył, asymilować się nie chciał.

Zanim wjechał do Ameryki, służby go dokładnie prześwietliły, ale czym innym jest stwierdzenie, czy ktoś się nadaje na tłumacza na terenie Afganistanu, a czym innym stwierdzenie, czy ten ktoś nadaje się do osiedlenia w USA.

Ten konkretny afgański zabójca nie jest wyjątkiem. Jego przypadek, jako kolejny z wielu, po prostu przeważył szalę. Ludzie przywiezieni z Afganistanu nie są się w stanie adaptować do kultury Zachodu. To, że ktoś dostał obywatelstwo, nie oznacza, że jest Amerykaninem. Dlatego administracja Trumpa rozpoczęła akcję odbierania zielonych kart przyznanych pochopnie, wprowadziła zakaz przyjazdu na teren USA z wielu krajów Trzeciego Świata, a Trump zapowiedział, że będzie cofał przyznane obywatelstwo osobom z krajów dzikich. ©℗

eprasa.pl a82608b277

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

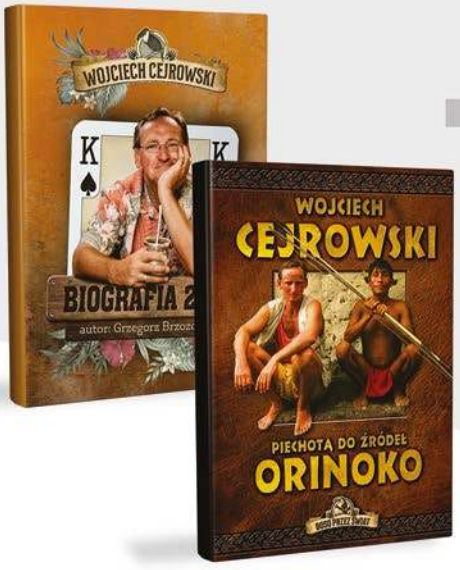

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

GRZEGORZ BRZOZOWICZ:
„BIOGRAFIA 2024. WOJCIECH CEJROWSKI"
WOJCIECH CEJROWSKI: „PIECHOTĄ DO ŹRÓDEŁ ORINOKO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1350~~ ZŁ

569,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 781 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl a82608b277

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl a82608b277